

Nadia Szagdaj

Nowe śledztwa Klary Schulz

TAJEMNICA NATHANIELA

LUTY 1913.

SERIA PODEJRZANYCH SAMOBÓJSTW W BRESLAU

BUKOWY LAS

Sala w piwnicy była zimna. Unoszący się wokół zapach śmierci budził oczywiste skojarzenia z grobowcem. Żeliwne wózki do przewożenia zwłok skrzypiały ze starości. Na jednym z nich pod prześcieradłem leżały zwłoki, które dzień wcześniej policja zabrała spod Dombrücke. Już odtajały i można było je zbadać. Obok na drugim wózku leżało zdjęte przez asystenta ubranie ofiary. Gabriel podszedł do niego. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przez nią uniósł w górę podartą czerwoną pończochę.

– prostytutka... – Pokiwał głową.

– I to zapewne w czasie pracy – domyślił się Sanz.

– Dziwny zbieg okoliczności – zwrócił się do Michaela Gabriel.

– Już ci mówiłem – odparł patolog. – Ty tu jesteś od rozwiązywania zagadek.

Asystujący młodzi lekarze zdjęli z ciała kobiety prześcieradło. Przenieśli denatkę na stół do sekcji. Cała zbielała, a jej usta posiniały. Otwarte nadgarstki ujawniały rozcięte żyły i poszarpane ścięgna. Ściśnięte w pośmiertnym skurczu dłonie dodawały temu obrazowi ekspresji, jak z dzieł Caravaggia. Oczy, w których jeszcze niedawno Gabriel wyczytał gniew, dziś były zamknięte. Męż-

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział I Rozdział II Rozdział III Rozdział IV
Rozdział V Rozdział VI Rozdział VII Rozdział VIII Rozdział IX Rozdział X
Rozdział XI Wydawnictwo Bukowy Las poleca Okładka

Nadia Szagdaj

Nowe śledztwa
Klary Schulz

TAJEMNICA NATHANIELA

BUKOWY • LAS

Copyright © by Nadia Szagdaj and Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.,
2017

ISBN 978-83-8074-066-2

KONSULTACJA PSYCHOLOGICZNA: Hanna Tree
PROJEKT OKŁADKI: Mariusz Banachowicz
Pocztówki zreprodukowane w książce pochodzą z kolekcji prywatnej
REDAKCJA: „Sztuka i Słowo”: Daria Demidowicz-Domanasiewicz
KOREKTA: Iwona Gawryś
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Mojemu mężowi

Dbaj o siebie...

Tamtej nocy stanąłem na rozstajnych drogach. Skutki były fatalne! Gdybym na swoje odkrycie spojrział z innej, godziwszej strony, gdybym ryzykowny eksperyment podjął w zbożnym, szlachetnym celu – wszystko wyglądałoby odmiennie, a z mąk narodzin i zgonu powstałby anioł zamiast czarta[1].

Robert Louis Stevenson

1 Robert Louis Stevenson, *Doktor Jekyll i Pan Hyde*, przeł. Tadeusz Jan Dehnel. Black & White, Sosnowiec 2006.

I

Światło księżycy wycięło jasny pasek na drzwiach solidnej, ciężkiej szafy. Gdy doktor otworzył oczy, zajrzało i w nie, niczym wścibski natręt. Mężczyzna zmarszczył czoło. Czuł się, jakby uśpił go eter lub uderzenie obuchem. Kręciło mu się w głowie, przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Wreszcie zdał sobie sprawę, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, a dziwne wrażenie powoli mijało. Pomyślał, że wykańcza go praca do późnych godzin nocnych. Wstał, wsunął kapcie, narzucił szlafrok i wyszedł z pokoju. Kolejny stłumiony dźwięk wyrwał go z półsnu, uświadamiając mu, że to wszystko mu się jedynie wydawało. Zamiast podnieść się z łóżka, nadal bowiem w nim leży, coraz mocniej przywierając do poduszki. Tym razem szerzej otworzył oczy, by bardziej się rozbudzić. Nie musiał się zrywać. Miał przecież gosposię, która i tak sypiała jak zając. Uważał jednak, że właśnie tego obowiązku nie może powierzyć obcej osobie. Podniósł się więc z wygrzanej pościeli i od razu poczuł przenikliwy chłód. Zima była w tym roku nieznośna. Ogień w kominku jeszcze się tlił, więc doktor szybko dorzucił kilka szczap. Zupełnie jak przed chwilą w majaku sennym włożył domowe pantofle, narzucił bonzurkę i ruszył w stronę rozsuwanych drzwi. Rozchylił je najciszej, jak umiał, licząc, że sprawca hałasu nie usłyszy ich jęku. Ale on od dawna wyczuwał obecność doktora. Stał pewnie, zaciskając palce na szczeblach drewnianego łóżka. Na widok mężczyzny uśmiechnął się szeroko i wydał z siebie okrzyk satysfakcji.

– Marie... – powiedział doktor lekko schrypniętym głosem. – Dlaczego nie śpisz?

Drugie drzwi do pokoju, prowadzące z korytarza, otworzyły się znienacka i do sypialni weszła gosposia.

– Niech pan się położy, doktorze. Tak późno pan wrócił – zwróciła się szeptem do pana domu.

– Nie, to ty wracaj do siebie, Gerto. Ja sobie poradzę.

– A jutro z pacjentami też pan sobie poradzi? Co będzie, jeśli doktor Schulz ze zmęczenia utnie komuś nie to, co trzeba? – mruknęła pod nosem. Hołubiła pana domu, od zawsze. Uważała, że musi o niego dbać.

– Ja niczego nie ucinam... – sprostował z dobrodusznym uśmiechem. Gosposia miała chyba nigdy nie zrozumieć, że Schulz jest kardiochirurgiem. Jej pojęcie o jego profesji nie zmieniało się, choć pracowała w tym domu od wielu lat.

Bernard pochylił się nad dziecięcym łóżeczkiem.

– Chodź do mnie, Marie – powiedział, biorąc na ręce niespełna roczną dziewczynkę. Ta znów pisnęła zwyczajnie i od razu złapała ojca za wąsy. – Widzisz w ciemnościach czy co? – zapytał i skrzywił się z bólu, delikatnie ujmując przy tym tłusciutką dłoń córki. Odprawił Gertę gestem i wrócił z małą do sypialni. Położył ją na środku wielkiego małżeńskiego łóżka. Dziewczynka od razu zaprotestowała, niezadowolona z takiego obrotu sprawy. Liczyła raczej na jakąś zabawę. Nie po to przecież obudziła się o trzeciej nad ranem, by znów kłaść się spać, tyle że w innym miejscu. Usiadła i głośno wyraziła swoje niezadowolenie.

– Jesteś niemożliwa... – Spod drugiej kołdry wydobył się inny, kobiecy głos.

– Śpij, Klaro – rzucił doktor do żony, która otuliła się tak szczelnie, że spod kołdry nie wystawał nawet mały palec.

– Mało prawdopodobne – odparła. Odsunęła okrycie i odwróciła się do córki, która wpatrywała się w twarz matki oświetloną blaskiem księżyca. Marie położyła małą dłoń na jej policzku i powiedziała do niej coś w swoim języku. – Ja też cię kocham, tęsknię za tobą, gdy cię nie widzę, ale w nocy się śpi... – odpowiedziała Klara, jakby rozumiała znaczenie pisków małej. – Stworzyliśmy potwora – zwróciła się do Bernarda pół żartem, pół serio.

– Przytulę ją. Może uśnie. – Westchnął i ułożył się na samym brzegu przepastnego łóża.

Do rana udało im się przetrwać w zawieszeniu między płytkim snem a jawą. Skuleni na krańcach łóżka oddali trzy czwarte jego powierzchni najmniejszemu z domowników. Marie coraz rzadziej budziła ich w nocy. Te nieprzespane były więc o tyle trudniejsze, że powoli przyzwyczajali się do normalnego rytmu doby. Choć z pewnością po wydarzeniach sprzed niemal roku trudno było nazwać ich życie zupełnie normalnym.

Klara stała przed łazienkowym lustrem. Od godziny gosposia i jej mąż robili wszystko, by przywrócić domowi choćby sprzyjającą temperaturę. Ale trudno było ogrzać dwustumetrowe mieszkanie w domu postawionym w niemal bezludnej dzielnicy Breslau, w tym miejscu dodatkowo bezdrzewnej i w ogóle położonej na peryferiach miasta, co od razu czyniło ją chłodniejszą. I mimo iż od początku roku całe Niemcy żyły mającym odbyć się w maju ślubem księżniczki Wiktorii Luizy, a powszechna ekscytacja, podsycana przez prasę, niemal wibrowała w powietrzu, to Klarze – dalekiej od podobnych, „nieistotnych” wydarzeń – było po prostu zimno. Państwo Schulzowie wprowadzili się tu sześć miesięcy temu. Być może zrobiliby to wcześniej, gdyby nie...

Klara zamknęła oczy, żeby nie widzieć blizny, która szpeciła jej dekolt tuż pod obojczykiem. Ale czasem to, czego doświadczała po przymknięciu powiek, było po stokroć gorsze niż odbicie w lustrze. Gaspar von Haas nie żył. Wiedziała już także, kto stał za śmiercią jej matki. Nigdy się z tym nie pogodziła. Zbyt często wracał do niej ciemniejszy obraz przepleciony z bólem i piskiem w uszach po

wystrzale z pistoletu. Z oddali dobiegały ją głosy ojca i Gabriela. Potem jak przez mgłę pamiętała, że na chwilę odzyskała przytomność w szpitalu, gdzie pracował jej mąż. Słyszała jego szloch, niemal skowyt dochodzący do niej jakby z innego świata. Natychmiast, gdy fatalne wspomnienia wracały, rozwierała zaciśnięte powieki, biorąc przy tym głęboki oddech. Niepewnie zerkała na niewielką fiolkę stojącą na toalecie, myśląc ze wstrętem o jej zawartości. Ale z czasem potrzeba zażycia barbituranów stała się silniejsza niż emocje, które temu towarzyszyły. Wszelką niechęć można przełamać, szczególnie gdy już wpadnie się w sidła przyzwyczajenia. Z każdą połkniętą pigułką odczuwała wyrzuty sumienia, które jednak po czasie, wraz z działaniem leku, ustępowały ukojeniu. Błogostan kojarzył się Klarze z puchową kołdrą, jaką ściełił się śnieg w zimowe dni. Niby zimną i mokrą, a jednak puszystą i lekką.

Schulz otworzyła fiolkę i wyjęła z niej sporą pigułkę. Białą jak puch za oknem. Owalną, nieco chropowatą, niczym śnieg zakrywającą prawdę o jej stanie psychicznym. Włożyła ją do ust. Od razu poczuła gorzki smak. Mimo to rozgryzła ją i połknęła. Wyszła z łazienki na piętrze, zeszła po schodach i skierowała się do kuchni. Popiła gorzyc wodą i usiadła na drewnianym stołku, który Gerta zabrała z ich poprzedniego mieszkania przy Hansa StraÙe[2]. Spłynął na nią spokój. Wiedziała, że lek nie zaczął jeszcze działać, ale sam fakt, że już go zażyła, sprawił, iż poczuła się lepiej. Zapatrzyła się w okno pokryte szronem. Nie miała zamiaru opuszczać dziś domu. Ostatnio w ogóle rzadko wychodziła, a zmrożony śnieg jedynie utwierdzał ją w przekonaniu, że dobrze robi, nie wyściubiając nosa za drzwi.

Po śniadaniu zazwyczaj następował najtrudniejszy okres dnia. Klara nie wiedziała, co ma wówczas ze sobą zrobić. Fritz uczył się w domu nauczyciela lub pod jego nadzorem u siebie w pokoju, a Bernard w tym czasie pracował. Gdy Marie robiła się senna, Klara nie wytrzymała jej humorów i opiekę nad nią powierzała gosposi. Ostatnio szybko traciła panowanie nad nerwami. W takich momentach ponownie sięgała po barbiturany, żalując, że nie zażyła ich wcześniej. A potem nachodziły ją wyrzuty sumienia. Wtedy zbierało ją na wymioty, a fiolka na toalecie zmieniała się w naczynie z cykutą. Mimo to i tak wołała wziąć kolejną pigułkę i na chwilę poddać się złudnej uldze. A może to był właśnie ten moment, przed którym przestrzegał ją Dieter Aangus, gdy jako psychiatra wypisywał jej recepty? Czyżby jej organizm powoli zaczął się przyzwyczajać do barbituranów i potrzebował coraz większych dawek, zupełnie jakby to był alkohol lub opium? Tego by nie chciała, lecz ból psychiczny po czasie zamieniał się w fizyczny i czuła, że bez zawartości małej fiolki z łazienki nie poradzi sobie... z życiem...

Bernard wciąż namawiał ją, by szkicowała. W pięknym nowym domu, w pokoiku w wieżycy, urządził jej nawet pracownię. Niestety, sztuka przestała przynosić Klarze radość. Nie miała artystycznych wizji, pamięć gdzieś się ulotniła.

Nic nie było na tyle zachwycające, by to uwiecznić. Właściwie już sam fakt, że do pracowni trzeba było wspiąć się po schodach, zrażał ją do dawnej pasji. A nawet jeśli podjęła się jednak wycieczki na ostatnie piętro willi, rezygnowała na myśl, że musi jeszcze przygotować potrzebne do pracy materiały, choć szkice węglowe czy ołówkowe nie wymagały znów tak wielu przyborów. Melancholia złapała ją w swe sidła i nie chciała odpuścić.

Gdy Gerta wychodziła, aby odebrać Fritza z lekcji, a Klara zostawała ze śpiącą córeczką w domu, jej przygnębienie osiągało monstrualne rozmiary. Pani domu nigdy nie czuła się bardziej samotna niż wówczas. Przesiadywała w fotelu przed kominkiem i beznamiętnie wpatrywała się w ogień. Nie miała siły nawet rozmyślać.

Tego popołudnia Klara spodziewała się gościa. Jak co tydzień miał ją odwiedzić Dieter. Jego wizyty od pewnego czasu zdawały się nie mieć większego sensu. Właściwie czekała już tylko na leki, które jej przynosił. Choć z nią rozmawiał i starał się nadal być przede wszystkim lekarzem, dystans między nimi zniknął, przez co czuła, że ocenia jej stan bardzo subiektywnie. Czasem Klara miała wrażenie, że jej apatia wywołuje w nim irytację. Jego beznamiętny ton zastępował lekko podniesiony głos, a spokojne oblicze orały zmarszczki. Wciąż sugerował, by znalazła sobie jakieś zajęcie, lecz od kiedy zerwała na dobre z karierą detektywa, nic już jej nie bawiło. Ale i do tego zajęcia nie miała zamiaru wracać. Nigdy więcej.

W domu rozległ się donośny dźwięk dzwonka. Christian, mąż Gerty, otworzył gościowi drzwi. Klara siedziała w fotelu, zapatrzona w płomień tańczące w kominku, i nawet nie drgnęła. Słyszała głosy obu mężczyzn, ale nie skupiała się na tym, co mówią. Niewiele ją to obchodziło.

Dieter wparował do salonu i od razu podszedł do Klary.

– Jak się masz? – zapytał cicho, przykucając przy jej fotelu.

– Jak zwykle – odparła zdawkowo, starając się oderwać wzrok od ognia.

Poczuła ukłucie w czaszce. Przeniosła nieprzytomne spojrzenie na psychiatrę.

– Jesteś biała jak tegoroczna zima. Gdybyś teraz wyszła na ulicę, nikt by cię nie zauważył – próbował ją rozbawić. Nie uzyskał jednak żadnej reakcji. – Może się przejdziemy? – zaproponował.

– Nie mam siły, Dieterze. Miałam ciężką noc.

– Marie? – Chciał podtrzymać rozmowę.

– Obudziła mnie i już nie usnęłam.

– I tak ci zazdroścę – wyznał szczerze. Sam nie miał dzieci.

– To ją sobie zabierz. Tylko oddaj, jak podrośnie. – W końcu się uśmiechnęła. Wykorzystał ten moment, pochwyił jej dłoń i ucałował. Chciała go pogłaskać po rzadziejących włosach, ale to był tylko tłumiony w zarodku odruch. Nie wiedziała, czy wciąż się jej podoba.

Dieter patrzył na nią, starając się dostrzec cokolwiek w jej oczach, lecz były puste. Jak oczy lalki. Słyszając kroki Christiana, który nadchodził z herbatą, raz jeszcze pocałował dłoń Klary i usiadł naprzeciwko niej w drugim fotelu.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni – poprosił ją, zakładając binokle. Był dziwnie ożywiony. Może zdenerwowany?

Wyjął notes. Przy lokaju musiał wyglądać jak lekarz, choć najchętniej wizyty w tym domu poświęciłby na odzyskanie względów kochanki. Uważał, że gdyby mu się udało na powrót ją w sobie rozkochać, jej melancholia zniknęłaby całkowicie. Choć z pewnością nie byłaby to fachowa porada psychiatryczna...

– Dieterze... – Klara westchnęła i zmarszczyła czoło.

– Cokolwiek – nalegał.

– Nic.

– Przez cały tydzień?

– Przez ostatnie siedem dni siedziałam tutaj. Spałam. Próbowalam jeść. Staralam się zajmować córką i nie zaniedbywać syna.

Christian cicho postawił tacę na stole i opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

– Mąż? – zapytał Dieter przez zaciśnięte zęby i od razu poczuł skurcz żołądka.

– Prawie go nie widuję. – Poprawiła poduszkę pod plecami.

– Rozumiem. – Ucieszył się w duchu i natychmiast sam się za to zganił. – To wszystko?

– Przecież ci mówiłam.

– A jak leki?

– Działają, lecz krótko. Wciąż czuję ból. Muszę zwiększać dawki.

– Musisz się z tym pożegnać – powiedział cicho, ale bardzo stanowczo. Ku jego zaniepokojeniu Klara od razu się ożywiła i bynajmniej nie był to wybuch radości.

– Nie mogę teraz przestać ich brać! Ta rana rwie, ból odbiera mi rozum... – Zdenerwowała się.

– Skoro tak mówisz, to właśnie sygnał, że jest na odwrót – przekonywał.

– Mam nadzieję, że przyniosłeś mi kolejną fiolkę. – Jej oczy błysnęły jakimś nieznanym mu dotąd szaleństwem.

– Nie. Mam dla ciebie coś innego. – Starał się mówić spokojnie, lecz z trudem trzymał nerwy na wodzy.

– Niby co? – W jej głosie pobrzmiwała panika.

Lekarz otworzył torbę i wyjął z niej kilka numerów „Schlesische Zeitung”. Położył gazety na stole i dorzucił do nich kartkę z odręczną notatką.

– Kiedy ostatnio przeglądałaś prasę? – zapytał.

– Nie obchodzi mnie to, co tam piszą.

– Może najwyższa pora, by zaczęło? Minął rok. Nie jesteś już rekonwalescentką.

– Tylko że pewnych rzeczy się nie zapomina – usprawiedliwiała się Klara.

– Rozumiem, że cię boli. Tyle że ów ból nie tkwi tu. – Przyłożył dłoń do blizny ukrytej pod suknią, po czym przeniósł rękę na jej głowę. – Ale tutaj. Długo tak się nie da. Nasze spotkania nie przynoszą rezultatów, bo twoją głowę wypełnia myśl o pigułkach. Spełniły swoją funkcję, a teraz zaczęły ci szkodzić.

– Mam w domu lekarza, który nie widzi żadnych niekorzyści wynikających z takiej terapii – zareagowała ostro.

Dieter spuścił głowę i zaśmiał się nerwowo. Oczywiście, że Bernard cieszył się z takiego obrotu sprawy. W końcu miał żonę, o jakiej zawsze marzył. Czcigodną panią doktorową Schulz. Taką, która nie włóczy się wieczorami po cmentarzach, nie przesadza płotu fabryki, nie daje się postrzelić, nosząc w łonie ich nienarodzoną córkę, a nade wszystko – nie flirtuje ze swoim psychiatrą. W sumie... słusznie, że się cieszył.

– Koniec z lekami – zarządził mimo tej konkluzji i wbił w nią wzrok. – Wiem, że Bernard nie będzie do końca zadowolony. Ale tak trzeba.

– Jeśli zechcę, Bernard znajdzie lekarza, który dostarczy mi moje lekarstwo.

– Oczywiście, Klaro. – Dieter nerwowo przetarł twarz. – Tylko że wtedy ten lekarz i twój mąż będą odpowiedzialni za wszelkie konsekwencje, jakie niesie za sobą długotrwałe przyjmowanie tych substancji. Ale nie ja. – Znów pochwycił jej dłoń, wyciągając się w jej stronę.

Zapadła cisza. Klara zwykle starała się, by ostatecznie zdanie należało do niej. Tym razem milczała. Powoli wyswobodziła rękę spod dłoni Dietera, jakby ta zaczęła ją parzyć. Musiała jednak przyznać mu rację, choćby w tej chwili nienawidziła go z całego serca.

Od dawna już nie czuła smaków i zapachów, radości i przyjemności, zimna, ciepła, podniecenia czy prawdziwego żalu. Wszystko jej zubożało. Nie miała weny. Czasem zastanawiała się, czy w ogóle kocha swoje dzieci? One także jej zubożały. Były, bo były. Jedno płakało, drugie się uczyło. I tyle. Nie znajdowała powodów do zmartwień, do dumy, do radości. Nie miała ochoty o nikogo dbać, nikim się zajmować, co jej rzekomo zadowolony z takiego stanu rzeczy mąż z pewnością też zaczął odczuwać. Chyba już nie potrafiła. Dieter od dawna ją ostrzegał, że to nastąpi. Jej życie zdominowała jedna potrzeba: potrzeba zażycia leków, a gdy nie mogła usnąć – zapicia ich odrobiną koniaku. Nawet dziś, przed kwadransem, gdy Dieter, miłość jej życia, ucałował jej dłoń, ucieszyła się na samą myśl, że ma dla niej fiołkę ukojenia. Nie dlatego, że przyszedł i nadal ją wielbił, mimo iż od kilku tygodni nosiła tę samą suknię albo przedkładała sen nad higienę osobistą, ale ponieważ miał dla niej „ambrozję”. Myśli te przesyły jej umysł niczym błyskawica. Ale chwilę później zgasty. Wizja życia bez nadziei

zamkniętej w pigułkach zaboląa bardziej niż przebłysk świadomości. Odwróciła głowę w stronę kominka.

– Nie będziesz już ze mną rozmawiać? – zapytał, odczytawszy ten gest jako pożegnanie.

– O czym?

– No właśnie... o czym? – dobitnie powtórzył jej pytanie. – Pamiętaj, że dyskomfort w twojej głowie da się pokonać. Ale musisz tego chcieć.

– Chcę – szepnęła, lecz nadal się nie odwracała.

– Więc przeczytaj prasę z ostatnich dni. A za tydzień o tym porozmawiamy.

– Wstał. Nawet nie zareagowała. – Zmniejszaj dawkę leku. Jedna, pół, potem pół co dwa dni, ćwierć i tak dalej. Rozpisałem ci to na kartce. – Wskazał stos gazet, na którego szczycie leżała notatka sporządzona eleganckim pismem. – Zadzwoń, jeśli coś cię zaniepokoi. Do zobaczenia. – Pożegnał się i nie czekając na jej reakcję, opuścił pokój.

Wszedł do ciemnego holu, w którym natknął się na Christiana.

– Co tak krótko, panie doktorze? – zapytał lokaj, podając mu płaszcz.

– Na dziś wystarczy. Czasem tak trzeba.

Klara słyszała ich głosy, tym razem uważnie wylapując każde słowo. Kiedy drzwi zamknęły się za Dieterem, ogarnął ją strach. Wstała i pobiegła na piętro do łazienki. Wysypała tabletki na dłoń.

– Dwa, cztery, sześć, dziesięć, jedenaście... piętnaście. – Ostatnią liczbę wypowiedziała na głos. Jej oddech zadrżał. Nie chciała prosić Bernarda o zdobycie dla niej leków. Wiedziała, że choć nie darzy Dietera sympatią, ufa mu jako lekarzowi. Naciągnęła trochę fakty, twierdząc, że Bernard znajdzie kogoś, kto przepisze jej barbiturany. Nieraz miała okazję przekonać się o tym, że dla zdrowia pacjenta lekarze pozostawiają prywatne urazy za drzwiami gabinetu. Dlatego zdawała sobie sprawę, że mąż uzna decyzję Aangusa za słuszną. Starła się opanować drżenie rąk, które pojawiło się znienacka. Policzyła pigułki, raz jeszcze gorączkowo rozplanowując sobie ich zażywanie przez kolejne dni. Przepołować... Wziąć dziś jeszcze jedną całą, a od jutra po połówce. Potem po ćwiartce. Chyba tak. Instrukcje leżały na stole w salonie. Powinna im się przyjrzeć.

Usiadła na krawędzi wanny i wzięła głęboki wdech. Czuła złość. Miała ochotę wybiec za Aangusem i wymusić na nim swoją dawkę spokoju. Wysypała tabletki do pudełka i odstawiła na miejsce. Gdy wstała, jej wzrok przykuło jej własne lustrzane odbicie. Zaszklone oczy, rozczochrane włosy i biała cera, o której mówił Dieter. Codziennie rano patrzyła w lustrze na bliznę po kuli, kompletnie nie widząc siebie. A widok był żałosny. W takim stanie oglądali ją wszyscy domownicy. Wszyscy. Dzieci też.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy coś naprawdę poczuła. Wrażenie było odległe. Właściwie stanowiło jedynie wspomnienie strachu, którego prawie nie

pamiętała. Nieprzyjemne, budzące złe skojarzenia, a jednak... takie prawdziwe! Z otwartymi ustami przyglądała się osobie, którą stała się przez ostatnie tygodnie. Bitwę myśli w jej głowie przerwał szcęk zamka i głos Fritza. Syn rozmawiał z Gertą i choć w łazience nie było słycać o czym, wyraźnie była to, przynajmniej dla niego, rozmowa poważna, pozbawiona dawnego dziecinnego szczebiotu, śmiechu, uporu. To także do niej nie docierało aż do chwili, gdy zobaczyła własną karykaturę w łazienkowym zwierciadle. Ile jeszcze rzeczy jej umknęło?

Zmoczyła ręce i przyczesła włosy. Chciała przynajmniej stworzyć pozory, że czuje się i wygląda lepiej. Jednak reakcja Fritza, gdy zobaczył ją na schodach, uświadomiła jej, że wygląda fatalnie.

– Witaj, synku – zaczęła nieśmiało.

– Jak mama się czuje? – zapytał nieco mechanicznie.

– Lepiej. – Zmusiła się do uśmiechu.

Spojrzał na nią czujnie. Gerta zawsze w takich momentach współczuła pani domu, przesadnie wyrażając tę troskę bogatą mimiką. Klara zesza jeszcze kilka stopni w dół.

– Gerto, po obiedzie przygotuj mi kąpiel – poleciła, odprawiając ją gestem do kuchni.

– Dobrze. – Gerta była zmieszana. Nie tylko dlatego, że pan domu powtarzał, iż kąpiele bierze się co najmniej pół godziny po jedzeniu. Po prostu zazwyczaj zastawała Klarę w fotelu. Tymczasem dziś doktorowa kręciła się po domu. Była roztrzęsiona, skrajnie blada i wyglądała, jakby uciekła z kliniki przy Auenstraße[3]. Nic dziwnego, że chłopiec wystraszył się własnej matki. Mimowolnie odchodząc do kuchni, Gerta obejrzała się z niepokojem na Fritza.

Klara udała, że tego nie widzi, i zwróciła się do syna:

– Porozmawiamy?

– O czym? – odparł zaskoczony.

„No właśnie... o czym?” Przywołała w pamięci słowa Dietera. Zamarła na chwilę. Nagle przypomniała sobie o dziennikach, które zostawił.

– O wszystkim. Zacznijmy od twojej nauki. – Uśmiechnęła się do Fritza, tym razem nieco naturalniej.

– Co mama chciałaby wiedzieć? – zapytał zmieszany.

Klara starała się sobie przypomnieć, na jakim etapie jego nauki się zatrzymała. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że ostatnim razem rozmawiała z synem na ten temat przed strzelaniną na Hansa Straße. Nie do końca wiedziała, o czym w ogóle mogłaby z nim dyskutować. Teraz, pod wpływem silnych emocji, wzburzenia po wizycie Dietera, w jednej chwili zrozumiała, że syn nie był już jej słodkim, malutkim chłopczykiem. Jako rozumny młodzieniec, choć kochał swoją matkę bezwarunkowo, widział, że nie jest z nią najlepiej.

– Poczytaj mi gazetę – poprosiła, starając się mówić energicznie. Być może

jej głos brzmiał przez to nienaturalnie, ale chciała pokazać, że zgodnie z tym, co powiedziała, czuje się już lepiej. – Sprawdzimy, jak ci idzie czytanie *a vista*.

Fritz niepewnie sięgnął po jeden z egzemplarzy dziennika.

– „Samobójstwo kobiety lekkich obyczajów. Ciało znalezione pod mostem...” – zaczął.

– Nie, nie to. – Klara przygryzła wargę i pokręciła głową. Nie tak to miało wyglądać. Czuła się tak, jakby zobaczyła swojego syna po raz pierwszy po miesiącach rozłąki. Mogła go łatwo wystraszyć.

– Może ogłoszenia? – zaproponowała.

Fritz zerknął na matkę spod oka. Niechętnie przewrócił kilka stron i znalazł rubrykę z ogłoszeniami.

– „Kupię automobil lub oddam w zamian dorożkę z koniem”. – Znowu spojrzał na Klarę badawczo.

– Ktoś tu jest na bakier z dobrodziejstwami współczesności – skomentowała.

– No, dalej, świetnie ci idzie – zachęciła syna do dalszej lektury.

– „Udzielę lekcji gry na fortepianie. Niedrogo i solidnie”.

– Chciałbyś grać na fortepianie? – zapytała zniecierpliwiona Klara.

– My nie mamy fortepianu – odburknął. Matka go irytowała. Dziś nawet bardziej niż zazwyczaj.

– Ale możemy mieć. Mówię absolutnie poważnie. Niech to będzie sposób na wspólne spędzanie czasu. A może i ja się czegoś nauczę? – Czuła, że słabnie. Oblał ją zimny pot. Opadła na fotel przy kominku.

– Mogę spróbować – przystał na jej propozycję. Nawet mu się spodobała. Zachowanie matki nieco mniej, ale perspektywa posiadania nowej zabawki była pociągająca.

– Skontaktuję się z redakcją i spotkamy się z nauczycielem. Zgoda?

– Oczywiście – odparł nadal niepewnie, ale w jego oczach błysnęła iskra nadziei. Być może nauka gry na fortepianie była sposobem na odzyskanie dawnej matki? Zgodziłby się na wszystko, aby tak się stało.

2 Ul. C.K. Norwida.

3 Ul. O. Bujwida i ul. J. Mikulicza-Radeckiego.

II

Blade słońce za wszelką cenę starało się przedrzeć przez grubą warstwę chmur. Jednak ta nie miała zamiaru ustąpić. Lód skuwał Odrę pokrywą, po której gdzieś swobodnie można było jeździć na łyżwach. Tam, gdzie był cieńszy, wędkarze nawiercali przeręble i łowili ryby. W niektórych miejscach było ich całkiem sporo. Siedzieli okutani po uszy w grube płaszcze, w potężnych butach i wielgachnych czapach, z wąsami pokrytymi szronem i czekali. Były też takie miejsca, gdzie Odra nie zamarzała lub lód był cienki jak kartka papieru. Tam zbierało się ptactwo, które pozostało na zimę w Breslau. W takich miejscach można było spotkać amatorów tuczenia kaczek i mew czerstwym chlebem. Należeli do nich zarówno samotni starcy, jak i opiekunki wyprowadzające dzieci na spacer. Najmniejsi miłośnicy zimy wyglądali w swoich płaszczkach i czapczkach jak małe rumiane kulki, od czasu do czasu wydające wesołe piski.

Ale wśród mieszkańców krajów takich jak Niemcy, gdzie „obowiązywały” cztery pory roku, byli i tacy, którzy zimy nienawidzili. Gabriel Hübschner wcale nie miał ochoty wychodzić z domu. W taką pogodę najchętniej spałby cały dzień, od czasu do czasu tylko wpuszczając do pokoju lokaja z porcją czegoś gorącego do picia i smacznego do jedzenia. Ale policyjna robota nie znała litości. Nie wybierała słonecznych dni i wysokich temperatur, nie gustowała w konkretnych porach roku, nie rozpieszczała. Gabriel nieraz nadawał jej ludzką postać, porównując do bezwzględnej suki zadającej ciosy poniżej pasa w najmniej oczekiwanym momencie. A dziś po prostu jej nienawidził. Szczerze.

Z łóżka wygnął go telefon, którego dzwonek rozdarł poranną ciszę z takim impetem, że Gabriel trząsł się, gdy podnosił słuchawkę. Zamroczony niskim ciśnieniem, starał się obudzić, zdając sobie sprawę z tego, że tak naprawdę powinien być już dawno ubrany i co najmniej zmierzać w stronę prezydium, a nawet być tam już od godziny. W takich sytuacjach zawsze usprawiedliwiał się tym, że szef policji ma wiele pracy, również takiej, którą musi wykonać w domu. Dzwoniący mógłby go zapytać, jakąż to pracę wykonuje się przez sen, ponieważ Hübschnera zdradzał głos. Tylko że on nie musiał się usprawiedliwiać. W końcu to on tu rządził. Mimo to poinformował policjanta, który do niego zadzwonił, że pochorował się przez te paskudne przeciągi i zimę, która w Breslau dokuczała mu bardziej niż gdziekolwiek indziej.

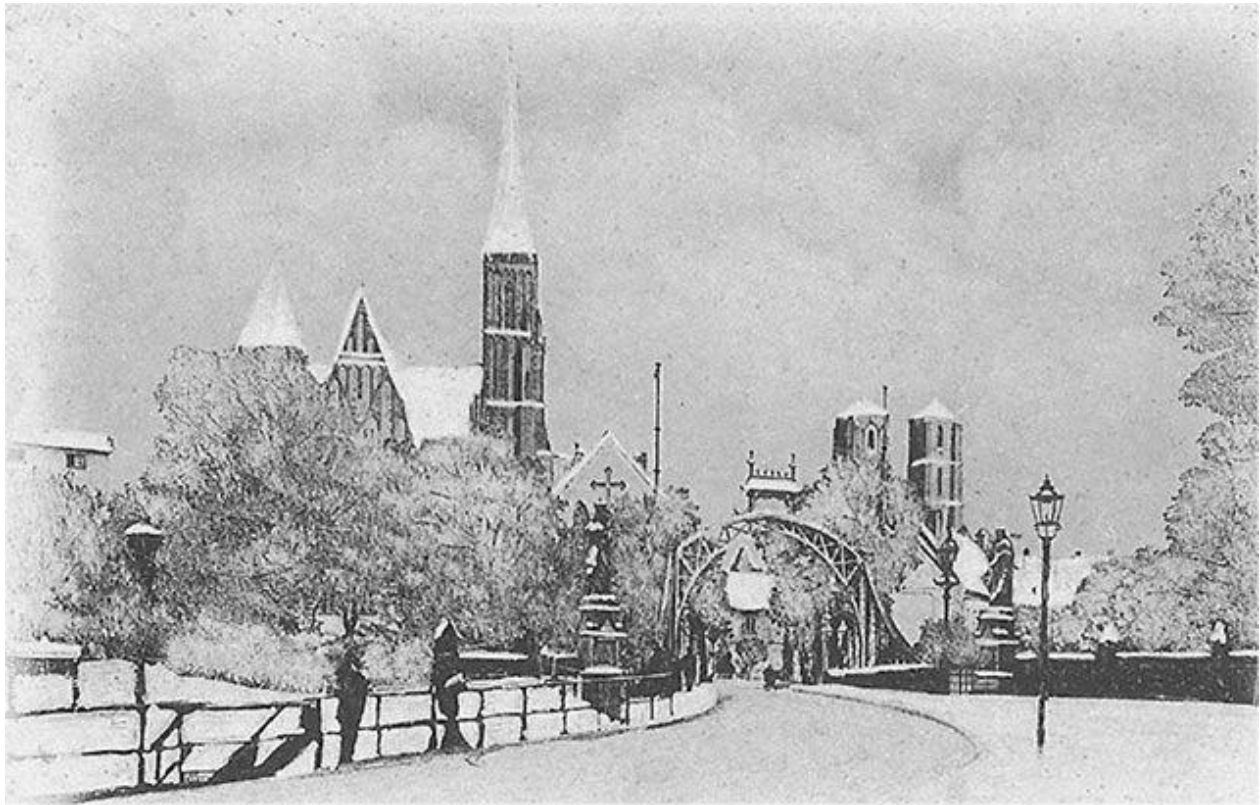
– Szanowny pan życzy sobie czegoś jeszcze? – zapytał lokaj, stawiając przed Gabrielem szklankę z jajkiem po wiedeńsku i jednocześnie zagospodarowując ostatnie wolne miejsce przy niewielkim okrągłym stole.

- Wyjechać na Teneryfę i nie wracać – mruknął.
- Słucham? – zapytał uprzejmie lokaj.
- To wszystko, dziękuję – odparł zrezygnowany Gabriel. – Resztę Josef zostawi na drugie śniadanie. Może być późne.
- Rozumiem – zapewnił Josef, przyzwyczajony do tego, że drugie śniadanie mogło wypaść na godzinę dziesiątą wieczorem.

Gabriel w pośpiechu, nawet nie starając się delektować idealnie wprost przyrządzonym przez kucharkę jajkiem i doskonałymi konfiturami z truskawek, wciągnął wszystko, czego nie trzeba było specjalnie przeżuwać, po czym wybiegł z domu. W drzwiach zdążył jeszcze gestem powstrzymać ubierającego się do wyjścia lokaja. Josef robił to za każdym razem, choć Gabriel nigdy nie miał do niego cierpliwości. Policjant mógłby ułatwić sobie życie i kazać podać sobie buty, zakręcić korbą samochodu albo zagrzać sobie uprzednio siedzenie. Ale Josef wszystko robił powoli, przyzwyczajony do tego, że zamożnym ludziom się nie śpieszy. Lokaj nie mógł pojąć, że jego pracodawca nie należy do tej samej kasty, co jego rodzice, choć to właśnie w rodzinie Gabriela wykonywanie zawodu policjanta traktowano jak kaprys.

W drodze do automobilu łapał pion na gdzieniegdzie oblodzonym chodniku, dodatkowo dla utrudnienia przykrytym świeżą warstwą białego puchu. Josef zdążył już przygotować dla niego auto. Biały, niespełna roczny ford t touring odcinał się od śniegu tylko dzięki połączonym wykończeniom i czarnemu zadaszaniu. Zimna, skórzana tapicerka jeszcze bardziej rozstroiła Gabriela, choć był posiadaczem jednego z najpiękniejszych samochodów w Breslau, którym śmiało mógł jeździć o każdej porze roku. Chuchnął w dłonie, ciężko westchnął i zakręcił korbą automobilu.

Powoli wytoczył się spod bramy numer siedemdziesiąt trzy z rogu ulic Charlotten[4] i Kaiser-Wilhelm-Straße[5] i ruszył w stronę Dominsel[6].



Dombrücke, czyli most Tumski, w zimowej scenerii

Przejechał przez Kreuzstraße[7] i zaparkował pod pomnikiem Nepomucena. Wysiadł. W jego stronę natychmiast ruszyła para oburzonych zakonnic.

– Proszę szanownego pana... – zaczęła jedna z nich surowym tonem.

– Policja – rzucił i nie zatrzymując się, pognął w stronę Dombrücke[8]. Siostry spojrzały na siebie, po czym jak na komendę opuściły głowy.

Gabriel ruszył wzdłuż ulicy. Pośliznął się na kostce brukowej. Zaklął. Był pierwszym człowiekiem na Dominsel, który szedł dzisiaj tą drogą. A przynajmniej tak wnioskował po stanie śniegu. Już z dala dojrzał zgromadzenie na moście. Gawieź spragniona wrażeń zebrała się w miejscu zbrodni jak sępy nad konającą na pustyni ofiarą, liczące na kawałek padliny. Za każdym razem, gdy jechał do morderstwa, czuł paskudne łaskotanie w żołądku. Kochał swoją pracę, ale niekoniecznie lubił widok zwłok. A ci ludzie gromadzili się tu z ciekawości. Gabriel widział skrzywdzonego człowieka, bez względu na to, czy sam się o tę krzywdę prosił, czy nie. A oni? Trupa, sensację, odrobinę rozrywki. Być może latem odstręczyłby ich smród, lecz zimą, nawet jeśli towarzyszył oględzinom miejsca zbrodni, zdawał się do zniesienia. Ale najgorsza była świadomość, że w momencie, w którym znudzeni gapie wrócą do domu, on zacznie prawdziwą pracę. Kiedy oni będą rozpowszechniać sensacyjne wieści przy niedzielnym piwie,

Gabriel będzie musiał zmierzyć się z brutalną rzeczywistością. On i jego podwładni będą dochodzić prawdy, gdy obecni tu mieszkańcy miasta zasną po pełnym wrażeń dniu.

Podejrzewał, że tak jak w poprzednim przypadku, tak i tu napotka problemy. Tym bardziej że oba zdarzenia były do siebie podobne, ale tylko Gabriel upierał się, że aż nazbyt...

W tłumie wyłowił swojego zastępcę, Sanza.

– Co tam, Wehrner? – zapytał, przyglądając włosy pod kapeluszem.

– To samo – odparł Sanz. Nawet nie drgnął, zapatrzony w kojącą oczy biel pokrywającą bruk.

Na moście panowała cisza. Nawet gapie, którzy wychylali się z okien stojącej tuż obok białej kamienicy, przyglądali się w milczeniu. W napięciu czekali na finał policyjnej akcji, która trwała już od paru godzin. Flagi powiewały na masztach Dombrücke, a ich łopotanie na zimnym, przesywającym do kości wietrze zdawało się dodawać powagi całej sytuacji. Dziwne, że ich nie opuszczono. Trochę wilgoci i zamarzną.

Tymczasem pod mostem trwała krzątanina, panował zgiełk, choć głośne krzyki policjantów tłumił wszechobecny biały woal. Cała akcja przypominała jakiś wydumany popis akrobatyczny. Policjanci zabezpieczeni linami, niektórzy wciąż podwieszani pod kratami mostu, usiłowali dostać się do przymarzniętego do lodu ciała kobiety. Denatka prawdopodobnie wylądowała tu w nocy, gdy mróz nieco zelżał i prószył śnieg. Przez kilka dni jej powoli zamarzające ciało pokryła warstwa puchu, która zamieniła się w trudną do rozbicia skorupę. Kiedy dzisiejszego poranka wiatr chwilowo ustał, a zza chmur wyjrzało blade słońce, mgła uniosła się i odsłoniła ciemny kształt. Ciało dostrzegł podążający do kościoła pastor (a przynajmniej od razu zaznaczył, że wracał z nocnej modlitwy prosto na nabożeństwo). Teraz policjanci, walcząc z warunkami panującymi na środku rzeki, próbowali wywindować ciało na most. Od kilku godzin, bo nie było to łatwe zadanie.

– Mówię ci, coś tu nie gra – powiedział Gabriel do Wehrnera. Jego zastępca oderwał w końcu oczy od mamiącej bieli.

– Wiem. Wszystko jest co najmniej... niemożliwe – skwitował.

– Nie było śladów na śniegu. Ani stóp, ani krwi. Niczego... Przecież nie mam zwidów!

– Może sama skoczyła? A śladów trzeba szukać tu, na Dombrücke – zastanawiał się głośno Sanz.

– Chciała powielić poprzednie „samobójstwo”? – odparł pytaniem Gabriel.

– Albo te dwie się znały...

– Sanz, przecież sam w to nie wierzysz! – wyszeptał teatralnie Gabriel. – Jeszcze nie wiemy, czy ta też była prostytutką. To cud, że poprzednią

zidentyfikowała przyjaciółka. Oby chociaż ta figurowała wśród naszych zaginionych. Nie mam ochoty znów łązić po burdelach ze zdjęciem trupa. – Odwrócił się od zastępcy i kaszlnął. Za bardzo się emocjonował. Nic jednak dziwnego, skoro był sam ze swoją teorią. – Ale jeśli to kolejna prostytutka, to jestem pewien, że nie ma mowy o zbiegu okoliczności – dodał.

– Mnie też trudno przyjąć bez wątpliwości teorię o „fali samobójstw”. Niemniej jednak – Sanz ściszył głos w obawie, że podsłuchuje go jakiś pismak – dopóki nie mamy żadnych dowodów, dopóty musimy się jej trzymać...

Jeden z funkcjonariuszy wyłonił się zza krat mostu. Sanz pomógł mu wgramolić się na „ład”.

Policjant otrzepał płaszcz i potarł zaczerwieniony nos.

– Jeszcze chwila, panie dyrektorze.

– Pocięta? – zapytał Gabriel i przekrzywił głowę, jakby nadstawiając ucha.

– Tak. Tym razem nadgarstki, na pierwszy rzut oka.

– Słyszysz, Wehrner? – Gabriel znów zwrócił się do Sanza. – Skąd one wiedzą, co i jak mają ciąć? Tego nie da się przeczytać w książkach. Zresztą ta poprzednia pewnie nawet nie umiała czytać.

– Ta poprzednia na pewno krócej zamarzała, zważywszy, że miała przeciętą tętnicę udową – skomentował Sanz.

Mężczyźni podeszli do bariery mostu. Ciało wciągano coraz wyżej i wyżej. Kobiecie przykryto twarz grubym płótnem. W tym momencie znów zerwał się przejmujący, lodowaty, północny wiatr. Flaga nad głową Gabriela załopotała głośno, aż podskoczył. Materiał opadł z twarzy denatki. Miała otwarte oczy. Gabriel wzdrygnął się ponownie, tym razem na ich widok. Nie zaszyły jeszcze bielmem. Wyglądało to tak, jakby pełna pretensji patrzyła na bezradnego, samotnego w swych przekonaniach szefa policji, chcąc mu tym gniewnym spojrzeniem przyrzec, że jeśli nie odkryje, co się z nią stało, i nie ukarze winnego, będzie go nawiedzać w snach.

Gabriel nie marzył o niczym innym, jak tylko o udowodnieniu swojej tezy. Niestety, mróz zafałszował także wiele wskazówek dotyczących śmierci kobiety, i to najważniejszych, takich jak choćby czas zgonu. Pogoda, z jaką musieli się zmierzyć śledczy, utrudniała im pracę. Być może jednak gdzieś tam był ktoś, komu te warunki bardzo odpowiadały. Dla potencjalnego mordercy były wprost idealne do zacierania śladów, a zwłaszcza do upozorowania samobójstwa.

Zesztywniałe ciało, o ironio, ożywiło zgromadzonych na moście gapiów. W końcu doczekali się upragnionej sensacji. Mało brakowało, a zaczęliby bić brawo. Gabriel spojrzał na nich zdegustowany.

– Jedziemy po doktora Eckerta? – zapytał jeden z funkcjonariuszy.

– Nie, zabierzmy ją do niego – odparł, wciąż patrząc z obrzydzeniem w stronę „publiczności”. – I tak musimy ją rozmrozić – dodał ponuro.

Wyrzwał raz jeszcze za barierę mostu. Nikt nawet nie powiedziałby, że jeszcze przed chwilą leżał tam martwy człowiek. Wokół nie było żadnych śladów. Nawet krew z otwartych nadgarstków kobiety całkowicie wsiąkła w podłogę. Pozostał tylko przerębel, który wycięli funkcjonariusze policji. I tyle.

– Ruszamy, panowie – zarządził.

Nie czekając na ich reakcję, pomknął w stronę pomnika, pod którym zostawił auto, jak zwykle lekko powłócząc nogami i zostawiając za sobą posuwiste, długie ślady.

Kilka minut po drugiej w domu państwa Schulzów rozległ się dzwonek. Zanim Gerta zdążyła podnieść ciężką pupę z kuchennego taboretu, umyć dłonie z mąki, zdjąć fartuch i czepek, napsioczyć pod nosem na kogoś, kto przerywa jej robotę przy obiedzie, i poczłapać do przedpokoju, zmuszając się do przyjęcia dobronudszego wyrazu twarzy, Fritz dawno już otworzył drzwi gościowi. W wejściu stała wysoka, szczupła blondynka w eleganckim, choć nieco znoszonym, grubym bordowym płaszczu i raczej niemodnym kapeluszu, ozdobionym jedwabnymi kwiatami. W jej twarzy była jakaś słodycz, która wywołała uśmiech na twarzy chłopca.

– Dzień dobry – przywitała się kobieta i odwzajemniła uśmiech. – Nazywam się Inge Hirsch.

Z głębi przepastnego domu dał się słyszeć głos:

– Fritz, zaprowadź panią do salonu!

Klara leżała na łóżku w sypialni. Wokół wały się rozrzucone gazety, którymi uraczył ją Dieter. A ona skręcała się w cierpieniu, niemal do krwi gryząc przegub. Minęły cztery dni. Zdążyła już poobgryzać wszystkie paznokcie. Oczy na przemian piekły ją i swędziały. Wciąż kręciło się jej w głowie. I ten potworny, nieznosny, rozrywający ból, choć teraz naprawdę nie była pewna, czy go czuje, czy tylko sobie wyobraża. Do tego mdłości. Starła się ze wszystkich sił. Ale nie wiedziała, jak długo uda jej się wytrzymać. Brała już tylko pół tabletki dziennie, lecz dotychczas potrafiła zażyć nawet pięć (wbrew zaleceniom Dietera – o czym rzecz jasna nie miał pojęcia – i w ogóle wbrew zdrowemu rozsądkowi).

Usiadła, głęboko oddychając. Z wysiłku zalała się potem, który pomieszał się z łzami. Otarła twarz rękawem. Pociągnęła nosem. Poczowała przyływ mdłości. Życie było koszmarem. Letarg pozwalał zapomnieć o wszystkim, co rzeczywiste. O obowiązkach, problemach. Odbierał emocje i uczucia, które czyniły Klarę człowiekiem. Wyobrażała sobie, że tak muszą wyglądać narodziny. Płacz dziecka, na który czeka matka, jest tylko wyrazem przerażenia po wyrwaniu ze słodkiej nieświadomości mąk życia codziennego. Zderzenie z rzeczywistą naturą życia jest jak upadek z wysokiej skarpy. Ona też jakby ponownie się rodziła lub zbierała z ziemi obolałe jak po upadku ciało. W męczarniach odzyskiwała zmysły. Zsunęła wilgotny rękaw na pogryzioną dłoń. Przeszła do łazienki, uważnie stawiając kroki

w ciemnym korytarzu. Chwyciła szczotkę do włosów i próbowała się uczesać. Ale jej ręką jakby władał kto inny. Złośliwiec starający się dla żartu utrudnić jej zadanie. W końcu zamiast popracować nad kokiem, zaplotła niedbały warkocz, tym bardziej że nawet tak prosta czynność jak układanie fryzury potwornie ją męczyła. Otarła oczy.

Schodząc po schodach, starała się skumulować energię potrzebną jej do zachowania pozorów normalności.

– Pięć minut – powtarzała w duchu. – Przywitasz się, zapłacisz i wrócisz do łóżka.

Weszła do salonu, w którym od wczoraj zrobiło się nieco ciasniej, choć jego powierzchnię naprawdę trudno było zmniejszyć. W wykuszu, do tej pory zagospodarowanym jedynie kwiatami, stał teraz niewielki fortepian Seilera. Ledwo przeżyła wczorajszą rewolucję, podczas której tragarze wnoszący instrument do salonu nabrudzili śniegiem i błotem. Jeden z nich stłukł stary wazon, rodzinną pamiątkę Bernarda, za co, w ramach zadośćuczynienia, firma zdecydowała się podarować Schulzom roczny pakiet comiesięcznych strojeń. Mimo że dziś ledwo żyła, Klara zagryzła wargi i postanowiła odzyskać syna. Patrząc w jego błyszczące z przejścia oczy, nie żałowała ani przez chwilę, że zdecydowała się na ten krok.

– Dzień dobry – niemal wykrzyknęła na widok nauczycielki. Starła się „tryskać” zdrowiem i energią, choć z każdym krokiem czuła się coraz słabsza. – Klara Schulz. Bardzo mi miło. Fritza już pani poznała.

– Tak. Powiedział mi, że wczoraj próbował grać, lecz nie wie, od czego zacząć. – Inge uśmiechnęła się serdecznie do syna Klary.

– Liczę, że będzie pojętym uczniem. Zostawię was samych. Gosposia się z panią rozliczy...

– Dziękuję, lecz gdybym mogła panią prosić, aby towarzyszyła pani synowi podczas zajęć... Byłoby to niezwykle pomocne. Dzieci zapominają, potem nie wiedzą, jak prawidłowo ćwiczyć. Da się pani namówić?

Klara spojrzała na nią zrezygnowana. Liczyła, że uda się jej szybko wrócić na górę. Przeniosła wzrok na Fritza, który patrzył na matkę z nadzieją.

– Nie wiem, czy i ja zapamiętam – broniła się. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nie była pewna, czy hipnoza szaleńca, w którego sidła wpadła przed kilku laty, odebrała jej tyle samo sił, co zażywane od kilku miesięcy barbiturany.

– Pomogę! – zapewniła ochoczo Inge. – Z czasem Fritz nauczy się grać sam. Ale teraz potrzebuje asysty mamy.

Klara raz jeszcze spojrzała na swoje dziecko. Iskra nadziei gasła w nim z każdą sekundą.

– Dobrze, zostanę. – Postanowiła nie dodawać komentarza w stylu „nie wiem po co...”. Usiadła w fotelu i zaplotła ręce. Nie była zadowolona z takiego

obrotu sprawy. Bała się, że zaśnie i narobi całej rodzinie wstydu. Albo wybiegnie nagle do toalety, bo jej wątroba znów da o sobie znać. Ale Inge niemal od razu rozpoczęła lekcję i obawy Klary minęły. Złe samopoczucie powoli ustępowało rosnącemu zainteresowaniu. Nie, żeby intrygowała ją muzyka. Oczywiście uwielbiała jej słuchać na wszelkiego rodzaju koncertach, w radiu czy na płytach, lecz niekoniecznie chciała uczyć się grać, szczególnie w tym wieku. Aczkolwiek sposób, w jaki Inge zwracała się do jej syna, był niezwykle inspirujący. Klara od razu pomyślała, że ta skromna nauczycielka ma pewnie na utrzymaniu gromadkę własnych pociech. Sądząc po jej znoszonym, niemodnym, chociaż wciąż zadbanym ubraniu, nie było jej lekko, ale starała się, jak mogła. Klara przyłapała się na tym, że ją ocenia. To detektywistyczne zacięcie wciąż w niej tkwiło. Choć ból, zimne poty i dreszcze odbierały jej chęć do życia, wracała jej jasność myślenia.

W oddali usłyszała pytanie, ale była zbyt pochłonięta wspomnieniami, które zawsze wracały w takich chwilach.

– Słucham? – zapytała sennie. Nie była nawet pewna, czy owo pytanie naprawdę padło, czy też może usłyszała je w myślach.

– Pytałam, czy umie pani czytać nuty? – Inge powtórzyła jak najbardziej realne pytanie.

– Tylko pobieżnie – odparła Klara.

– To już coś. – Nauczycielka zaśmiała się perliście. Ten śmiech od razu przywiódł Klarze na myśl arię z dzwoneczkami z *Lakmé* Delibes’a.

– Czy pani śpiewa? – Klara pomyślała, że palnęła jakieś głupstwo. Zapadła cisza. Inge spojrzała na nią z zakłopotaniem.

– Tak, właściwie nie jestem do końca pianistką. Ale nie brakuje mi doświadczenia! – Nauczycielka od razu przeszła do defensywy.

– Ach, w to nie wątpię! – poprawiła się Klara. – Pytam z ciekawości.

– Rozumiem. – Kobieta odetchnęła i potwierdziła: – Tak, jestem śpiewaczką.

Klara pomyślała, że ktoś musiał jej zarzucić brak profesjonalizmu. Śpiewaczka uczy gry na fortepianie? W niektórych snobistycznych domach to mogło brzmieć jak czysty nonsens...

– Sopranem? – zapytała szybko.

– Jest pani prawdziwą melomanką – zauważyła Inge.

– Moja mama jest detektywem – dodał skwapliwie Fritz.

– Tak jakby... – sprostowała Klara.

– Och... każda kobieta jest detektywem zdającym się na intuicję, prawda? – Inge chciała zaskarbić sobie sympatię bogatej na pierwszy rzut oka pracodawczyni.

– Tak, szczególnie w kwestii brudnych uszu i nieodpowiedniego zachowania na lekcjach matematyki – ucięła Klara, ciesząc się, że Inge nie rozpoznała w niej znanej z gazet – coraz chętniej przecież podejmujących temat sufrażystek – niepokornej żony, która zamiast bawić się w detektywa, powinna zajmować się

domem i dziećmi. Dziennikarze nie pozostawili na niej suchej nitki, po tym jak niemal zginęła z ręki Gaspara von Haasa. Breslau bywało takie zaściankowe! Gdyby tylko można było na kogoś zrzucić winę za roszady na najwyższych szczeblach policyjnej drabiny, Klara wygrałaby w przedbiegach. Sufrażystka, numer jeden w Breslau. Na szczęście oszczędzono jej krzywdzących żartów i karykatur, których nie żałowano emancypantkom za oceanem. Dobrze, że chociaż Gabriela od razu okrzyknięto rycerzem w lśniącej zbroi, zamiast wyrzucać mu rozgrzebane zgrabnie upchniętych pod dywan miejskich śmieci. Pewnie jego elokwencja i niewątpliwa uroda bardzo mu w tym pomogły. O płci nie wspominając.

Inge wyczuła, że Klarą targają emocje. Wołała zmienić temat, choć z pozoru wydawał się neutralny. Tym bardziej że Klara znów zatopiła się w myślach.

Lekcja Fritza przebiegła dość sprawnie. Klara nie naraziła się na śmieszność, nie zawstydziła syna i nie splamiła dobrego imienia domu Schulzów. Marie domagała się obecności matki tylko raz, więc można było uznać, że i ona uszanowała nową pasję brata. Na pytanie, czy jest zadowolony z zajęć, Fritz aż podskoczył.

– Czy możemy ćwiczyć codziennie? – zapytał z entuzjazmem.

– Dwa razy w tygodniu w zupełności wystarczą – odparła Inge, wymieniwszy wcześniej z Klarą porozumiewawcze spojrzenie. – Musisz mieć jeszcze czas na oddech i praktykowanie gry w samotności.

– Zajmij się przez chwilę siostrą – poleciła mu Klara.

Fritz niechętnie się pożegnał i pobiegł na piętro do bawialni.

– Dziękuję – zwróciła się Klara do Inge, wręczając jej wynagrodzenie.

– Ojej! – Nauczycielka otworzyła oczy ze zdumienia. – To chyba za trzy lekcje z góry.

– Nie, to za dziś.

– Nie trzeba, to aż nadto!

– Proszę przyjąć. Na pewno się przyda – naciskała Klara.

– Żebym jeszcze miała na kogo je wydać... Żyję sama jak palec, a od kiedy straciłam pracę w chórze opery, nie bywam nawet w towarzystwie.

– Wszyscy wiemy, w jakim Niemcy są teraz kryzysie. A pani ma taką rękę do uczniów. – Klara znów starała się nie wyjść na wścibską, ale nie mogła powstrzymać zdziwienia, gdy Inge zaznaczyła, że sama nie ma dzieci. – Proszę, na dobry początek.

– Dziękuję. – Inge zmieszana opuściła wzrok.

Kobiety wyszły do przedpokoju, gdzie Gerta pomogła nauczycielce włożyć płaszcz.

– Piękne szkice – zauważyła Inge.

– Tak... niestety już się tym nie zajmuję – westchnęła Klara. – To miłe, co

pani mówi. – Uśmiechnęła się blado.

– Pani rysuje? Naprawdę pierwszorzędnie! – Inge była szczerze zdumiona.

– Ostatnio jakoś brak mi inspiracji. – Klara wiedziała, że niełatwo będzie ominąć temat.

Artyści... Mogliby wciąż rozprawiać o sztuce, komplementując się nawzajem. Nie zawsze zresztą szczerze...

– Czasem wena wraca, jeśli zaczynamy uprawiać inny rodzaj sztuki. *Correspondance des arts*. Jedna muza pomaga zrozumieć drugą. Przez to, że się łączą i uzupełniają, dodają sobie nawzajem skrzydeł. Twórcy także.

– Żeby to było takie proste... – Klara musiała przyznać, że spodobał jej się wywód Inge.

– Ależ jest! Może śpiew? – zachęcała nauczycielka.

– O nie, nie! – Klara roześmiała się i od razu znów poczuła się słabo.

– Dlaczego? – Inge była znacznie bardziej poważna.

– Mąż twierdzi, że ciąży na mnie klątwa absolutnego braku zdolności w tym zakresie.

– A on sam jest muzykiem? – Inge porozumiewawczo przymrużyła oczy.

– Nie, lekarzem...

– Więc proszę dać szansę muzykowi i pozwolić mu ocenić pani talent – nalegała nauczycielka.

Klara przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Przywołała w pamięci słowa Aangusa. Musiała coś robić, bo melancholia powoli ją zabijała. A do zawodu detektywa nie miała zamiaru wracać. Tamten etap miała już za sobą. I może faktycznie obcowanie z muzyką było sposobem na ponowne otwarcie umysłu?

– Dobrze, niech będzie. Ale... – uniosła w górę palec, lekko rozbawiona całą tą sytuacją – ...po kolejnej lekcji Fritza. On tu jest najważniejszy. Aha. I będzie pani całkowicie szczerą.

– Jeśli trzeba będzie, to nawet do bólu. Obiecuję – odparła zadowolona Inge.



Dahnstraße, ob. ul. S. Moniuszki

Ten wieczór w domu Schulzów był głośny i radosny. Fritz opowiadał z przejęciem o swojej pierwszej lekcji. Bernard, który rzadko przebywał w domu, cieszył się każdym słowem syna. Marie wtórowała bratu, próbując go przekrzyczeć. Popiskiwała tak przeszywająco, że jej głos wzbudzał struny nowo nabytego fortepianu. Tylko Klara nie miała ochoty na rozmowę. Starła się w niej uczestniczyć, lecz tak naprawdę była bardzo daleko. Głowę zaprzętały jej inne myśli. I, o dziwo, nie chodziło o kolejne dawki barbituranów. Zastanawiała się, jak mogło potoczyć się jej życie. Na pierwszy rzut oka Inge była jej równolatką. Mówiła, że jest sama. Nie miała wsparcia, kochającej rodziny ani zbyt wielu przyjaciół. Jak wyglądały jej dni? Czy cierpiała? A może było jej dobrze? Może nie trzeba było mieć tego wszystkiego co Klara, by czuć się szczęśliwą?

Do salonu zajrzała Gerta.

- Telefon do pani. Dzwoni pan Gabriel – powiedziała.
- Tylko on może dzwonić o tak niestosownej porze – skomentował Bernard.
- Nie tylko ty pracujesz do późna – odgryzła się Klara.
- Tylko nie daj się w nic wplątać.
- Gabriel to nasz... mój przyjaciel. Zazwyczaj po prostu pyta o zdrowie –

rzuciła, wychodząc. Bernard od dawna nie pytał jej, jak się czuje i czy wszystko u niej w porządku. Uważał, że jest tak, jak widać gołym okiem. Klara siedzi w domu. Czyli jest doskonale.

Gerta podała Klarze słuchawkę.

– Dobry wieczór. Co u ciebie? – uprzedziła jego pytanie.

– Ach, lepiej nie wiedzieć. A ty? Jak się masz?

– Tak jak ostatnio. No, może nieco lepiej. Za to ty wydajesz się przygaszony...

– Tak. Trafiło nam się dziwne śledztwo. – Gabriel nie potrafił kluczyć. Zazwyczaj od razu mówił, co myśli.

– Przykro mi, ja ci nie pomogę. – Klara od razu się usztywniła.

– Ale dlaczego?! – zawołał. – Nie musisz nawet wychodzić z domu. Przyjdę do ciebie, choćbyś kazała mi się czołgać...

– Po co ci moja asysta? – szepnęła teatralnie. – Przecież sam rozwiązałeś tyle spraw...

– Znasz moje zdanie – przerwał jej.

– To o świeżości spojrzenia? – Pokręciła głową. Znali się już na tyle długo, że Klara zdążyła dobrze poznać jego dziwactwa. – Idź do mojego ojca.

– Myślisz, że tego nie rozważyłem? – Nadal się denerwował.

– Więc co cię powstrzymało?

– Jego rutyniarstwo – wycedził. – To nie będzie świeże spojrzenie.

– Gabrielu... Wiesz, że nie mogę.

– Czy ty aby na pewno nie wyolbrzymiasz problemu?! – Nie wytrzymał. Niemal od razu zacisnął pięść. Palnął głupstwo. – Przepraszam... Nie powinienem był.

– Zgadza się... – odrzekła, lecz jego słowa ją zastanowiły. Co się z nią stało? Kiedyś nie bała się strzelić we własnym domu do Marcusa Kellera, napastnika gotowego zgwałcić ją i zamordować z zimną krwią. Przeżyła atak Jaana Brycka i szalonego fotografa w pociągu relacji Danzig–Breslau. Będąc w ciąży, wykonała wyrok na jednym z oprawców swojej matki. Walczyła o swoje sprawy – zarówno pięściami, jak i słowami – z mężem, ojcem i nierzadko z samą sobą. A teraz... no tak. Teraz to było co innego. Teraz obiecała sobie, że już nigdy nie powróci do tamtego zajęcia. Po tym, jak omal nie umarła i nie zabiła swojej nienarodzonej córki, postanowiła porzucić dawne życie i zająć się tym, czym powinna zajmować się kobieta z jej pozycją społeczną.

– Jesteś tam? – zapytał Gabriel, bo Klara od jakiegoś czasu milczała.

– Zajrzyj do mnie, gdy będziesz miał chwilę. Tylko nie zabieraj akt. Nie chcę się w to mieszać. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale ja naprawdę nie mogę.

– Dziękuję za zaproszenie – burknął Hübschner.

Klara odwiesiła słuchawkę. Zamiast skierować się z powrotem do salonu,

ruszyła do łazienki. Złapała fiolkę z wyliczonymi pigułkami. Wysypała dwie na drżącą dłoń. Od razu włożyła je do ust. Zamknęła oczy. Zanim zdążyły się rozpuścić, wypluła je. Ułamała połowę jednej z nich i taką dawkę zażyła. Zgasła światło i czekała, aż lek zacznie działać. Poczowała ukłucie w obojczyku. Ból zdawał się promieniować do żuchwy i w dół, aż do ostatnich żeber. Wzięła kilka głębszych oddechów. Kłucie stało się mniej intensywne, w końcu stłumiła je na tyle, by móc wstać.

Od jutra po ćwiartce. A jak się nie poprawi, poproszę Bernarda o nową fiolkę. W końcu sam tego chciał – pomyślała.

4 Ul. Krucza.

5 Ul. Powstańców Śląskich.

6 Ostrów Tumski.

7 Ul. Świętokrzyska.

8 Most Tumski.

III

Inge przystanęła na chwilę, by złapać oddech. Popołudnie upłynęło jej bardzo przyjemnie, choć zapowiadało się nerwowo. Na szczęście pani Schulz okazała się całkiem ciekawą osobą i nieco bardziej przyjazną, niż mogłoby to wyglądać na początku. Znow ruszyła. Wdrapała się po schodach do swojego niewielkiego mieszkania przy Bunzlauer Straße[9]. Przejrzała pocztę, której tym razem było więcej niż zwykle. Zawsze w takich momentach miała nadzieję, że wśród listów znajdzie ten, który odmieni jej życie. Ale i tak nie miała dziś powodów do narzekania. Jeśli młody Schulz nie rozmyśli się zbyt szybko, Inge będzie miała stałą, niezłe płatną posadę.

Usiadła w sypialni. Sortując przesyłki, starała się palcami stóp zsunąć buty. Kopertę, jak zwykle grubą i ciężką, od siostry mieszkającej w Leipzig[10], odłożyła na bok. Jej zawartość miała być lekturą na cały wieczór. Przerzuciła ulotki reklamowe, które przychodziły na jej adres, choć już od dawna nie było jej stać na zakupy w ulubionych sklepach. Spomiędzy obrazkowych zanęt wysunął się list. Otworzyła go z zapartym tchem. To było zaproszenie na rozmowę o pracę. Nareszcie! Zupełnie jak w korespondencji sztuk, o której dziś mówiła. Tylko że w tym wypadku jedna praca miała pociągnąć drugą. Być może... Trzeba być dobrej myśli!

W końcu zzuła buty i poluzowała gorset. Rozradowana podskoczyła kilka razy, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Wyjęła notes i zapisała w nim termin spotkania. Nie była już pewna, czy da radę w skupieniu przeczytać korespondencję od siostry. Mimo to rozpalila w piecu, postawiła wodę na zagotowanie. Spokój i opanowanie przede wszystkim. W pewnym sensie to właśnie przez to, że zbyt łatwo dawała się ponieść emocjom, straciła pracę w operze. Ale dzisiejszy wieczór nie należał do tych, kiedy topiąc smutki w wypełnionej po brzegi herbatą filiżance, rozpamiętywała porażki. Ten będzie wesoły, bo oto pojawiła się nowa nadzieja.

Michael Eckert oczekiwał Gabriela o pierwszej. Zakładał, że do tego czasu ciało rozmrozi się na tyle, że będzie można dokładnie je obejrzeć. Szef policji był jednak jak zawsze nadgorliwy, szczególnie gdy zależało mu na udowodnieniu postawionej przez siebie tezy. Pojawił się w Instytucie Medycyny Sądowej godzinę wcześniej. Wpadł do gabinetu Michaela, pukając uprzednio niedbale (i nie czekając na zaproszenie).

– Jestem – rzucił od wejścia. Był zziąjany. Michael domyślił się, że postawił automobil na końcu Maxstraße[11], licząc, że uda mu się opóźnić swoje

przedwczesne przyjście spacerem. Ale jak to on, nadrobił biegiem.

– Widzę – odparł spokojnie Michael, mieszając w kubku z kawą. Uniósł naczynie w górę, jakby chciał powiedzieć „na zdrowie”.

– Tak, chętnie – odpowiedział Hübschner na to nieme pytanie. Usiadł ciężko na starym, sfatygowanym krześle, które aż jęknęło. Rozpiął gruby, wytworny płaszcz i zdjął kapelusz.

– Jeszcze jej nie oglądałem. Czekałem na ciebie – zagaił Michael. Po kilkunastu miesiącach współpracy panowie niemal czytali w swoich myślach, odpowiadając na pytania, które dopiero miały paść.

– Sanz też powinien przy tym być – przyznał Gabriel.

– Może i on postanowi przyjąć wcześniej?

– Zna mnie. Myślę, że niedługo dotrze. – Policjant przetarł spocone czoło.

– Może od razu przygotuję drugą kawę... – stwierdził Eckert.

– Powiedz, ale tak szczerze... – przerwał mu Gabriel.

– Dla mnie to samobójstwo – bez namysłu odparł patolog. – Ale ty tu jesteś śledczym.

– A wiesz, że nie o to miałem zapytać? – skłamał Gabriel. Tak naprawdę zamierzał od razu przejść do rzeczy. Michael go znał. Ale ponieważ trapiło go coś jeszcze, postanowił wykorzystać okazję.

– Nie? – zdziwił się patolog. Dokładnie o taką reakcję chodziło Gabrielowi. Chciał go zaintrygować.

– Kiedy ostatnio widziałeś Klarę?

Eckert zamarł na chwilę.

– Jakież... trzy tygodnie temu, byliśmy u nich na obiedzie. A ty?

– Minął może miesiąc... – Gabriel naprawdę nie pamiętał.

– Dlaczego pytasz? – zainteresował się Michael.

– Martwię się jej stanem – wyjaśnił Gabriel. Nie patrzył na Michaela. Myślał tylko, ile oddałby za to, aby dzisiejsze trio w składzie Hübschner, Eckert, Sanz pozyskało nazwisko Schulz do zgranego kwartetu.

Eckert przystanął. Ten brak ruchu u rozmówcy odwrócił uwagę Gabriela od rozmyślań na temat składu zespołu.

– Ty też? – Uśmiechnął się kwaśno.

– Szczerze mówiąc, ona mnie ostatnio... wkurza. Nie taką Klarę poznałem.

– Jak na substancje, które zażywa, zachowuje się dość typowo – wytłumaczył przyjaciółkę Eckert.

– A więc nadal coś bierze? Nawet na mój mający niewiele wspólnego z medycyną rozum to trwa trochę zbyt długo. – Gabriel przestawał panować nad emocjami.

– Zdecydowanie za długo. – Michael podał Gabrielowi kawę w dużym, ceramicznym kubku. Naczynie od razu przyjemnie się nagrzało. Gabriel trzymał je

przez chwilę. Miłe ciepło rozlewało się w jego dłoniach. W końcu odstawił kubek na wykrzywiony ze starości niewielki stolik, który stał obok.

– Myślę, że mogłaby mi pomóc. Ale nie wiem, jak ją przekonać – kontynuował.

– Nic na to nie poradzę. Znam ją od wieków. Wiem, że do niczego nie da się jej zmusić.

– Jesteś lekarzem, tak jak jej mąż. Mógłbyś przemówić im obojgu do rozsądku. Już nie mówię o pomocy w śledztwie, ale o jej zdrowiu! – emocjonował się policjant.

– Owszem, skończyłem medycynę... – odparł Michael. – I mam nadzieję, że nigdy nie będę lekarzem Klary.

– Być może będziesz musiał, jeśli ona nie zaprzestanie terapii tym... czymś – warknął Gabriel.

– Nie złość się, przyjacielu – uspokajał go Eckert. – Liczę, że sama się opamięta. Ale nie gwarantuję ci, że będzie chciała nam pomagać. Zbyt dużo zdrowia ją to kosztowało. Poza tym... rozwiązała największą zagadkę swego życia, która motywowała ją do działania.

– Sugerujesz, że potrzebuje jakiegoś bodźca?

– Może? Na przykład... gdyby tak dla odmiany Heinz zniknął lub został znaleziony w kałuży krwi? – Eckert wbił wzrok w kompletnie zdezorientowanego Hübschnera. Chwilę później roześmiał się chrapliwie, widząc u przyjaciela rosnącą zgrozę. – Taki żart! Nawet Heinz uśmiełby się do łez...

– Tak, tak... zabawne – skwitował Gabriel. Liczył na prawdziwą odpowiedź. Tym bardziej że niesmacznym dowcipem Michael zasugerował, że Klarze chodziło tak naprawdę jedynie o rozprawienie się z przeszłością, a każda inna sprawa, którą się zajmowała, była jedynie efektem ubocznym.

W pokoju rozległo się donośne pukanie. Zaraz potem do środka wszedł Wehrner Sanz. Już po samym sposobie stukania do drzwi nie miało się wątpliwości, że to ktoś z policji.

– Witam panów – powiedział, ściągając płaszcz.

– Naniósłeś zimy – upomniał go Gabriel i wzdrygnął się. Sanz przypomniał mu, jakie warunki panują na zewnątrz. – A już zdążyłem się zagrzać – fuknął.

– Wypij kawę – napomniał Gabriela Eckert. Szef policji strasznie zrzędził, gdy coś mu nie pasowało. Kto by pomyślał? Taki młody, a taki gderliwy.

– Jakies informacje wstępne? – zapytał rozbawiony marudzeniem Gabriela Sanz. Wiedział, że szef wydobrzeje z nadejściem wiosny. Zupełnie jak rok wcześniej, gdy się poznali.

– Nie, postanowiłem poczekać na śledczych – odpowiedział Michael.

– I oto są! – Gabriel był gotowy wstać i pognać na dół.

– Napijmy się. Przed nami ciężka robota. – Patolog podał Sanzowi jego

porcję kawy, studząc zapal szefa.

– Słusznie – odrzekł Wehrner i podobnie jak wcześniej Michael, uniósł kubek w górę, jakby zamierzał wygłosić toast.

Sala w piwnicy była zimna. Unoszący się wokół zapach śmierci budził oczywiste skojarzenia z grobowcem. Żeliwne wózki do przewożenia zwłok skrzypiały ze starości. Na jednym z nich pod prześcieradłem leżały zwłoki, które dzień wcześniej policja zabrała spod Dombrücke. Już odtajały i można było je zbadać. Obok na drugim wózku leżało zdjęte przez asystenta ubranie ofiary. Gabriel podszedł do niego. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przez nią uniósł w górę podartą czerwoną pończochę.

– prostytutka... – Pokiwał głową.

– I to zapewne w czasie pracy – domyślił się Sanz.

– Dziwny zbieg okoliczności – zwrócił się do Michaela Gabriel.

– Już ci mówiłem – odparł patolog. – Ty tu jesteś od rozwiązywania zagadek.

Asystujący młodzi lekarze zdjęli z ciała kobiety prześcieradło. Przenieśli denatkę na stół do sekcji. Cała zbieleła, a jej usta posiniały. Otwarte nadgarstki ujawniały rozcięte żyły i poszarpane ścięgna. Ściśnięte w pośmiertnym skurczu dłonie dodawały temu obrazowi ekspresji, jak z dzieł Caravaggia. Oczy, w których jeszcze niedawno Gabriel wyczytał gniew, dziś były zamknięte. Mężczyźni pochylili się nad stołem. Hübschner natychmiast wyciągnął notes i ołówek, a Michael rozpoczął oględziny.

Obchodził ciało powoli, dokładnie je oglądając. Od czasu do czasu pomrukiwał lub wtrącał pojedyncze zdania.

– Przód. Brak śladów bicia.

Jego kroki rozchodziły się echem po pustej, zimnej sali, w której żywi oddawali głos martwym.

– Brak innych ran ciętych. Brak ran tłuczonych – mówił.

– Sam widzę – popędział go niecierpliwie Gabriel.

– Na nadgarstkach wyraźnie widoczne dwa podłużne otarcia. – Michael skarcił go spojrzeniem. – Na przegubach i... kostkach nóg drobne otarcia i zasinienie.

„Ślady krępowania”, zanotował Gabriel.

Skóra w wymienionych przez Michaela miejscach przybrała odcienie od fioletu przez indygo po ciemny róż. Widać było, że kobietę krępowano, mimo że nic nie wskazywało na to, iż szczególnie zapalczywie próbowała się uwolnić. Wtedy otarcia byłyby większe i zakrwawione.

– Wierz mi, że na średnio dziesięć prostytutek, które tu trafiają w ciągu roku, sześć ma ślady krępowania – uświadomił Gabriela Michael. Zupełnie jak ucznia, który nie ma o niczym pojęcia, choć zdawał sobie sprawę, że Hübschner doskonale

o tym wie.

– Czy to nie dziwne, że mamy styczeń, a wyrobiliśmy już jedną piątą rocznej normy? – zapytał szef policji.

– Zaczekajmy z domysłami... – ostudził go Sanz.

Michael nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Widać było, że się niecierpliwi. Teraz to była niemal bitwa na dowody. Według niego niezaprzeczalnie wskazywały na samobójstwo. Ale Gabriel zasiewał ziarno niepewności, które również kiełkowało z tych samych dowodów. Każdy z nich chciał przeforsować swoją teorię, co mogło zaważyć na ich obiektywizmie. Obaj powinni trzymać nerwy na wodzy.

– To dość oczywiste. Mróz – mówił monotonnie patolog. – Pierwsze stadium odmrożeń. Umierała na dworze w miejscu, gdzie ją znaleźliście. Krwawiła i zamarzała, gdy ją tam pozostawiono. Plamy opadowe wskazują, że długo leżała na wznak.

– Czy jesteś w stanie określić, jak długo? – zapytał Sanz.

– Nie do końca. Teraz nie wiem, czy to jeszcze *rigor mortis*, czy może skutki zamrznięcia. Mogła umrzeć kilka dni wcześniej albo jeszcze tej samej nocy – odparł Michael. – Odwróćmy ją – zarządził.

Plecy kobiety nie nosiły żadnych obrażeń. Zakładając, że spadła z mostu i tam umarła, musiała trafić na śnieg lub bardzo cienki lód, bo na jej ciele nie było zasinień po upadku. Gabriela uderzył także fakt, że nie miała typowych dla prostytutek drobnych otarć, siniaków czy krost na skórze. Być może wykonywała swój zawód od niedawna. Możliwe, że w ogóle była w pracy po raz pierwszy. Nie wyglądała też na zagłodzoną czy wynędzniałą, choć z pewnością była bardzo szczupła i... umięśniona. Tak, pod jej skórą rysowały się nie tyle żebra, ile mocne mięśnie.

Michael obszedł zwłoki, nie rozpoznając żadnych obrażeń, włącznie ze śladami wleczenia. A więc zgodnie z jego teorią kobieta zmarła z upływu krwi i zimna w miejscu, w którym odkrył ją świątobliwy pastor.

– Patolog skończył oględziny zewnętrzne – powiedział Michael, co zanotowali nie tylko jego asystenci, zapewne studenci, ale i Gabriel. – Ale pamiętajcie – zwrócił się do grupy adeptów sztuki medycznej. – Dla prawdziwego lekarza liczy się przede wszystkim bogate wnętrze.

Chór studentów obdarzył żart mistrza aplauzem w postaci chichotu. Po raz kolejny przewrócono denatkę na wznak, do pozycji, w której wyzionęła ducha.

Eckert naciął zwłoki w kształcie litery „Y”. Z pomocą swoich ludzi rozchylił skórę. Na widok chochli, którą miał posłużyć się do usunięcia płynów ze zwłok, Gabriel bez słowa cofnął się pod ścianę. Nie wiedział już, czy zjadł dziś za mało, za dużo, czy może zbyt szybko. Widział w swoim życiu okropności mogące śmiało konkurować z każdą autopsją. Nie oznaczało to jednak, że miał ochotę na nią

patrzeć. Spod ściany usłyszał charakterystyczny odgłos przecinanych przez patologa żeber. Począł, odliczając kliknięcia wielkich nożyc, aż Michael otworzył denatkę, by można było ją dalej badać. Po kilku minutach powoli wrócił do stołu.

– Na oko nie ma tu żadnych nieprawidłowości – stwierdził od razu Michael, a lekarze pokiwali głowami. – Narządy są całe. Na pierwszy rzut oka nie widać śladów działania silnej trucizny. Zważę wnętrzności i pobiorę tkanki. – zapowiedział.

Powoli wyjmował z niej, jak to określił, „bogatego wnętrza” poszczególne narządy. Oglądał je uważnie, po czym, nie stwierdzając nieprawidłowości, kładł je na wagę. Nieznośnie długa pierwsza godzina sekcji bardzo powoli dobiegała końca.

Wreszcie usunął wątrobę kobiety.

– Lekko stłuszczona. Nadużywała alkoholu. Przygotuj. – Podał narząd młodemu lekarzowi, który zabrał się do krojenia.

– Zapewne popijała co noc – poparł tę teorię Sanz.

– Jej skóra tego nie mówi – zakwestionował to stwierdzenie Gabriel.

– Otwieram żołądek – kontynuował Michael. Ostry nóż miękko wszedł w narząd. – Pusto...

– Nie jadła kolacji. – Sanz pokiwał głową.

– Czyli nie miała klienta – zawyrokował Gabriel.

– Albo był sknerą... Lub biedakiem, a burdel, z którego korzystał, należy do podrzędnych. Nie jestem specjalistą od ubrań – polemizował jego zastępca, próbując ocenić wartość części garderoby należącej do denatki, spoczywających obok na wózku.

– Jeśli był biedakiem, musiał być też desperatem, by swój marny zarobek poświęcać na prostytutkę.

– Nie znaleźliśmy przy niej pieniędzy – dorzucił Michael.

– Morderca nie płaci ofierze za to, że dała się zabić. – Gabriel twardo obstawał przy swoim.

– A jeśli to po prostu kolejna noc bez klienta? Jeśli przymierała głodem i postanowiła z tym skończyć? – Sanz starał się brać pod uwagę każdą wersję. – Zima sprzyja samobójstwom.

– A ta stłuszczona wątroba? Przymierała głodem, za to stać ją było na absynt? Poza tym popatrz na jej ciało.

– Nie wiesz, czy absynt, czy kiepską wódkę... Daliśmy anons ze zdjęciem do gazety, ale dopóki ktoś się po nią nie zgłosi, dopóty możemy tylko gadybać. Telefon na razie milczy. Nadal nie wiemy, gdzie pracowała. Ale trzeba przyznać, że skóra jest w dobrym stanie – powiedział Sanz, jakby oceniał materiał na obicie fotela.

– Może trudno ją poznać? – zastanawiał się głośno Michael, nawiązując do

braku zgłoszeń znajomych denatki.

– Fotograf i retuszer zrobili, co mogli, by „tchnąć w nią życie”. Na zdjęciu wyglądała w miarę zwyczajnie. – Gabriel pociągnął nosem. Chłód tego pomieszczenia stawał się coraz bardziej dokuczliwy. W końcu naprawdę się przeziębi.

– Pozwólcie, panowie... – przerwał im Michael. Dyskutowali coraz bardziej nerwowo, a patolog tego nie lubił. Szczególnie w obecności studentów. Poza tym jego pacjenci należeli raczej do cichych. Nie był przyzwyczajony do głośnych rozmów w miejscu pracy. – Trzeba jeszcze obejrzyć płuca.

– Teraz się przekonamy... – Gabriel uśmiechnął się kwaśno. Michael rozciął płuca denatki w kilku miejscach.

– Nie widzę tu wody – ocenił.

– Mogła nie mieć z nią styczności – zauważył Sanz. – Przynajmniej nie w takim sensie – dodał, widząc skrzywioną minę szefa.

– Przy takim skoku, jaki sobie zafundowała, raczej by utonęła – skwitował Gabriel.

– Może na rzece był gruby lód? – podsunął Michael.

– Skoro musieliśmy ją z niego wycinać, to oznacza, że mróz chwycił nad ranem. A w nocy musiała leżeć do połowy w wodzie – odparł Gabriel.

– Z tego, co pamiętam, mróz nie odpuszcza od trzech dni – upierał się Sanz. Szef zaczynał go męczyć, podczas gdy on sam coraz bardziej przychyłał się do opinii Eckerta. – Krew wsiąkła głęboko w śnieg. Jest szansa, że przeleżała tam więcej niż trzy, może nawet cztery dni. Weszła na lód, podcięła sobie żyły i tam umarła. Nikt jej nie znalazł, bo w nocy przysypał ją śnieg. Potem mróz zelżał, ciało zapadło się nieco pod taflę cienkiego lodu i przymarzło, gdy rzekę znów ścięło. Wiatr odsłonił zwłoki i tak znalazła się tutaj.

– Poparłbym twoją teorię, gdyby nie fakt, że żadnych śladów nie znaleźliśmy. Zrozum, nie szukam sobie dodatkowej pracy. Ale coś mi mówi, że te dwa ostatnie samobójstwa są mocno naciągane. – Gabriel znów zaczął podnosić głos.

– Szefie, twoich śladów, które zostawiłeś w drodze do instytutu, nie będzie już pod wieczór, jeśli nadal będzie sypać i wiać.

– Cokolwiek by zostało, zważając na mróz!

– Sprawdzę jeszcze mózg. – Eckert po raz kolejny zainterweniował. Starał się mówić spokojnie.

– Na razie uważam, że podcięła sobie żyły i tyle – upierał się Sanz.

– Będiesz używał... tego? – zapytał Gabriel, wskazując na piłę do cięcia kości.

– Tak – odparł sucho Eckert. Po sali znów przeszedł chichot.

– Pójdę na górę. Do twojego gabinetu. Dopiję... kawę – wzdrygnął się

policjant i pośpiesznie wyszedł. Pozostali mężczyźni poczekali, aż oddali się od kostnicy.

– Czemu tak się uparł, że to morderstwo? – dziwił się cicho Michael.

– Intuicja – odparł zrezygnowany Sanz. – Zazwyczaj niestety w takich przypadkach go nie zawodzi.

Gabriel dotarł do gabinetu Michaela i ciężko opadł na fotel. Jego kawa dawno już ostygła. Wziął łyk. Wstrząsnął nim dreszcz. Nienawidził zimy. Dla niego właściwie mogłaby nie istnieć. Chyba że miałyby możliwość przesiedzieć ją w austriackich lub włoskich Alpach, pijąc piwo i obżerając się knedlami... Ta myśl spowodowała, że nieco się rozmarzył... Jak dobrze byłoby, zamiast liczyć „na słuch” przecinane żebra w kostnicy, móc liczyć barany w ciepłym łóżku. Zamiast trzeszczenia śniegu pod butami co dzień słyszeć trzaskające drwa w rozgrzanym kominku. Ile dałby za miesiąc bez Breslau lub choćby nawet, w najgorszym wypadku, bez wychodzenia z domu. Miesiąc nieżnośnej nudy, po której ruszyłyby do pracy jak najnowocześniejszy alpejski pociąg elektryczny... Upił kolejny łyk kawy. Marzenia rozplynęły się w jej gorzkim smaku. Powoli wracał do rzeczywistości. Miał w kostnicy martwą prostytutkę, już drugą w tym miesiącu. Kolejną z przeciętymi tętnicami, która jakimś cudem znalazła się na środku zamrożonej rzeki. Brak śladów, brak wody w płucach. Precyzyjne cięcie, zarówno uda, jak w tym przypadku nadgarstków. Większość samobójców tnie ręce w poprzek. Ona wykonała cięcie wzdłuż. Nawet jeśli Michael stwierdzi przy dalszych oględzinach liczne otarcia pochwy i zasinienia ud, nie będzie to nic szczególnego w przypadku prostytutki, którą niewątpliwie była ofiara. Tak jak i ślady krępowania. Bo kto inny spełni anormalne fantazje mężczyzny? Żona? Prędzej czy później pozbawiłaby się życia, gdyby mąż składał jej podobne propozycje... prostytutki znane były z tego, że nie odbierały sobie życia z powodu niemoralnych zachowań mężczyzn.

Po pół godzinie usłyszał kroki w głębi budynku. Chwilę później Sanz i Eckert weszli do gabinetu patologa.

– Nic, szefie... Wszystko tak jak za ostatnim razem. Nie ma żadnych dowodów na to, że doświadczyła szczególnego okrucieństwa przed śmiercią. Standardowe otarcia, sińce tu i ówdzie – zaczął Wehrner.

– Wewnątrz też czysto. Po prostu się wykrwawiła – dodał Eckert.

– Kąt cięcia? – zapytał Hübschner.

– Zrobiła to sama, bez wątplenia... – odparł patolog, zadając cios jego dociekliwości.

– Cholera... Cholera, nie chce mi się w to wierzyć! Czy mógłbyś... – Przesąpił krok w stronę Michaela, który odruchowo cofnął się odrobinę. Gabriel złapał go jednak za ramiona. – Błagam, porozmawiaj z Klarą. Przekonaj ją, żeby na to spojrzała!

– Dobrze. – Patolog uniósł ręce, próbując uspokoić przyjaciela. – Mogę z nią porozmawiać. Ale, jak już mówiłem... Jeśli ona sama nie zechce, nie liczę, że coś wskóram.

– Daj mi słowo, że się postarasz. – Gabriel puścił patologa i wbił w niego błagalny wzrok.

– Obiecuję.

Gabriel i Wehrner zmierzali w stronę samochodu szefa. Już z daleka ford prezentował się na śniegu, jakby pozował tu do zdjęć, które potem fabryka zamieści w katalogu dla klientów. Brakowało jeszcze jakiegoś dzentelmena z białym lisem na rękę, który otworzyłby panom drzwi i zakręcił korbką.

– Gabrielu, rozumiem, że przeczucie nie daje ci spokoju. Ale może tym razem jest ono mylne? – Sanz nie mógł się powstrzymać.

– Nie chodzi o samo przeczucie. To coś więcej – zbył go Hübschner.

– Dlaczego trzymasz to „coś” w tajemnicy? Byłoby nam o wiele łatwiej przyjąć wspólny front.

– Powiem, jak będę miał pewność. Nie lubię niedomówień – odparł Gabriel.

– Problem w tym, że ostatnio operujesz tylko nimi – mruknął Sanz.

– Nic nie poradzę. Powiem ci, gdy uzyskam opinię... z zewnątrz.

– Nie liczyłbym na pomoc panny Krencke. – Sanz, mimo że od wielu lat Klara była zameżna, wciąż traktował ją jak dziecko swojego starego druha z policji, Heinricha Krenckego. – Poza tym... po tym, co wywinęła nam wtedy w Silesii...

– Była w ciąży, pełna emocji, strachu. Rozumiem ją! – Gabriel usprawiedliwiał Klarę, mimo że kiedy niespełna półtora roku temu pojedynczym strzałem w głowę zabiła człowieka przywiązanego do krzesła, miał ochotę zakuć ją w kajdanki. – Gdyby chodziło o moją matkę, zrobiłbym to samo. Zwłaszcza że czekała na to od kilkunastu lat. Jak widać, do tej pory cierpi po tych wydarzeniach. – Zakręcił energicznie korbką, choć ta na mrozie wcale nie chciała współpracować.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na jej opinii? Nie chcę być niesprawiedliwy, ale wietrzysz w tych zgonach zabójstwo. A Klara ma tendencje do skłaniania się ku takim teoriom. Nie chcesz chyba, by jedynie potwierdziła twoje słowa?

– Chcę, by powiedziała mi, co o tym myśli. Jeśli wyleje mi na głowę wiadro zimnej wody, uznając te przypadki za akty samobójcze, przychylę się do tej teorii – oznajmił Hübschner. Sanz spojrział na niego ukradkiem i uśmiechnął się mimowolnie. Od dawna przypuszczał, że Gabriel darzył Klarę czymś więcej niż tylko szacunkiem zawodowym. Każde wspomnienie, każda rozmowa o niej coraz bardziej skłaniały go ku tezie, że szef policji zadurzył się w swojej przyjaciółce. Ciekaw był tylko, czy to uczucie, które do niej żywił, mogło jakkolwiek pomóc mu w ocenie rzeczywistości.

Automobil ruszył, z wolna staczając się z wysokiego krawężnika. Sunąc

powoli po zaśnieżonej ulicy, zostawiał za sobą ciemne, sinusoidalne ślady kół. Śnieg wytłumił Breslau. Nie stukały kopyta, nie dudnił tramwaj. Wszystko ucichło. Aż trudno było uwierzyć, że był środek dnia. Paradoksalnie w tej ciszy łatwiej było się skryć. Milknące kroki, stłumione głosy, głuchy krzyk... A potem ciało powoli znikające pod śniegiem. I tylko krew wsiąkająca w niego jak w białą bawełnę. Znikająca z każdą godziną.

* * *

Bernard wszedł do domu i otrzepał buty na grubej wycieracze. Ta przed domem zniknęła. Nikt jej nie ukradł, tylko zima schowała ją pod śnieżną suknią. Drzwi od kuchni były zamknięte, Gerta nie usłyszała więc pana domu, tym bardziej że o tej godzinie nikt się go nie spodziewał. A on postanowił zrobić wszystkim niespodziankę i pobyć przez chwilę z rodziną. Zwłaszcza że jego żona zdecydowała się na odstawienie barbituranów i wracały do niej realne uczucia, przez co stawała się nieznośna i płaczliwa. Sam nie był pewien, czy nie brakowało mu jej marudzenia i ciętej riposty, do której nieuchronnie prowadziło zakończenie terapii.

Zdjął z nosa zaparowane binokle i zamarł. Usłyszał jakiś dziwny pisk. Zatrzymał dłonie w powietrzu i nasłuchiwał. Potem doszły go bulgot, warkot i kolejny pisk, połączony z dźwiękami fortepianu. Najciszej, jak potrafił, przemieścił się w stronę salonu. Zajrzał przez otwarte drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała speszona Inge i przestała grać.

– Dzień dobry – odparł Bernard, tłumiąc śmiech. – Już myślałem, że moja żona kupiła kota, który przedwcześnie zaczął marcować.

– Nie, to tylko ja, Bernardzie – odparła Klara, po raz pierwszy być może w całym życiu ubawiona jego żartem. – I nie mam zamiaru marcować. Na razie postanowiłam spróbować sił w śpiewie, pod okiem panny Hirsch.

– Nie idzie ci najlepiej – Bernard nie mógł powstrzymać się od komentarza.

– To dopiero pierwsza lekcja – usprawiedliwiła ją Inge.

– A więc jest nadzieja, że gdy następnym razem wrócę wcześniej do domu...

– Podejrzewam – przerwała mu Klara – że gdy to kiedyś jeszcze nastąpi, ja będę już wyśpiewywać całe *Venti turbini*... – odgryzła się.

– To zdecydowanie lepiej idzie kontratenorom... – sprostowała nieśmiało Inge.

– Moja żona uprawiała niegdyś męski zawód, więc wszystko przed nią. – Bernard nie pozostał jej dłużny. – Pójdę po Fritza – dodał pośpiesznie, nie chcąc dać Klarze szansy na odpowiedź, którą zapewne miała już gotową.

– Męski zawód... To całe rozdzielanie obowiązków zaczyna mi przypominać zabobony – burknęła Klara, gdy tylko wyszedł, wspominając gazety pastwiące się nad sufrażystkami, a po całej aferze z Haasem, także i nad nią.

– Co pani mąż miał na myśli, jeśli można spytać? – zaciekała się Inge.

– Ach... dawne dzieje. Może kiedyś pani powiem – Uśmiechnęła się blado, przypominając sobie, że wcześniej omal nie wydał jej Fritz. – Zresztą... Może mówmy sobie po imieniu? – Chciała zmienić temat. Inge miała w sobie coś takiego, co sprawiało, że ludzie się przed nią otwierali. Klara wołała jednak nie przesadzać ze szczerością. I w miarę możliwości nie wracać do przeszłości, która kosztowała ją wiele... zdrowia.

– Z chęcią. Dziękuję, Klaro.

Inge zagrała wprawkę i poprosiła uczennicę o powtórzenie. Klara wiedziała, że nie ma żadnych wokalnych predyspozycji. Brakowało jej oddechu, nie trzymała tonacji, właściwie nawet nie rozumiała, czym ona jest, choć podskórnie czuła, że nie trafia w dźwięki. Jednak sam fakt, że robiła coś innego niż czytanie książek i siedzenie w fotelu, sprawiał jej radość. Nawet jeśli biedna Gerta musiała zamknąć drzwi, by nie słyszeć okropnej kakofonii.

Po skończonej lekcji Klara postanowiła potwierdzić swoje przypuszczenia.

– I co sądzisz na temat mojego wątpliwego chyba talentu? – zapytała z uśmiechem. Przysiadła. Znow osłabła. Zbliżał się czas zażycia kolejnej dawki barbituranów. Jej ciało tak bardzo się ich domagało, że nie wiedziała, czy w ogóle uda się jej przeżyć ich odstawienie, a śpiew okazał się potwornie wyczerpujący.

– Nie jest tak źle, jak sądzisz – odparła poważnie Inge.

– Chcesz mi schlebić. Naprawdę nie czuj się zobowiązana...

– Ale ja mówię szczerze – wtrąciła Inge. Nie chciała, by Klara odebrała jej słowa w ten sposób. – Nie wróżę ci kariery w obsadzie *Rinalda* – zaśmiała się – lecz nie masz się czego wstydzić. Jeśli ktoś jest nie do nauczenia, wiem to od razu.

– Co proponujesz? – zapytała Klara.

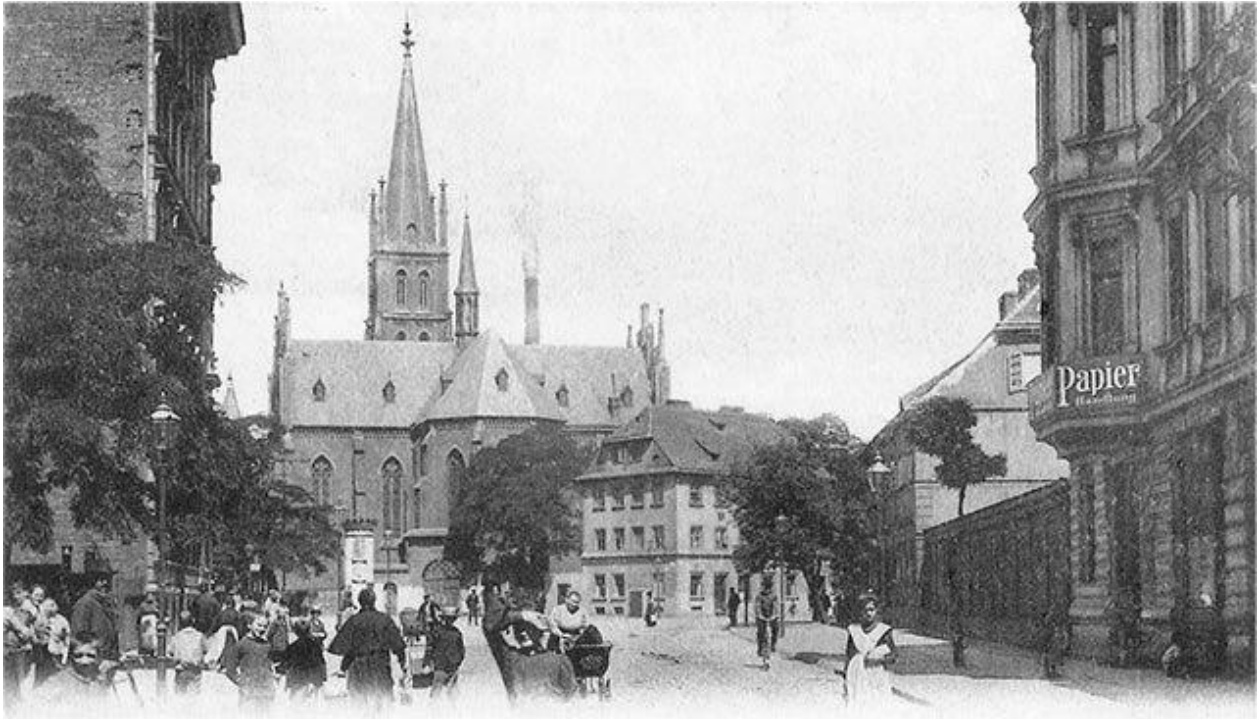
– Abyśmy ćwiczyły za każdym razem, gdy będziesz miała na to ochotę. Bez przymusu. – Inge wyczuła, że lekcja stanowiła dla Klary interesującą odmianę w przytłaczającej, zimowej codzienności.

– Doskonale. Taki tryb mi odpowiada – ucieszyła się Klara.

– W takim razie, kiedy znów się zobaczymy?

– Umówmy się za dwa dni.

Inge zdjęła z pulpitu fortepianu mały notes, w którym wcześniej zapisywała uwagi dotyczące gry Fritza. Na każdej lekcji mogła po nie sięgnąć i wiedziała, z czym chłopiec miał problem. Tym razem wpisała w kajet termin spotkania z Klarą.



Nikolaikirche, czyli nieistniejący dziś Kościół Świętego Mikołaja

- A więc jesteśmy umówione – odparła.
- Inge... Może zostaniesz z nami na obiedzie? – zaproponowała Klara.
- Och, dziękuję! – rozpromieniła się nauczycielka. Tym bardziej że z kuchni dochodził zapach sugerujący, że to doskonały pomysł. Spojrzała jednak w dół, gdzie na jej kolanach wciąż spoczywał notes. – Niestety, dziś nie mogę. Z chęcią, jeśli tylko ponowisz zaproszenie, ale... Jutro z rana mam ważne spotkanie. A dziś muszę się do niego przygotować.
- Kolejni uczniowie? – Klara uśmiechnęła się serdecznie.
- Nie, ale faktycznie w sprawie pracy.
- Opera? – Klara uniosła wysoko brwi.
- O nie... Tam już nie wrócę – Inge spoważniała. Z jej poprzednią posadą musiały się wiązać nieprzyjemne wspomnienia. – Kościół Świętego Mikołaja. Poszukuję kierownika chóru. Chcieliby mnie przesłuchać. No i mam poprowadzić niewielki zespół, by ocenili, czy umiem dyrygować.
- Świętego Mikołaja... To ten przy Nikolaiplatz[12]?
- Ten sam. – Inge skinęła głową. Miała tremę przed spotkaniem. Bardzo zależało jej na tej posadzie. Szczególnie że kościół znajdował się niedaleko jej domu. Ba! Widziała go nawet z okien własnego mieszkania!
- To parafia katolicka? – zauważyła Klara.
- Tak... wszystko jedno – szybko odpowiedziała nauczycielka. – Ważne, by

w murach świątyni rozbrzmiewała muzyka.

– Mnie także jest to obojętne... Szczerze mówiąc, muzyka wewnątrz murów na Nikolaiplatz kojarzy mi się z „Café Nikolaiplatz”. No i chyba wolę chodzić do opery niż do kościoła. – Ugryzła się w język. Za dużo mówi. Po barbituranach nie była tak wylewna. Poza tym znów użyła słowa „opera”, na dźwięk którego Inge cierpła skóra. – Ale mam nadzieję, że już jutro obejmiesz posadę chórmistrza! – dodała pośpiesznie.

– Ja także. – Inge znów uniosła kąciki ust w uśmiechu. Miała piękne kości policzkowe, które nadawały jej twarzy smukłości. To była cecha charakterystyczna dla śpiewaczek operowych. Klara pomyślała nawet, że jeśli pouczy się jeszcze u panny Hirsch, może sama wypracuje u siebie podobne.

– Ale jeśli nic cię nie zatrzyma, zapraszam na obiad w piątek – zaproponowała.

– Dziękuję. Postaram się – odpowiedziała Inge, zapisując jednocześnie w swoim zeszycie: *Obiad u Państwa Schulzów, piątek 31 stycznia 1913.*

* * *

Mroźna noc wyostrzyła nie tylko powietrze, ale i kształty. Niebo otworzyło podwoje dla miłośników nocnego życia. Gwiazdy skrzyły się na jego czarnym aksamicie, jakby konkurowały ze zmrożonym, błyszczącym śniegiem. Cisza, jaka zapadła w Breslau, zrobiła się nieznośna. Ludzie zniknęli z ulic, a prószący pod wieczór śnieg naprawił to, co wcześniej popsuli, i ustalił własny porządek. Teraz przyszedł mróz i zaczął powoli utrwałać ten obraz, tak by z rana trudniej było zrobić bałagan. Spokój, tylko spokój, który w końcu przynosił sen.

W Breslau były jednak miejsca, które nigdy nie pogrążyły się we śnie. Mroźne powietrze wyostrzyło nie tylko powietrze... ale i apetyty.

Domy uciech. Ich stali bywalcy nie przejmowali się dniem tygodnia ani ilością pieniędzy czy zdrowia do roztrwonienia. Czasem odwiedzali ulubione burdele za dnia, lecz osłona mroku bardziej odpowiadała charakterowi ich wizyt. Wyrafinowani klienci szukali takich miejsc, które, chociaż więcej ich to kosztowało, zapewniały bezpieczeństwo i dyskrecję. Inni liczyli na spełnienie nietypowych, perwersyjnych zachcianek, które ich żonom nawet w najbardziej wyuzdanych snach nie przyszłyby do głowy. Jednak w większości bywalcy burdeli stanowili niewybredną klientelę. Mieli preferencje co do wyglądu czy gabarytów kobiet. Oczekiwali, że wdzieją kuse stroje i umalują usta, a z ust tych popłyną nieprzyzwoite słowa... I to wszystko. Chcieli satysfakcji.

Czasem prostytutkom trafiał się klient specjalny. Taki, który nie chciał pieśzczoł i sprośnych propozycji. Któremu obojętne były ich ubiór i makijaż. Zależało mu tylko na tym, by były samotne. Wyklęte przez społeczeństwo, wydziedziczone przez rodziców, zapomniane, anonimowe. By z nikim nie

utrzymywały kontaktów, nie miały dzieci. Choć były ludźmi, ogół traktował je w najlepszym wypadku jak powietrze. Częściej jednak jak zło konieczne, które na dobrą sprawę mogłoby zniknąć z ulic miasta. Sponiewierane i bez perspektyw, robiły to, co im kazał, byleby zarobić i jakoś utrzymać się na powierzchni. Były gotowe na każde upokorzenie. Także na ból, na cierpienie. Uległy... do samego końca swojej smutnej egzystencji. Te prostytutki znajdowano później martwe, a po państwowym pochówku nikt już o nich nie pamiętał. Były. Minęły.

Ale najczarniejsza i najbardziej mroźna noc wyostrzała apetyt bestii. A ta bestia chciała wszystkiego, co klient zwykły, niewybredny, ale i ten specjalny. Szukała satysfakcji wzmocnionej krzykiem, przyjemności czerpanej z zadawania bólu, pragnęła torturować i poniżać. Pragnęła zabić. Lecz z tą różnicą, że bestii było obojętne, czy ma do czynienia z prostytutką, czy nie.

9 Ul. Bolesławecka.

10 Lipsk.

11 Ul. T. Chałubińskiego.

12 Pl. św. Mikołaja.

IV

Inge leżała w łóżku. Na dworze panował mrok. Dochodziła szóstka. Spotkanie w kościele miało zacząć się o dziesiątej, ale ona otworzyła oczy godzinę temu i nie mogła spać.

Musisz się jeszcze zdrzemnąć. Chociaż godzinę, może półtorej. Dla własnego dobra – powtarzała w myślach. Lecz za każdym razem, gdy uspokajała oddech, a jej puls zwalniał, wtedy gdy już wydawało się, że sen porwie ją w swe objęcia, trema dawała o sobie znać. Wtedy panna Hirsch czuła nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu i natychmiast z ciężkim westchnieniem ponownie otwierała oczy. Układała w głowie wszystko, co o sobie powie, jak się zachowa. Zastanawiała się, jakich gestów unikać, których słów nie używać. Przewracała się przy tym z boku na bok, jakby siennik wyłożony był kamieniami... Uczniowie raz byli, a raz nie. Bywało tak, że przymierała głodem. Dlatego nauczyła się oszczędzać i odkładała niemal wszystko, co zarobiła. Ale może w końcu dzięki tej pracy mogłaby nieco ustabilizować swoją sytuację. Cóż... wielkich pieniędzy jej to nie przyniesie. O komplementach, kwiatkach i przyjemnych liścikach od kolegów z orkiestry, jak po koncertach w operze, również może zapomnieć. (Gorących romansów nawet nie pragnęła, zważywszy na okoliczności, w jakich rozstała się z poprzednią posadą). Była to jednak jakaś szansa na złapanie oddechu. W końcu wiele razy myślała o odebraniu sobie życia. Przysięgała, że jeśli pozostanie jej ulica, podetnie sobie żyły. Nigdy by do tego nie dopuściła. Duma by jej na to nie pozwoliła.

Nie czekając, aż nastanie odpowiednia godzina, Inge ubrała się, zaparzyła herbatę, przygotowała skromne śniadanie i usiadła do stołu. Ale nerwy odebrały jej apetyt. Próbowwała zmusić się do przełknięcia choćby kęsa, lecz nie była w stanie unieść ręki, by sięgnąć do talerza. Herbata ostygła, a na jej powierzchni utworzyła się cieniutka warstewka osadu mieniącego się tęczą. Inge zapisywała swoje spostrzeżenia na niewidzialnych kartkach wewnątrz głowy. Robiła to, by uciszyć nerwy. Na próżno. W końcu jej organizm nie wytrzymał i zareagował rozstrojem żołądka.

Po kilku wizytach w toalecie na półpiętrze czuła się zmarnowana do tego stopnia, że odechciało się jej iść na spotkanie. Za każdym razem tak było. To samo odczuwała przed koncertami w operze. Trema trawiła jej wnętrze, odbierała rozum. A z wiekiem sytuacja tylko się pogarszała. Taki sam koszmar przeżyła przed pierwszą lekcją Fritza Schulza. Nie potrafiła się uporać z własną psychiką. Ostatecznie pracy w teatrze pozbawiły ją źle ulokowane uczucia i beznadziejny,

infantylny romans. Ale najważniejszą przyczyną jej odejścia był paraliżujący strach.

Zebrała się jednak i wyszła z domu. W końcu nie po to tyle przecierpiała, aby teraz tak łatwo się poddać. Dreptała powoli, wiedząc, że ma jeszcze mnóstwo czasu. Zimne powietrze ją otrzeźwiało. Przypomniało jej nawet, że jest koszmarnie głodna, choć dotąd tego nie czuła. Wołała jednak dotkliwy chłód, szczypanie w nos, skostniałe stopy i burczenie w brzuchu od paniki, którą przeżywała w domu.

Obeszła kościół trzy razy, zanim zdecydowała się wstąpić do środka. Skierowała się najpierw do świątyni, chociaż umówiona była w kancelarii. Chciała wybadać otoczenie i nieco się zagrześć.

Wnętrze wypełniała woń kadzidła. Przesiąkły nią drewniane ławki. Dym w połączeniu z wilgocią tak charakterystyczną dla Breslau pokrył siedziska lepkim osadem, wyszlizganym gdzieś przez wiernych, wierzących się podczas długich nabożeństw. Inge uniosła głowę. Budowla nie była tak imponująca i... pstrokata jak kościół Świętego Pawła położony zaraz obok jej domu na Striegauer Platz[13]. Zarówno z zewnątrz, jak i od środka stanowił jedną z wielu budowli z wieżami, którymi naszpikowane było całe Breslau. Blade światło wpadało przez trzy okna usytuowane za ołtarzem, kładąc nikły blask na smukłą ambonę i przednie ławy bez oparcia dla księży, służby kościelnej i sióstr zakonnych. Im bliżej wyjścia, tym bardziej główna nawa tonęła w mroku. Na zewnątrz, po Westendstraße[14], przetoczył się tramwaj. W tej zimowej oprawie stukot kół na zmrożonych szynach, który rozszedł się po przepastnych murach gromkim echem, był jak ryk morza podczas sztormu. Inge przymknęła powieki i ucisnęła czoło między brwiami. Gdy znów otworzyła oczy, ujrzała zbliżającego się do niej księdza.

– *Grüss Gott* – zawołał już z daleka i się uśmiechnął.

– Szcześć... – odrzekła, zaskoczona jego nagłym pojawieniem się. Jako dziewczynka uczęszczała na msze katolickie, jednak to było dawno. Nie pamiętała, co powinna odpowiedzieć.

– Czy panna Hirsch? – zapytał ksiądz. Inge zadarła głowę. Mężczyzna miał chyba z dwieście centymetrów wzrostu. Ile metrów materiału trzeba było zużyć na uszycie sutanny dla tego kolosa?

– Tak... Tak, to ja – odpowiedziała niepewnie, jakby nie do końca wiedziała, kim i gdzie jest. Ksiądz uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd nieskazitelnie białych i równych zębów. W tym uśmiechu czaiła się energia, którą gotów był zarazić każdego napotkanego rozmówcę, jeśli tylko chciał. Udzieliła się także Inge, która od razu pozbyła się połowy nagromadzonej tremy. Ksiądz miał jasną twarz i bystre, przeszywające spojrzenie. I zapewne nieporównywalnie więcej wiernych parafianek niż parafian płci męskiej...

– Ksiądz Franz, gospodarz tej pięknej świątyni – przedstawił się i rozejrzał, jakby podkreślając urok architektury. Jako kapłan nie całował kobiet w rękę. –

Wspaniale, że się pani zjawiała. Taka punktualna... – pochwalił i znów się uśmiechnął. Jego oczy błysnęły w półmroku, a Inge po prostu zaniemówiła. Nie mogła oderwać od niego wzroku. – To... może przejdziemy na chór? – zaproponował. Nie wydawał się zaskoczony czy zdegustowany. Chyba bawiła go ta sytuacja. Pewnie nieraz znalazł się w podobnej. Nie sposób było (szczególnie ze względu na charakter miejsca) nie wznieść w myślach rąk ku niebu i nie wykrzyknąć: „Boże! Dlaczego taki mężczyzna jest księdzem?! I to katolickim? Żyjącym w celibacie!”.

Inge podążyła za duchownym.

– Skromnie tu u nas, ale ślicznie, prawda? – zagadywał ją Franz. Był wyraźnie dumny ze swojej parafii. – Dziś powstają takie piękne świątynie. Nawet jeśli to zbory... – Użył tego słowa, nie zważając na to, czy mogło się ono wydać krzywdzące jego rozmówcy. – Organy brzmią ładnie, niedawno je stroiliśmy. Mają już swoje lata. Chyba czeka nas poważniejszy remont.

– Ile osób liczy chór? – spytała zdyszana Inge, mimo iż codziennie pokonywała schody do własnego mieszkania. Te były bardzo strome. Choć pewnie ten dwumetrowy ksiądz by się z nią nie zgodził.

– Nikogo nie zatrudniamy, poza kierownikiem oczywiście. Czasem przyjdzie czterdzieści osób, a czasem sześć. Zależy od pogody, pory roku... Msze z chórem odbywają się w niedziele. W tygodniu tylko ćwiczymy. Dobrze byłoby, aby próby odbywały się we wtorki, czwartki i soboty. Poprzedni kierownik, który dostał posadę w teatrze w Görlitz, przyzwyczaił do tego naszych wiernych.

– Ja też pracowałam w Görlitz. Urodziłam się tam – wtrąciła.

– Umówiliście się na tę wymianę? – zażartował ksiądz. – W każdym razie godzin prób wolałbym nie zmieniać.

– Oczywiście.

Wdrapali się na chór. Stąd kościół prezentował się dużo ciekawiej. Dopiero tu na górze można było poczuć jego wielkość. Bliskość strzelistego sufitu, znacznie jaśniejszego z tej perspektywy niż z dołu, oraz... mało bezpieczna odległość od kamiennej podłogi uświadamiały stojącemu na chórze, jak mizerną jest istotą. Ale przecież właśnie o to chodziło budowniczym świątyń. Wierny musiał pamiętać, że jest jedynie częścią większej całości. Tu nie liczyła się jednostka. Każda religia propagująca wiarę w choć jednego boga, każda jej święta księga czy budowla sugerowały, że siła wyznania przeliczalna jest jedynie na liczbę jej wyznawców. Stąd chór. Im więcej gardeł wychwalających Pana, tym silniejsza wiara.

– Czy mam coś zaśpiewać? – zapytała nieśmiało Inge.

– Śpieszy się pani? – Ksiądz usiadł na ławie przy zamkniętych organach.

– Nie, nie w tym rzecz – odparła, mnąc w dłoni suknię.

– Spokojnie. – Mrugnął ospale. Zauważył to, co zrobiła. Słusznie wywnioskował, że bardzo się denerwuje.

Usłyszeli kroki. Do kościoła weszli jacyś ludzie i od razu skierowali się na chór. Przywitali się i usiedli w ciszy. Chwilę później dołączyła do nich kolejna niewielka grupa. Każda z osób od wejścia mierzyła Inge wzrokiem. Wszyscy się znali, wiedzieli zatem, że to właśnie ona będzie dziś walczyć o posadę. Nie byli ani nieprzyjaźni, ani szczególnie wylewni. Raczej nie rozmawiali ze sobą. O nic jej nie pytali. Po przyjściu każdy zamieniał kilka słów z księdzem, a potem zastygał, pogrążony w myślach. W większości byli to ludzie starsi, raczej zamożni, wnioskując choćby z tego, że mieli czas pojawić się tu wcześniej rano w środku tygodnia. Cisza nie uspokajała panny Hirsch. Jej trema znów przybrała na sile, a z każdym nowo przybyłym członkiem chóru przekształcała się w histerię. Starła się ją opanować, bo potrzebowała pracy. Lecz nadaremnie. Panika zawładnęła zarówno jej umysłem, jak i ciałem. Sztywniał jej kark. Traciła oddech. Usiłowała też przypomnieć sobie choć jedną arię liturgiczną, lecz w jej głowie zaległa pustka. Wszystko to, co знаła na pamięć od wielu lat, uleciało w jednej sekundzie. Tak bywało już wcześniej. Gdy jeszcze była solistką w Görlitz, a potem już tylko chórzystką w Breslau. A teraz miała zostać kierownikiem chóru i w ogóle nie śpiewać (lub bardzo, bardzo rzadko). Najgorsze jednak było to, że ta degradacja miała służyć jej zdrowiu. Czyli była jedynym słusznym kierunkiem kariery Inge. Gdyby teraz śpiewała solo... Cóż. Pewnie już by nie śpiewała, chyba że na tle anielskiego chóru. Taka trema zabiłaby ją w dwa lata.

– I jak? – Ksiądz wyrwał ją z zadumy. – Nadal się pani denerwuje?

– Szczerze? – Jej głowa zadrżała. Zawsze tak było, gdy miała odrętwiałałą szyję.

– Jesteśmy w kościele. Tu obowiązuje nas absolutna szczerłość – odparł Franz.

– Potwornie – przyznała się. Ku jej zdziwieniu wszyscy nagle się ożywili. Ten i ów uśmiechnął się dobrotliwie. Inny szeptem dodał jej otuchy. Może jednak nie było tak źle?

– Dla nas i tak najbardziej liczy się to, jak poprowadzi pani próbę. Musimy się dobrze czuć we własnym towarzystwie. A jeśli przy okazji nam pani zaśpiewa, będziemy zaszczytzeni – zachęcał ją Franz. Wcale jej tym nie ośmielił, czuła się wręcz jeszcze bardziej wystraszona. Ale przynajmniej mogła zacząć od machania rękami, co z pewnością było w tej chwili łatwiejsze niż wydobyć z siebie dźwięków na godnym poziomie.

– Co macie państwo w repertuarze? – zwróciła się do chóru.

– Od Nowego Roku nic się właściwie nie dzieje – wtrącił ksiądz. Widać, że zależało mu na ładnej oprawie nabożeństw. Przejmował się chórem i jego losem. Nic dziwnego. W tych czasach każdy próbował zatrzymać przy sobie ludzi. Sklepiarz, knajpiarz, nauczyciel czy ksiądz... – Pod koniec grudnia ćwiczyliśmy kolędy pod okiem jednej z chórzystek. Ale na stałe zespół musi prowadzić ktoś

z większym doświadczeniem.

– I mniejszym ego – dodał mężczyzna siedzący w trzeciej ławie. Chórzyści zachichotali.

– Coś w tym jest – przytaknął Franz. Mimo zdenerwowania Inge wciąż nie mogła przestać na niego patrzeć. Być może to, że wyglądał jak marzenie każdej kobiety, tak ją onieśmiało? Tym bardziej że choć wcale tak się nie czuła, była dość... starą panną Hirsch, bo każdy mężczyzna w jej życiu był albo draniem, albo miał żonę. Zdarzali się również żonaci dranie. A teraz na dokładkę ksiądz. Musiała jak najszybciej wyrzucić go z głowy.

– Może w takim razie spróbujemy *Stille Nacht*[15]? Mogę zaśpiewać partię sopranową. – Inge jako jedyna nie śmiała się z chórzystami.

– Bardzo prosimy – odparł Franz z uznaniem dla jej determinacji i poprosił gestem chórzystów, by wstali. Śpiewacy zebrali się pośpiesznie. Inge patrzyła, jak zajmują swoje miejsca, ustawiając się w dawno ustalonej kolejności. Każdy wiedział, gdzie ma stanąć. Po lewej znalazły się cztery starsze sopranistki. Tych zawsze było najwięcej. Po prawej dwie panie dysponujące altem, jeden tenor i dwóch bas-barytonów. Każdy z nich trzymał w dłoniach wydanie *Weinachtslieder Album*[16].

– Niestety, nie ma klucza do instrumentu. – Franz wskazał zamknięte organy. – A organista na dniach zostanie ojcem, dlatego dziś nam nie towarzyszy.

– Mam kamerton, dziękuję – odparła i zdobyła się na pierwszy tego dnia szeroki uśmiech.

Podążyła muzykom dźwięki i uniosła ręce. Zdawały się ciężkie. W ciszy, która nagle zaległa, słyszała własny oddech. Jej dłonie drżały. Zaczepnęła powietrze i opuściła ręce.

Po kościele rozeszły się dźwięki kolędy. Głos Inge był słodki, mocny, a jednocześnie subtelny. Gładki, wyrównany. Była w nim głębia oceanu – zimna, czysta, przejrzysta. A wyższy rejestr wypełniało ciepło odczuwalne niemal na skórze. Każdy kolejny dźwięk przechodził w następny. Jakby jej oddech nigdy się nie kończył. Chórzyści uśmiechali się, tym bardziej że ich dyrygentka zamiast patrzeć na nich, zamknęła oczy, kontrolując jednak dynamikę w poszczególnych głosach. Franz, który dotąd siedział, teraz podszedł do bariery chóru. Spojrzał na swój kościół i zasłuchał się w jej śpiew. Nawet nie drgnął, gdy na kamiennych ścianach świątyni wybrzmiewały resztki finalnego akordu pieśni.

Wszyscy zamarli. Starsza sopranistka otarła łzę wzruszenia. Inge z trudem wypuszczała powietrze z płuc. Odnosiła wrażenie, że jest go za dużo i choćby dęła w tubę, nie mogłaby się go pozbyć. Ksiądz odwrócił się cicho i podszedł do niej.

– Wspaniale – powiedział z nieukrywanym zachwytem. – Zróbcie sobie przerwę – zwrócił się do chórzystów.

Usiedli.

- Dziękuję – szepnęła Inge.
- Dlaczego tak się pani denerwuje? – zapytał łagodnie.
- Bo bardzo, ale to bardzo mi zależy – odparła.

Cholernie mi zależy – pomyślała, starając się nie roześmiać. Klęła tylko w myślach, nigdy głośno. Ale słyszała swój własny głos mówiący „cholera” i to ją bawiło.

– Och, a jak mnie zależy! Ludzie lubią piękno. Msza nie może być nudna, bo zamiast się modlić, wierni pójdą szukać piękna na spacerze lub gdzie indziej. Dziwne nastały czasy, niech mi pani wierzy.

– Wierzę – powiedziała, myśląc jednak o czymś zupełnie innym.

– Czy jest pani wierząca? – zapytał, czym zupełnie zbił ją z tropu. I znów się zdenerwowała.

– Kiedyś... hmm... – Chrząknęła zawstydzona.

– Rozumiem.

– Wierzę w muzykę – odparła bez namysłu. Ale to właśnie była najszczęśliwsza odpowiedź, jakiej mogła udzielić.

– To zupełnie jak ja. Lecz wierzę też, że muzykę dał nam Bóg. – Splótł dłonie na kolanach.

– Coś w tym musi być, skoro jest tak nieogarniona, nieskończona, piękna i szczerą. – Starła się używać jego retoryki. Obawiała się jednak, że on wie, dlaczego mówi do niego w ten sposób. Wydawał się niezwykle inteligentnym człowiekiem.

– To, co pani mówi, to załedwie wstęp do wiary. Ale wstęp oznacza początek. A to już dobrze. – Zmanipulował ją. – Ja też kiedyś musiałem przez to przejść.

Czy nie tak zaszczepia się wiarę? – zastanowiła się w myślach.

Odwróciła głowę w stronę wejścia na chór. Stał tam zasuszony sześćdziesięciolatek, a przynajmniej tak go oceniła. Ukłonił się bez słowa i ruszył w stronę księdza. Franz podniósł się z ławy.

– Paul Klein – przedstawił się mężczyzna. Faktycznie, był niezbyt duży. Nazwisko pasowało do niego jak ulał. – O, przepraszam, gdzie moje maniery? – skarcił się głośno i ukłonił się Inge.

Skinęła głową. Domyśliła się, że to kolejny kandydat.

– Ach, witam – odparł ksiądz i uściśnął mu rękę. – Panno Hirsch – zwrócił się do Inge – bardzo pani dziękuję. Jeśli ma pani czas i ochotę, proszę jeszcze zostać i posłuchać.

Ale ona nie miała zamiaru wspierać swoją obecnością konkurenta.

– Dziękuję za zaproszenie – odparła speszona. – Niestety, nie mogę. Mam dziś jeszcze uczniów – skłamała.

– Prześlę do pani telegram z decyzją. Chyba że ma pani telefon?

- Niestety, nie.
- Wobec tego proszę o kilka dni cierpliwości.

Inge pożegnała się szybko. Nie wiedziała, co sądzić o spotkaniu. Jej samej wydawało się, że właśnie dała najlepszy występ w całym życiu. Oby tylko ksiądz Franz pomyślał podobnie. Postanowiła nie zatruwać sobie życia, rozmyślając o jego potencjalnej decyzji. Wszystko w niej drżało. Czowała pulsowanie żył, mimo wszechobecnego zimna oblał ją pot. Oby tylko dostała tę pracę, a z pewnością zdoła się do niej przyzwyczaić. Na razie postanowiła nieco ochłonąć, w końcu coś zjeść i nastroić się pozytywnie przed jutrzejszym obiadem u Schulzów.

Klara patrzyła na swoich gości, a jej z dnia na dzień nabierające kolorów oblicze teraz wyraźnie się zachmurzyło. Siedziało przed nią dwóch mężczyzn. Dobrze ich знаła. Uważała za przyjaciół. Ale ich dzisiejsze wspólne pojawienie się odebrała jako atak frontalny przeciwko niej.

– Klaro, skąd ta mina? – Pierwszy odezwał się Aangus, którego głos zabrzmiał protekcyjnie, czym dodatkowo ją rozwścieczył.

– Chyba mi się nie dziwisz? – odpowiedziała pytaniem.

– Przecież zazwyczaj bywam u ciebie w czwartki. Chyba nie pokrzyżowałem ci planów?

– Bywasz, owszem. Ale sam...

– A więc to ja jestem niepożądanym gościem? – wtrącił Hübschner, marszcząc brwi.

Faktycznie, gdy Dieter zjawiał się sam, Klara się tak nie zachowywała.

– Nie w tym rzecz. Obaj dobrze wiecie, o co mi chodzi, więc przestańcie udawać naiwniaków.

– Wiele się zmieniło przez ostatni tydzień. – Dieter uśmiechnął się kwaśno.

– Kończę z kuracją barbituranami. Wracają do mnie emocje – odcięła się Klara.

– Szkoda, że sięgnęłaś najpierw do szufladki ze złośliwością i ironią.

– Jakbyś nie pamiętał, to taka właśnie jestem.

– Przestańcie oboje, bo wyjdę – zagroził im Gabriel i dosłownie czekał na zachętę od Klary. Ale ta umilkła. Nie czuła się najlepiej, choć nie było już tego po niej widać. Nikt przecież nie musiał wiedzieć, że budziła się w nocy zrana potem, płacząc bez powodu, cierpiąc niewypowiedziany ból, nie tyle fizyczny, ile przede wszystkim psychiczny. Do tego przy każdym gwałtowniejszym ruchu głową miała wrażenie, że coś na nią spada lub ktoś uderza ją w czoło. Nie czuła samego ciosu, ale jego konsekwencje. Na ułamek sekundy traciła przytomność, co bardzo przeszkadzało jej w funkcjonowaniu. Do tego odczuwała nudności, gorsze niż te z okresu ciąży. Powinna powiedzieć o tym Dieterowi, który mimo ich zażyłości i właściwie wbrew etyce lekarskiej nadal mienił się jej psychiatrą. Ale była na niego tak wściekła, że wołała zamilknąć.

– Przepraszam... – wykrztusiła, lecz ledwo przeszło jej to przez gardło. – Chyba przyszłście namawiać mnie do czegoś, czego nie mam zamiaru robić.

– Skąd taka myśl? – niemal oburzył się Dieter. – Gabriel zapytał mnie wczoraj w rozmowie telefonicznej, kiedy się do ciebie wybieram, i postanowił przyjść ze mną.

– Powiedz, że i ciebie nabrał...

– Nie rozumiem, co masz na my... – Angus zamilkł, gdy zobaczył, że jego znajomy wyciąga z torby dwie teczki.

– Proszę, powiedz jej, że to ważne. Mnie już nie słucha. – Gabriel wbił w niego wzrok.

– Ona tu jest – bąknęła Klara. Przypuszczała, że teraz mężczyźni się posprzecząją, i nie chciała im przerywać.

– Gabrielu, co to ma znaczyć? – Dieter wydawał się zaskoczony. Czyżby jednak nie uczestniczył w zмовie?

– To są dwa samobójstwa. A przynajmniej tak sądzą Michael Eckert, mój zastępca i przydzielony do sprawy prokurator. Ja jednak uważam, że jest inaczej. I tylko Klara może wyprowadzić mnie z błędu – zakończył dyplomatycznie swoje wyjaśnienia.

– Myślę, że powinieneś poinformować mnie o tym wcześniej – odrzekł Dieter.

– Sęć w tym, iż przypuszczałem, że się nie zgodzisz. W końcu poniekąd to ja jestem winny traumy Klary. – Gabriel był spokojny. Nie miał zamiaru się sprzeczać. Dieter także.

– Zapewne tak. Tylko że nie postawiłbyś mnie w tak niezręcznej sytuacji. Poza tym nie zabroniłbym ci iść ze mną. To nie moja rola.

Klara słuchała tej rozmowy i czuła się nią znudzona. Liczyła na większe atrakcje. Mężczyźni dyskutowali bez emocji, jakby przed nimi na stole stały dwie koniakówki, a celem ich spotkania było opróżnienie butelki napoleona.

– Powinniśmy pozwolić Klarze na decydowanie w tych kwestiach. – Dieter wskazał na akta spraw.

– Zgadzam się. Woląłem jednak, żebyś powiedział, czy są ku temu przeciwwskazania. – Gabriel zrobił to samo.

– To zależy od samopoczucia Klary... – stwierdził Dieter.

– Panowie... – Klara chciała w końcu się wtrącić, ale obaj dżentelmeni nie zamierzali bynajmniej zakończyć zagorzałej dyskusji.

– Może jej samopoczucie uległoby zmianie, gdyby znów zrobiła coś dobrego, znaczącego dla ofiar? – zastanawiał się głośno Gabriel.

– Panowie, przepraszam...

– Jeśli trauma nadal w niej tkwi, nie mogę pozwolić, by źle pojęty altruizm popsuł miesiące leczenia.

– Dieterze! – Klara zwróciła się do psychiatry. Gdy mówiła do obu naraz, jakby jej nie widzieli.

– Rozumiem, ale przecież nikt nie każe jej wychodzić z domu... – upierał się Gabriel.

– Samo patrzenie na zdjęcia może spowodować załamanie.

– Dobrze, do cholery! – Klara wstała gwałtownie, tym razem przykuwając uwagę obu mężczyzn. Spojrzeli na siebie, zarówno skruszeni, jak i zadowoleni. – Nie jestem ani głupia, ani ślepa czy głucha... Widzę, że się umówiliście na to przedstawienie. Poza tym nasłaaś na mnie Michaela, który dzwonił wczoraj. Zapomniałaś, Gabrielu? Zresztą... – Odwróciła się do okna. – Nie obchodzi mnie to.

Tym razem ich entuzjazm zgasł. Jej ostatnie słowa nie wróżyły sukcesu.

– Spojrzę na to, mój drogi – zwróciła się przez ramię do policjanta – ale dopiero wtedy, kiedy sobie pójdziecie. I jak będę gotowa, zrozumiałeś?

– Tak – odparł Gabriel i przełknął ślinę. Dieter zaś patrzył na nią oczarowany. W końcu znów stała prosto, miała nienaganną fryzurę, rumiane policzki... Włożyła piękną sukienkę i zarzuciła na ramiona dziergany szal. Mówiła wyraziście i... klęła! Wracała do zdrowia!

Drzwi do salonu lekko się uchylły. Gerta zajrzała przez nie nieśmiało.

– Czy mogę już wejść z kawą? – zapytała, chociaż Klara nie przypominała sobie, by nie pozwoliła jej tego zrobić wcześniej. Domyśliła się, że wszystko od samego początku zostało ustalone i zaplanowane. Była na siebie zła, że nie ma na tyle siły, by wyrzucić tych dwóch spiskowców z domu. Choć z drugiej strony obaj byli tacy przystojni. Że też było jej to obojętne przez tak długi czas. Barbiturany definitywnie odebrały jej jasność umysłu. Mimowolnie uniosła kąciki ust w lekkim uśmiechu, którego nie widzieli, gdyż nadal stała twarzą do okna.

– Możesz – odezwała się do Gerty.

Mężczyźni odetchnęli. Klara najwyraźniej nie zamierzała wygnać ich na mróz.

Wieczór zapadł zdecydowanie za wcześnie. Uroki zimy... Gdy za oknem zapadał zmierzch, Klara zaczynała odczuwać senność. Jak mucha, która w ciemności zastyga, a gdy tylko zobaczy światło, lata jak opętana. Choć o Klarze tego drugiego nie można było powiedzieć. W mroźne styczniowe poranki Klara budziła się jak kot, który przeciąga się piętnaście minut, by po chwili sprawnie przewrócić się na drugi bok. Tak, zdecydowanie. Zasypiała jak mucha, a budziła się jak kot.

Weszła do łazienki. Na umywalce stała fiołka, z każdym dniem lżejsza. Obok spoczywał krótki, ostry nóż. Klara wytrząsnęła na dłoń pigułkę. Przyjrzała się jej, jakby z tęsknotą i niechęcią zarazem, po czym położyła ją na brzegu umywalki. Przymierzyła ostrze tak, aby dzieliło lek na pół. Pierwsze cięcie było

łatwe. Kolejne nieco trudniejsze. Przecięła połówki na kolejne. Jedną z ćwiartek włożyła do ust, a pozostałe wrzuciła z powrotem do fiolki. Gorzki smak ściągnął kąćki jej ust w dół. Zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech przez nos. Nabrała w dłonie wody i popiła nią lekarstwo. Wyraźnie czuła, jak spływa wraz z płynem do żołądka. Im mniejsze porcje zażywała, tym trudniej było je połykać. Irracjonalne... A jednak psychika brała górę. Jej umysł powoli oswobadzał się z kajdan otępienia. Znowu czuła, że żyje. I mimo że ją bolało, mimo że miewała koszmary, to jednak życie nabierało dawnych smaków. Czuła je coraz wyraźniej: miłość, radość, wzruszenie. I coś jeszcze... lecz tego nie potrafiła zidentyfikować. Ale podniecało ją to zapomniane doznanie. Wrażenie niedosytu pobudzało ją do działania. Musiała tylko rozpoznać jego źródło.

Wróciła do salonu. Ogarnęła wzrokiem ślady codziennej aktywności mieszkańców domu. Marie zostawiła na podłodze niedokończone malowidło. Bazgraninę, która nie wyrażała niczego, przynajmniej dla dorosłego człowieka. Fritz niemal cały wieczór grał na fortepianie, na którego pulpicie stał zeszyt w pięciolinię z nutami podpisanymi solmizacją. Bernard jeszcze nie wrócił do domu, choć i on lubił zostawiać w salonie sporządzone po łacinie zapiski, których znaczenie rozumiał tylko on sam. Gromadził je przez kilka dni, a w wolnej chwili wnosił do gabinetu. Mąż obiecał Klarze, że postara się zdążyć na piątkowy obiad. Nie do końca wierzyła w jego deklaracje, ale rozumiała, dlaczego nie dotrzymuje słowa. Godziła się na to, lecz bez barbituranów było jej znacznie trudniej.

Usiadła w ulubionym fotelu obok kominka. Po raz kolejny tego dnia spojrzała na teczki z dokumentami, które przyniósł Gabriel. Przez ten cały czas ani razu ich nie dotknęła. Obserwowała je z bezpiecznej odległości, jakby miały ją zaatakować niczym nieokiełznane dzikie zwierzę. Rzucić się na nią i dotkliwie pogryźć. Trzymała je na dystans niczym treser oswajający tygrysa, bojąc się otworzyć którąkolwiek z nich. A jednak właśnie wtedy zidentyfikowała to uczucie. Tak przecież smakowała ciekawość. Gdyby porównać ją do potrawy, byłaby pikantna i słodka zarazem. Pachniała cudownie, ale było w tej woni coś niepokojącego. Jakby za kuszącym aromatem kryła się śmiertelna trucizna. Klara jeszcze przez chwilę spoglądała na akta. Potem nagle pochwyciła teczki i pobiegła z nimi na górę. Nie wiedząc, gdzie je ukryć, by o nich zapomnieć, bez zastanowienia cisnęła je pod łóżko po stronie zajmowanej przez Bernarda. Zrobiła to z takim impetem, jakby parzyły ją w palce. Szybko przebrała się w koszulę nocną, zgasiła światło i przyłożyła głowę do poduszki. Ale ta kusząca ciekawość, której tej nocy jednak się nie poddała, utrudniała jej zaśnięcie jeszcze przez wiele godzin.

Ciężkie drzwi stęknęły, a do pokoju weszła kobieta. Podeszła do śpiącego mężczyzny.

– Nathanielu? – Potrząsnęła nim lekko.

Westchnął.

– Nie dziś – odparł schrypniętym głosem.

– Dlaczego? – zapytała i pogłaskała go po włosach.

– Bo on wciąż czuwa – wyjaśnił i przewrócił się na drugi bok. – Co będzie, jeśli nas przyłapie?

– Aż takie ma to dla ciebie znaczenie? – zapytała.

– Owszem, ma.

– Ale ja muszę... – nalegała. Pocałowała go w czoło.

– Ciągłe tylko ja, ja i ja. – Wbił w nią wzrok. Jego ciemne oczy błysnęły w mroku nienaturalnym blaskiem.

– Pragnę tego. I bardzo, bardzo cię potrzebuję. – Chwyliła go za dłoń i pociągnęła, próbując zmusić go, by wstał.

– Idź spać. – Wyrwał się z jej uścisku. – Nie zakradaj się tu, póki nie będę mieć pewności, że się mu nie narażę – warknął.

Kobieta wstała zagniewana i opuściła jego pokój. Nathaniel znów pograżył się we śnie.

Klara obudziła się w pustym łóżku. Bernard przyszedł późno i wyszedł skoro świt. Prawie go nie widywała. Pocałował ją na pożegnanie, lecz prawie tego nie pamiętała. W ogóle nie pamiętała, jak to jest... Dawno się nie kochali. Nie tulili do siebie, nadzy, namiętni. Gdy ją całował, działał jak automat. Bo tak wypadało, a nie z potrzeby serca. Klara przez dłuższy czas nie miała na to ochoty, ale dziś rano mogłaby przysiąc, że zaczęło jej tego brakować! W dodatku doskwierały jej jeszcze dwie rzeczy: głód i ochota na naleśniki oraz drący się wniebogłosy dzwonek telefonu, którego o siódmej trzydzieści rano nie miał kto odebrać. Christian zajmował się Marie. Zapewne ją karmił, co pochłaniało go na tyle, że nie słyszał własnych myśli. A jego żona, Gerta, szła zapewne wraz z Fritzem do nauczyciela. Nawet gdy na świat przyszła córka Schulzów, Gerta nie zapomniała o swoim oczku w głowie, którym był ich syn. Nie odmówiłaby ani jemu, ani sobie przyjemności odprowadzenia go na lekcję. Przechadzka z Fritzem była sensem jej życia. Klara odnosiła czasem wrażenie, że syn jest bardziej związany z Gertą niż z własną matką. Ale jedyną osobą, którą mogła o to obwiniać, była ona sama.

Dzwonek telefonu umilkł, by po kilku minutach znów zadzwieć. Półprzytomna Klara zwlekła się z łóżka i poczłapała na dół, do holu.

– Nie, nie czytałam – powiedziała, gdy tylko zdjęła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

– Skąd wiesz, że to ja? – zapytał Gabriel.

– O tej godzinie to możesz być tylko ty – odparła.

– A twój mąż?

– On w ogóle nie dzwoni do domu – zauważyła i od razu ją to zabolalo. Nie zawsze czuła się komfortowo z tymi „powracającymi smakami dawnego życia”.

– Może gdybyś wróciła do główkowania, nie odczuwałabyś tak bardzo jego braku? – Skarcił się w myślach za tę kretyńską sugestię. Cholerna niecierpliwość... Przymknął oczy i czekał na awanturę. Ale ku jego zdziwieniu Klara po prostu zamilkła. Odezwała się dopiero po kilku sekundach.

– Dobrze, opowiedz mi o tym... – Poddała się.

– Słucham? – zdziwił się.

– Nie, to ja słucham.

– Na pewno? – spytał.

– Bo się rozmyślę – ponagliła go.

– Dobrze, hmm. – Na moment stracił głowę. Był pewien, że usłyszy to samo, co powtarzała przez kilka ostatnich miesięcy: „już się tym nie zajmuję”. – Od czego tu zacząć?

– Ofiary? – podpowiedziała.

– Prostyutki. A przynajmniej jedna z nich. Po drugą nikt się dotąd nie zgłosił, ale sądzimy, że też pracowała w domu publicznym.

Klara milczała przez krótką chwilę.

– *Modus operandi*?

– Nie wiem, czy to *modus operandi*... – Po raz pierwszy wyraził wątpliwość co do własnej tezy. Aż sam nie mógł w to uwierzyć. – Jedna miała przeciętą tętnicę udową, druga nadgarstki.

Znów umilkła. W notesie obok telefonu zapisała: „Mróz – tak. Prostyutki – tak. *Modus* – nie”.

– Ślady maltretowania? – pytała jak urzędnik notujący dane petenta.

– Ofiary nie miały obrażeń. Tylko otarcia nadgarstków i kostek.

– Siniaki, zadrapania?

– Nie – odrzekł.

– Woda w płucach?

– Nie. Ani jedna, ani druga nie utonęła.

– Inne rany? – pytała od niechcienia. Tak naprawdę robiła mu uprzejmość. Nie chciała wiedzieć.

– Nie.

– Wokół ciała nie było śladów? – Domyślała się.

– Nie, żadnych. Oczywiście mógł je przysypać śnieg. Z tym że jeśli ciała w połowie znalazły się pod lodem, żadna z kobiet na ów lód nie mogła tak po prostu wejść. Albo byłby zbyt cienki i zanim którakolwiek z nich dotarłaby pod most, zarwałby się pod jej ciężarem, albo, jeśli byłby zbyt gruby, żadna nie przymarzałaby do tafli na tyle, by trzeba było ją wycinać. Bo wycinaliśmy ciała. Wiesz? Czytałaś akta?

Klara znów na chwilę przerwała.

– Cóż. Większość wskazówek, które mi podałeś, oznaczyłam na „nie”. –

Odłożyła ołówek obok notatnika.

– Co to oznacza? – spytał, choć wiedział, co ma mu do powiedzenia.

– To samobójstwa. Luźno powiązane przypadki dwóch desperatek, którym odechciało się żyć.

– Jesteś pewna? – Uznał to pytanie za najgłupsze, jakie kiedykolwiek zadał.

– Oczywiście, że nie. Nie było mnie przy tym.

– Więc zajrzyj do akt, błagam!

– Nie chcę. O mały włos nie skończyłabym jak one. Nie mam zamiaru do tego wracać – odparła sucho.

– Dobrze, rozumiem. – Usiadł na białym taborecie, który stał obok telefonu w jego przeszło dwustumetrowym mieszkaniu, w którym czuł się taki samotny. A sytuacje jak ta, w połączeniu z osamotnieniem i paskudną porą roku, doprowadzały go do szału. On też nie chciał wracać do strzelaniny w jej domu, po której omal... nie osierociła syna, chociaż cisnęło mu się na myśl: po której omal jej nie stracił. – Nie będę cię już tym niepokoić. Przyjdę do ciebie w kolejnym tygodniu, jeśli pozwolisz. Sam. Odbiorę akta śledztw.

– Pozwolę. Pamiętaj, że u mnie jesteś zawsze mile widzianym gościem – powiedziała łagodnie.

Inge jadła śniadanie, gdy do drzwi jej mieszkania ktoś zapukał. Zerwała się na równe nogi i pobięła do przedpokoju. Czekala na tę wizytę. To musiał być listonosz. Przyglądała włosy i poprawiała pod szyją staromodny, wysoki kołnierz.

– Dzień dobry, panno Hirsch – przywitał ją lekko zdezorientowany doręczyciel. Rzadko przynosił jej pocztę do domu. Zazwyczaj wsuwał przesyłki przez szparę w drzwiach, a ona nawet nie zauważała, kiedy to robił. Dziś jednak na niego czekała. – Mam dla pani telegram do rąk własnych.

– Dziękuję. – Prawie wyrwała mu go z rąk.

– Proszę podpisać. – Podał jej pokwitowanie.

Złożyła niedbały autograf i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Szanowna Panno Hirsch,

Niniejszym z radością informuję, że od poniedziałku powierzam Pani posadę chórmistrza w parafii Świętego Mikołaja przy Nikolaiplatz, zgodnie z zaproponowanymi przed przesłuchaniem warunkami finansowymi. Zapraszam Panią wieczorem, w najbliższą sobotę, na pierwszą próbę i szczegółowe omówienie planu naszej współpracy.

Z poważaniem

Proboszcz parafii ks. Franz Willich

Inge zmięła zapisany wytwornym pismem list i mocno przycisnęła go do piersi. Tłumiąc okrzyk radości, przez wzgląd na wiekowych sąsiadów, którzy lubili wtykać nos w nie swoje sprawy, podskoczyła kilka razy w miejscu. Uśmiechała się

tak szeroko, że rozbolały ją policzki. Wiedziała, że nic już jej nie zepsuje tego dnia. Z entuzjazmem dokończyła posiłek i powoli szykowała się do lekcji z młodym Fritzem. Odzyskiwała właśnie kontrolę nad swoim życiem.

13 Pl. Strzegomski.

14 Ul. Zachodnia.

15 *Cicha noc.*

16 *Pieśni bożonarodzeniowe.*

V

W salonie wciąż jeszcze unosił się zapach jedzenia. Klara i Fritz, przyzwyczajeni do kuchni Gerty, nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, jaki mają skarb w domu. Inge mogłaby przysiąc, że dawno lub nawet nigdy nie jadła tak dobrej kartoflanki, nie wspominając już o roladkach z liści winogron, wypełnionych farszem z sandacza i ryżu, okraszonych doskonałym sosem cytrynowym. Mimo że domownicy nie mieli już miejsca w żołądkach, Gerta przyniosła deser. Inge, nie bacząc na maniery, zaczęła jeść pierwsza, choć gospościa nie zdążyła jeszcze podać kawy i herbaty. Klara uśmiechnęła się pod nosem, mimo że sama nie słyszała ze szczególnej ogłady...

– Doskonałe ciasto... Ta czekolada... – pochwaliła podwieczorek panna Hirsch.

– Gerta piecze najlepsze ciasta na świecie! – przytaknął Fritz i nabił cały kawałek na widelec, po czym zaczął go ogryzać.

– Fritz, opanuj się! – upomniała go Klara i podniosła widelczyk z czekoladą do ust siedzącej obok w wysokim krześle Marie. – Skusisz się, córciu? – zapytała i uśmiechnęła się szeroko, zupełnie odruchowo. Marie wyszczerzyła w uśmiechu całe osiem ząbków i pisnęła przy tym radośnie. Ale ciasta nie chciała. – Może masz rację... – powiedziała Klara jakby trochę do siebie, oceniając przy tym stan swojej figury. Dawno się nad tym nie zastanawiała. Życie było teraz takie inne.

– Nam mówiono zawsze, że słodczyce dają radość i siłę, którą słyszać w śpiewie – wtrąciła Inge, nie zdążywszy dokładnie przełknąć kawałka ciasta. Zakryła dłonią usta.

– Trochę naciągnęli fakty – skomentowała Klara. – Ale przynajmniej dali dyspensę na grzeszenie. A właśnie, tak *à propos* grzechu. Jak tam przesłuchanie w kościele? – zapytała, dziwiąc się, jak szybko skojarzyła słowo grzech z kościołem...

Inge tym razem przełknęła wszystko. Błysk w jej oku zdradził, co chce powiedzieć.

– Dostałam tę posadę – odparła konspiracyjnym szeptem. Radość tak ją rozpieęła, że bała się mówić głośniej, by nie zacząć w końcu piszczeć jak Marie przed chwilą.

– Gratuluję! – Klara odkryła w sobie nowe uczucie: serdeczność. Bardzo przyjemne. – W normalnych okolicznościach wzniosłabym toast, lecz na razie... nie mogę.

– Czyżby kolejny członek rodziny?

– Nie, nie. Muszę doleczyć... migrenę. – Klara chrząknęła nerwowo. Jej myśli wydostawały się z głowy zbyt swobodnie. Nie powinna mówić Inge za wiele, a jednak mimowolnie to robiła, prowokując niewygodne pytania. A przecież nauczycielka nie chciała usłyszeć, że Klara nie może pić, bo po ostatnim niedużym koniaczkę, którym zapiła ćwiartkę barbituranów, myślała, że umrze, w agonii oparta o toaletę.

– Znam ten problem – współczuła jej Inge. – Po długich próbach w operze, szczególnie w pełnym składzie, miewałam tak silne migreny, że nie byłam w stanie wstać z łóżka.

– Czy kariera w teatrze warta jest ataków migreny? – zapytała rozmarzona Klara, myśląc jednak o czymś zupełnie innym. O przygodach, których postanowiła już nie mieć. Czy one były warte bólu pod obojczykiem, który miał jej towarzyszyć do końca życia?

– Nie, na pewno nie. Choć muszę przyznać, że czasem było wspaniale.

– To jak u mnie – dodała Klara i znów skarciła się za paplanie.

– Szkicowanie też może być stresujące. Tak to jest w zawodzie artystycznym. – Inge najwyraźniej źle ją zrozumiała. Klara postanowiła, po raz kolejny zresztą, nie wyprowadzać jej z błędu.

– Żebyś wiedziała! Bywa okropne! – potwierdziła skwapliwie. – Paskudne wprost... A jednocześnie tak porywające. Czasem dosłownie pochłaniało mnie to bez reszty. Budziłam się w nocy i rozmyślałam, z kim powinnam rozmawiać, od czego zacząć... No i rzecz jasna, jak to się dalej potoczy. A niebezpieczeństwo wpisane w ten zawód, chociaż parę razy omal nie przyplącałam własnego wścibstwa życiem, jest tym, za czym się najbardziej tęskni!

Przy stole zapadła cisza. Klara zorientowała się, że jej myśli zawędrowały znacznie dalej niż do pracowni w wieżycy willi w Leerbeuthel[17].

– Ojej – wykrztusiła w końcu Inge. – Nie wiedziałam, że rysunek może być tak...

– Tak. – Klara pokręciła głową, ucieszona faktem, że Inge nie zorientowała się, o czym mowa. – Nie wracajmy do tego... Przynajmniej dziś.

– Oczywiście, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, szanuję to. Ja też niechętnie mówię o operze. Choć czasem warto to z siebie wyrzucić.

– Chciałabyś mi o tym opowiedzieć? – Klara odwróciła uwagę Inge od siebie.

Śpiewaczka znów odczuła zakłopotanie. Klara niespodziewanie zmieniała tor rozmowy.

– Moja historia jest chyba nieciekawa w porównaniu z twoją. – Nauczycielka opuściła oczy. Robiła to dość często. To zdradzało jej nieśmiałość.

– Moja jest już przeszłością. Nie wrócę do zawodu de... koratora... czystych kartek – zaśmiała się nerwowo Klara.

– Ładnie to ujęłaś. – Skonsternowana Inge po raz kolejny kiwnęła głową.

– Wrodzony talent. – Klara z wrodzoną skromnością podsumowała swoją umiejętność mówienia o czymś innym, niż w danym momencie myślała. – W każdym razie ty przecież zaczynasz na nowo, ale w starym zawodzie. Jak to jest? Czemu nie inna scena, tylko kościelny chór? – Podkreśliła ostatnie słowa, choć bardzo starała się, by nie zabrzmiały pogardliwie. Chyba się udało.

– To przez treść właśnie...

– Każdy się denerwuje, gdy mu na czymś zależy.

– Nie, to nie tak. Mnie to zabijało – odparła poważnie Inge.

– Nie rozumiem? – Klara nie była pewna, czy dobrze zrozumiała słowo „zabijało”.

– Moja treść to coś, nad czym nie mogę zapanować. – Inge przyłapała się na tym, że pociera kciukiem jednej dłoni środek drugiej. Coraz zajadziej...

– To, co mówisz, podsuwa mi obraz kogoś, kto... – Klara ściszyła głos przede wszystkim ze względu na kręcącą się w pobliżu Gertę, bo dzieci zdążyła już przyzwyczaić do specyficznych porównań – ...musi biec do toalety, a nie może, bo ze strachu zeszywniał na kamień...

– Niestety, mówisz o mnie. – Inge znów opuściła wzrok.

– O, to faktycznie straszne. – Klara robiła wszystko, by nie dopuścić do tego, by zapadła niezręczna cisza. Ale zdecydowanie nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Bała się, że zacznie się śmiać. – Ale przecież to była odpowiedzialność zbiorowa. Ile was śpiewało w chórze? Pięćdziesiąt osób?

– Od osiemdziesięciu do stu pięćdziesięciu – przerwała jej Inge. – I tak. To była „odpowiedzialność zbiorowa”.

– Z całym szacunkiem, bo słyszałam podczas naszej lekcji, jak śpiewasz, ale nawet twój piękny głos nie zdołałby przebić się przez taką... ścianę dźwięku!

Niestety... Niewygodna cisza nastąpiła, i to w najmniej oczekiwanym momencie.

– Ludzie potrafią być okropni – westchnęła półgłosem panna Hirsch.

– Coś o tym wiem. – Klara badała sytuację. Jej potwierdzenie zabrzmiało raczej jak pytanie. Nie chciała obrazić Inge. – Spotkało cię coś złego – powiedziała ze współczuciem.

– To przez pecha...

– W doborze przyjaciół?

– Gorzej. – Inge upiła łyk ciepłej herbaty. Klara zrozumiała, że powinna odprawić dzieci.

– Gerto, zajmij się Marie – wydała polecenie gosposi.

– Z największą przyjemnością – odezwała się Gerta, biorąc na ręce małą. – Chodź, Frycusi, pomalujemy razem – powiedziała do młodego Schulza, który chętnie za nią poszedł. Lubił, gdy traktowała go jak małe dziecko, i tylko jej na to

pozwał.

* * *

Gdy gosposia zabrała dzieci, Klara wstała, aby skierować się do barku, z którego wyjęła butelkę kilkunastoletniego koniaku.

– Dla otuchy – powiedziała do Inge, nalewając trunek do koniakówki. Postawiła ją przed rozmówczynią.

– To o jakim rodzaju pecha mówimy? – zapytała, sama sięgając po szklanekę z wodą.

Inge westchnęła i upiła spory łyk koniaku. Skrzywiła się, choć wcale nie straciła tchu, co zdarzało się nawet Klarze. Widać było, że zgodnie z legendami krążącymi o muzykach dobrze znała ten smak.

– O mężczyznach w życiu Inge Hirsch... – „wyśpiewała” miękim głosem. W takim wydaniu, z jej wielkimi, niebieskimi oczami i jasnymi włosami, kojarzyła się Klarze z łamaczką męskich serc. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że jej staropanieństwo nie wynikało z braku czasu poświęconego w całości na karierę, ale raczej z nieumiejętności dobierania towarzyszy życia.

– Współczuję. – Klara nie wiedziała, co powiedzieć, chociaż po wydarzeniach z roku tysiąc dziewięćset dziesiątego, kiedy to niemal własnymi rękami odcinała z wisielczej liny barytona Emmanuela Heissa, miałyby sporo do opowiedzenia o romansach między śpiewaczkami a ich przełożonymi. Dyrektor Mahler, który wbrew swoim oczekiwaniom nie stracił wtedy pracy, dwa lata później zakończył karierę, topiąc ją skutecznie w kieliszku wódki. Klara nie sądziła, aby miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia i z tego powodu pił na umór. Wiedziała natomiast, że żona, która starała się wybaczyć mu ów romans, w końcu się poddała i sama znalazła pocieszenie w ramionach innego.

– Pewnie myślisz, że miał żonę lub był moim przełożonym. – Inge jakby czytała w myślach Klary.

Nie odezawszy się, Schulz zrobiła jedynie głupią minę. Właśnie o tym pomyślała.

– Mój wybranek, nie pierwszy zresztą, ale po tym, co mi zrobił, zapewne ostatni, był ode mnie nieco młodszy. Wydawało mi się, że lepiej nie mogłam wybrać. Urodziwy, uczynny, troskliwy. Solista, tenor o pięknym, lirycznym głosie. Po czasie okazało się niestety, że również bardzo kochliwy. Nie wiedziałam, że mnie zdradza. Byłam pewna, że niewiele dzieli nas od małżeństwa. Czekałam na oświadczyzny, a dostałam jedynie nauczkę za własną głupotę.

– Takich się zapomina. Wiem, że zdrada boli – mówiąc to, Klara poczuła, że robi się pąsowa – ale żeby od razu rezygnować z założenia rodziny? Dlatego wybrałaś ten kościół na miejsce pracy?

– Nie, nie. Kościół jest po prostu blisko mojego domu – wyjaśniła Inge. –

Poza tym nie muszę się bać o tę wszechobecną zawiść, która krąży w żyłach śpiewaków jak krew.

– Czy właśnie tego doświadczyłaś w operze? – Klara chciała całkowicie zatrzeć wspomnienie o temacie niewierności.

– Klaro. – Inge spojrzała na nią umęczonym wzrokiem. Nie chciała się jej zwierzać. Nie czuła też takiej potrzeby. Postanowiła jednak, wbrew sobie, być z nią szczerą. Rozumiała, że Klara, jej pracodawczyni, chce lepiej poznać nauczycielkę syna. Chciała to z siebie wyrzucić i mieć to jak najszybciej za sobą. – W operze było gorzej niż w przysłowiowym piekle. Doświadczyłam szykanowania, prześladowania i bezinteresownej złośliwości. Liściki i kwiaty od dawnych wielbicieli zmieniły się w obrzydliwe paszkwile, w których wypominano mi mój wiek, zarzucano nieprzygotowanie do koncertów, wyśmiewano mój głos.

– Twój piękny głos... – szepnęła Klara.

– Przypuszczałam, że robi to kochanka mojego niedoszłego narzeczonego. Nie rozumiałam, dlaczego tak usilnie próbuje zniszczyć mi życie. Może nie wiedziała, że byliśmy związani. Nigdy się z tym nie obnosiliśmy... Chciała się mnie pozbyć. Wiesz... konkurencji... Jeżeli młoda, atrakcyjna dziewczyna może mieć konkurencję w coraz starszej pannie. Zakładałam różne wersje. Nie chciałam odchodzić z pracy. Ale dochodziło do tego, że ktoś potargał mi perukę, poplamiał suknię czy zalał puder wodą... Z pewnością coś bym z tym zrobiła, lecz nie miałam żadnych dowodów, że to ona.

– Trzeba było zadzwonić do mnie – wtrąciła wzburzona Klara.

– Nie rozumiem...

– Znalazłabym dowody. – Klara nieco się rozmarzyła. Znów powróciła myślami do rzekomo znieawidzonego zajęcia... Nie poznawała ostatnio samej siebie.

– Wierz mi, że to nie było takie proste. – Inge uznała jej słowa za żart. Serdeczny, dobroduszny, pocieszający żart. – Ja też próbowałam. Nawet z nią na ten temat rozmawiałam, ale skończyło się jak zwykle. Wyszłam na idiotkę...

– Dowody zawsze wypływają... – powiedziała Klara i zmarszczyła czoło. Nagle przez jej umysł przebiegła niespodziewana myśl. Jakby *déjà vu*. Coś, czego nie potrafiła przypasować do żadnych własnych wspomnień, a jednak utożsamiała się z tą myślą.

– Tam jakoś nie chciały...

– Bo trzeba było... – mówiła dalej – ...szukać... głębiej. Cholera... Przepraszam cię, moja droga. Zaczekasz tu pięć minut?

– Oczywiście... – odparła zmieszana śpiewaczka, nawet bardziej tym, że Klara nazwała ją drogą, niż tym, że ją tak nagle opuściła czy zakłęła.

Klara zerwała się na równe nogi. Pobiegła na górę do sypialni i padła na podłogę. Na szczęście Bernard nie zdążył jeszcze zorientować się, że śpi na

zdjęciach z miejsc zbrodni. Nie wybaczyłby jej tego, że w ogóle postanowiła je przyjąć. Wyjęła akta spraw – zgonów, które sama określiła jako samobójstwa – i otworzyła teczki. Nerwowo wertowała kartki, czytając fragmenty policyjnych sprawozdań.

– No nie ma... Dlaczego? – mówiła do siebie. Wtem natrafiła na interesujący ją fragment.

„Narzędzia, którym zadano rany, nie znaleziono. Założono, iż pochłonęła je rzeka”.

Otworzyła kolejną teczkę. Także i przy drugiej ze spraw nie odnaleziono ostrza. Nie określono nawet jego kształtu. Jakim cudem?

Klara zbiegła z powrotem po schodach. Stała w drzwiach salonu.

– I kolejnych pięć, jeśli pozwolisz. – Zrobiła taki gest rękami, jakby się nimi zasłaniała lub próbowała złapać piłkę.

Inge powiodła za nią wzrokiem, kompletnie zdezorientowana. Klara od początku wydała się jej dziwna, ale jej aktualne zachowanie przechodziło wszelkie oczekiwania. W dodatku ta „cholera”... Jakoś to słowo nie pasowało w mniemaniu Inge do subtelnej rysowniczkii...

Klara podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła o połączenie z Prezydium Policji w Breslau.

– Z Gabrielem Hübschnerem – zażądała, nie przedstawiając się.

– Pan dyrektor jest zajęty – odparł z godnością dyżurujący przy telefonie policjant.

– Proszę go zawołać. Na pewno zechce rozmawiać z Klarą.

– Z kim? – zapytał mężczyzna, a w słuchawce coś trzasnęło, aż Klara odsunęła ją od ucha.

– Z Klarą Schulz. Córką Heinricha Krenckiego. Prywatną detektyw, która omal nie straciła życia przy sprawie Gaspara von Haasa. Wystarczy? – Poczuli, że pulsuje jej skroń. Mówiła cicho, by Inge czy Gerta nie słyszały jej słów.

– No nie wiem... – odparł policjant. – Proszę czekać.

I faktycznie. Klara czekała, a obiecane pięć minut zamieniło się w co najmniej siedem. Jednak kiedy Gabriel dotarł do telefonu, usłyszała jego przyspieszony oddech. Zapewne biegł.

– Halo? – zapytał z niedowierzaniem.

– Dałeś mi niekompletne akta. – Od razu go zaatakowała.

– Co? Dałem ci wszystko, co miałem! – bronił się.

– Bez opisu narzędzia zbrodni.

– Zbrodni? – Złapał ją za słowo.

– Cokolwiek... Cokolwiek to było! – wybuchnęła. – Chcesz, żebym ci pomogła, a partaczysz...

– Hej! – przerwał jej. Była niesprawiedliwa. – Po pierwsze nie krzycz, a po

drugie wystarczy zapytać! A nie oskarżać mnie o... to. – Nie chciał, aby obecni przy nim policjanci słyszeli, jak nazwała jego poczynania.

– Dlaczego raport nie zawiera opisu ostrza?

– Bo nie umiemy na podstawie zwykłego cięcia opisać narzędzia. To mógł być nóż, brzytwa... W każdym razie założyliśmy, że spoczywa na dnie rzeki.

– Dlaczego więc nie spoczywają tam zwłoki?

– I tu wkraczasz w mój tok rozumowania, z którym dotąd nikt się nie zgadzał – odparł z satysfakcją.

– Jeszcze nie wiem, czy się zgadzam. – Znow zmarszczyła czoło. Zrozumiała, że mimo iż prezydium zyskało młodego, błyskotliwego dyrektora, pozostało przy starych, Fenglowskich metodach. Dlatego szukał poparcia u niej. A ona nawet nie próbowała się zainteresować szczegółami śledztwa podczas ich ostatniej rozmowy i teraz winiła za to swojego przyjaciela.

– Ale i tak jesteś jedyną osobą, poza mną, która podała w wątpliwość tezę o samobójstwie. A wierz mi, że dotąd nie zamknięto tych spraw, bo to ja rządę w prezydium. Gdybym nie był tu szefem, dawno umorzono by oba śledztwa. – Gabriel rozejrzał się, ale pozostali policjanci oddalili się na dogodną dla tego typu stwierdzeń odległość.

– Jeszcze nie zarzucili ci marnowania publicznych pieniędzy? – Zaśmiała się cierpko.

– Dlatego cię potrzebuję, rozumiesz? – Jego głos złagodniał. Może nawet zaczął brzmieć dwuznacznie. Szybko wymierzył sobie niewidzialny, otrzeźwiający policzek.

– Przyjedź do mnie jutro. Będę czekać po drugiej. Obiecuję, że o tym porozmawiamy.

– Zapraszasz mnie na obiad?

– To z braku mężczyzn przy stole. – Ona też złagodniała.

– Nie wnikiem, ale przyjadę – zapewnił ją. W tej propozycji podobała mu się nie tylko perspektywa rozmawiania o ofiarach rzekomych samobójstw.

– Do jutra – pożegnała się.

Wróciła do salonu. Musiała jednak dość głośno dyskutować, bo Inge wyglądała na osłupiałą.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale czy... ty jesteś rysownikiem policyjnym? – zapytała, próbując złożyć fakty w logiczną całość.

– A wiesz, że na to nie wpadłam? Może powinnam się tym zająć? – Klara roześmiała się. – Jestem ci winna wyjaśnienia. Po twojej historii czas na moją. Nie gorszą. Masz czas?

– Zamieniam się w słuch – odrzekła Inge.

Tej nocy chwycił mróz. Dlatego Breslau kompletnie się wyludniło, a jego mieszkańcy uzbroili się w ciężkie pierzyny i zabarykadowali w swoich łóżkach,

czekając na sen. Tylko Nathaniel w ogóle nie zamierzał kłaść się spać. Ubrał się ciepło, mimo że nie planował jeszcze spaceru. Spacer miał być potem. Po wszystkim.

Spodziewał się gości. Tej, co zawsze, gościa stałego, chociaż wcale jej nie lubił, i kogoś nowego, nieznanego. Ten ktoś miał się tu pojawić tylko raz. To był gość specjalny. Można by rzec, tylko na tę jedną okazję. Miał zawitać u niego za kilka chwil i nigdy więcej się nie pojawić. Nic dziwnego. Jeszcze o tym nie wiedział, ale Nathaniel nie zamierzał pozwolić mu wrócić do domu. Gdy jego towarzyszka już się nim znudzi, a gość zacznie błagać o to, by go wypuścić, spełni jego życzenie. Pójdzie z nim pod most. A potem pozwoli mu odejść. Ale nie do domu. Odejść raz na zawsze.

– Oglądałam zdjęcia. – Klara położyła na pustym już stole teczki. Obiecali sobie, że nie będą podczas obiadu dyskutować o śledztwie. Ale teraz skończył się i obiad, i podwieczorek, a pani Schulz musiała spełnić obietnicę. – Możesz je zabrać, już mi się nie przydadzą.

– Nie masz zamiaru mi pomagać, prawda? – Gabriel zasepił się.

– Właśnie to robię. Co nie oznacza, że chcę trzymać je w domu. – Zmarszczyła czoło, ale gdzieś w tle, widoczna w błyskach oczu, czaiła się żartobliwa iskra. – Mam sugestię.

– Tak?

– Przejdziemy się. – Wstała, nie czekając na jego odpowiedź.

– Aaa... tak. Jak sobie życzysz – zgodził się skwapliwie, choć na dworze panował siarczasty mróz. A on tego nie cierpiał. Teraz jednak był gotów przeprowadzić się nawet na biegun, byleby namówić przyjaciółkę do współpracy.

Klara włożyła grube futro. Nie nosiła go od dawna. Nie wychodziła z domu od listopada, a i wcześniej zdarzało się to rzadko. To znaczy w epoce barbituranów spacerowała rzadko. Przed strzelaniną w jej byłym mieszkaniu przy Hansa Straße lubiła pokonywać wielokilometrowe dystanse, i to samotnie. Gabriel ubierał się powoli, opóźniając moment wyjścia na ziąb. Jednak nie mógł przeciągać tej czynności w nieskończoność, więc wkrótce znaleźli się w zasypanym śniegiem ogrodzie państwa Schulzów.

– Gdzie będziemy spacerować? – zapytał, rozglądając się. Wszędzie widział biel i czerń. Kierunek był mu obojętny.

– Tam. – Wskazała na Scheitniger Park[18].

Ruszyli, opuszczając Dahnstraße[19]. Po kilku minutach weszli w gęsty park. Śnieg piętrzył się na gałęziach. Był już pewnie tak twardy, że gdyby spadł, mógłby pozbawić jakiegoś nieszczęsnego spacerowicza życia. Okazało się też, że amatorów zimowych atrakcji jest nieco więcej. Gabriela zdziwił ten widok. Dotąd tylko słyszał o ludziach lubiących zimę. Żadnego z nich nie poznał osobiście. Aż do tej pory. Małe dzieci radośnie pokrzykiwały, ciągnięte na sankach przez

dorosłych. Młodzież tłumnie zmierzała nad staw, trzymając w dłoniach łyżwy. Klara i Gabriel także skierowali się w tamtą stronę. Ich spacer w szybkim tempie zamienił się w zdrowotną przebieżkę. Ani jedno, ani drugie nie potrafiło utrzymać wypoczynkowego tempa. Nad zamarznącą taflą stawu znaleźli się w siedem minut, mimo że po drodze pokonywali śnieżne zaspy. Dotarli na most, gdzie zatrzymali się, sapiąc jak lokomotywy.

– Nie wyobrażasz sobie, jakie to uczucie znów żyć – powiedziała Klara, szczęśliwa i podekscytowana, choć też bardzo zmęczona tym krótkim spacerem.

– Wyobrażam. Ale potwierdzą, gdy nadejdzie lato. Mam tak co roku – odparł, dysząc. – Zima jest dla mnie jak pobyt w piekle... – Potarł nos skórzaną rękawicą i od razu tego pożałował. Była przeraźliwie zimna.

– Powinieneś przeprowadzić się do Włoch. – Odwróciła kokieteryjnie głowę w stronę stawu. Czekala, aż zapyta ją, co ma na myśli.

– Przecież u nich też jest zima.

– Wiem... Chodzi mi o twój tok rozumowania.

– Wyjaśnij mi, proszę, mój tok rozumowania – odparł poirytowany. Zimno doprowadzało go do szału.

– Po włosku zima to *l'inverno*, a piekło *l'inferno*. Prawda, że podobnie? Oni też kochają twoje lato i cierpią chandrę, gdy odchodzi.

– Ha! Czyli są całe narody, które uważają, że zima jest zła! – wykrzyknął triumfalnie.

– Tak, pasowałbyś tam jak ulał. – Odwróciła się w jego stronę i obdarzyła go pięknym uśmiechem. Stali tak przez chwilę w milczeniu i patrzyli na siebie.

– Nie rób tego... – przerwał ciszę Gabriel.

– Czego? – Klara pomyślała, że mogła go skępować.

– Nie... trzymaj mnie w niepewności – wyjaśnił, chociaż sam już nie wiedział, o czym mówi. Nie chciał jeszcze bardziej się w niej zadurzyć.

– O czym ty mówisz? – Oparła się o balustradę i spojrzała mu głęboko w oczy. Bawiła ją ta sytuacja. I nawet nie miała wyrzutów sumienia. Od dawna tak się nie czuła.

– O tym... tych... O ranach. O narzędziu zbrodni. O tym, po co tu przyszliśmy. – Gabriel próbował odzyskać rezon.



Hala Stulecia widoczna z parku Szczytnickiego

Klara przestała się uśmiechać. Znów spojrzała na staw, gdzie miłośnicy łyżwiarstwa korzystali z uroków znienawidzonej przez Gabriela pory roku. Zgrzytanie łyżew na lodzie, szczególnie gdy zawracali, brutalnie przecinało ciszę. Nikt nie zrażał się upadkami, wręcz przeciwnie. Ludzie zaśmiewali się, nie mogąc wstać ze śliskiego podłoża. Niektóre pary jeździły pod rękę, a dzieci bawiły się w kółeczkach. Na części lodowiska rozgrywała się też bitwa na śnieżki. Jej uczestnicy starali się, by nie ucierpieli cywile niezaangażowani w wojenny konflikt.

– Co powiedział Michael o ranach? – zapytała, jakby cała ta sytuacja sprzed chwili nie zaistniała.

– Że obie są cięte.

– Nie wysilił się...

– Nie w tym rzecz. Nie jest przecież w stanie porównać cięć bez ostrza.

– Wydaje mi się, że gdyby to były samobójstwa, znaleźlibyśmy... byście narzędzia przy kobietach. – Przejęzyczyła się, chociaż chciała zachować dystans wobec sprawy.

– Według moich podwładnych odpowiedniej wagi nóż pójdzie na dno. – Przeształ z nogi na nogę. Wiele razy słyszał te teorie i denerwowało go, że musi je powtarzać.

– Rozumiem. – Coś szarpnęło żołądkiem Klary. Zapewne irytacja. Jej też dawno nie odczuwała. – Ja też wzięłabym ze sobą tasak w nadziei, że nikt go nie znajdzie, bo pójdzie pod wodę. Wolałabym tłuc się przez miasto z takim tasakiem niż niewielką brzytwą lub tylko samym jej ostrzem. Zamiast dyskretnie schować klingę do kieszeni, niosłabym... wielki tasak! Jeżeli starczyłoby mi miejsca w torebeczce. A co mi tam, niech patrzą, co idę zrobić...

– Jakbym słyszał siebie sprzed dwóch tygodni. – Gabriel roześmiał się. Teraz żałował, że dłużej na nią nie patrzył. Była dziś inna, żywsza. Wiedział, że odstawiła leki, ale nie przypuszczał, że tak to na nią zadziała. W jej oczach kryły się zalążki płomieni, które przez ostatnie miesiące były jedynie wspomnieniem po dawnej Klarze. Ale teraz, na tym moście, zaczęła przypominać Klarę sprzed półtora roku, która w ciąży rozwiązywała z zapalem kryminalne zagadki. Taką, jaką poznał. I taką, w jakiej...

– ...doczekać do wiosny. – Usłyszał zza ściany własnych myśli.

– Co powiedziałaś? Przepraszam... nie dosłyszałem – usprawiedliwił się.

– Mówię, że chyba nie masz zamiaru doczekać do wiosny?

– Ale z czym? – zapytał, choć wiedział, że już to powiedziała, i czekał na naganę.

– Z szukaniem noża. – Jej czoło znów porały mimiczne zmarszczki. – A poza tym to chyba kosztuje? Nurkowie, łodzie... No i żeby zawsze świeciło słońce.

– Nie chcę czekać do wiosny – powiedział, wciąż myśląc o czymś innym. – Ale na razie jesteś jedyną osobą w Breslau, która myśli jak ja. Razem musimy znaleźć dowody.

– Nie będę zwiedzać z tobą miejsc zbrodni. Wierz mi, nie chcę już tego robić.

– Ale dlaczego? – zaproponował gwałtownie. – Byłaś w tym świetna!

– Gazety pisały, że fatalna... – odparła spokojnie Klara.

– Że jesteś fatalną żoną, a nie detektywem – sprostował.

– Jeszcze lepiej – parsknęła.

– Nie możesz żyć tym, co pisali, tylko po swojemu iść naprzód. Teraz nagle przejmujesz się opinią innych?

– Gabrielu! – Odwróciła się do niego i złapała go za ramię. – Omal nie straciłam wtedy życia. Omal nie osierociłam syna i nie zabiłam córki!

– A wiesz dlaczego? Bo przecież nie dlatego, że zaangażowałaś się w śledztwo!

– Nie?

– Nie. – Ścisnął mocno jej dłoń, jakby chciał w nią wepchnąć to „nie”, by dobrze je zrozumiała. – Dlatego, że oszukała cię osoba, której bezgranicznie wierzyłaś. Która pracowała na tę wiarę przez wiele lat. Która uspiła twoją czujność.

– I jaki z tego morał? – Ścisnęło ją w gardle. To było kolejne doznanie, którego w „nowym życiu” w ogóle jej nie brakowało. Oczy zaszyły jej łzami.

– Masz nauczkę. Powinnaś być mniej ufna, bo tego wymaga od ciebie twój zawód.

– Niestety... – odparła po chwili wahania. – Były zawód. Odprowadź mnie do domu.

– Nie pomożesz mi? – Spróbował raz jeszcze.

– Pomogę. Ale nie każ mi chodzić w te miejsca. Nie chcę znów robić tego co dawniej.

– Wiesz, co to dla mnie oznacza?

– Poradzisz sobie. – Opuściła rękę i ruszyła w stronę Dahnstraße.

– Nie to miałem na myśli! – krzyknął za nią. Zatrzymała się.

– A co? – zapytała, nie odwracając głowy. Nie chciała zwracać na siebie zbytnej uwagi. Gabriel podszedł do niej, także nie chcąc wykrzyczeć tego, co miał jej do powiedzenia.

– Że najważniejszego dowodu będę musiał szukać na miejscu kolejnej zbrodni. To tylko kwestia czasu.

Klara nie odpowiedziała. Znów ruszyła przed siebie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Gabriel dogonił ją i odprowadził. Więcej o tym nie rozmawiali.

Mimo iż najgorsze nerwy Inge miała już za sobą, a przynajmniej tak jej się wydawało, sobotni poranek rozpoczęła skoro świt, nie mogąc spać przez pół nocy. Jak zwykle, kiedy miała tremę, i tym razem siedziała w kuchni nad nietkniętym śniadaniem, parę godzin później nad obiadem, i czekała na odpowiednią do wyjścia porę. Gdy ta nadeszła, śpiewaczka jakby mechanicznie wstała i powoli włożyła gruby płaszcz, nałożyła kapelusz i opuściła swoje niewielkie mieszkanie. Szła do kościoła z pewną dozą niepewności. Część chórzystów już poznała. Wydawali się jej serdecznymi, spokojnymi ludźmi. Ale wiele słyszała na temat katolickich społeczności. O wiernych mówiono różnie, że są nieszczerzy, zamknięci w sobie i bardzo konserwatywni. Nie tolerowali sprzeciwu i odmienności. Bała się, że jako niezwiązana z Kościołem zostanie od razu spisana na straty, a jej „kariera”, którą zeszłego popołudnia Klara Schulz między wierszami porównywała do koła ratunkowego na oceanie możliwości, będzie krótka niczym lot Ikara.

Po wejściu do świątyni Inge od razu skierowała się na balkon. Z dołu słyszała głosy. Wokalistów musiała intrygować osoba nowej kierowniczkii. Zdecydowanie przyszło ich o wiele więcej niż na przesłuchanie. Ksiądz czekał na nią w połowie wąskich schodów.

– Droga panno Hirsch...

– Przepraszam za spóźnienie – od razu zaczęła się tłumaczyć, choć była przekonana, że jest przed czasem.

– Ależ... nie! – Ksiądz uśmiechnął się. Bosko się uśmiechnął, a jego oczy błysnęły. – Jest pani bardzo punktualna. Czekam tu, bo muszę panią uprzedzić, że nasz chór nie brzmi jak zespoły na zjeździe śpiewaczym z tysiąc dziewięćset siódmego... Pamięta pani, tak swoją drogą?

– Tak, sama śpiewałam podczas przemarszu przez Breslau – odparła Inge. Ulżyło jej, gdy okazało się, że jednak dotarła na czas.

– Więc oni... – wyciągnął palec wskazujący ku górze i ściszył głos – ...są amatorami. Wiem, że profesjonalistka może czuć się rozczarowana czy wręcz załamana, a praca w kościele okaże się ogromnym wyzwaniem, ale mam nadzieję, że pani z nami wytrwa. Bardzo nam się pani spodobała w czwartek.

– Dziękuję. – Inge spieszyła się po swojemu. – Amatorzy wkładają w śpiewanie więcej serca i szczerości niż większość kształconych śpiewaków. To dla mnie naprawdę miła odmiana. I nie boję się ciężkiej pracy.

– Świetnie. – Franz położył dobrotliwie dłoń na jej drobnym ramieniu i wbił w nią energetyczne spojrzenie. – Jest pani pod najlepszą opieką. Boską! – W jego jasnoniebieskie oczy wpadło światło z żarówki. Inge przez moment odniosła wrażenie, że odbijają to światło jak księżyc nocą i lśnią tak mocnym blaskiem, że aż miała ochotę zmrużyć własne. Stała tak o dwie sekundy za długo. Kiedy się zorientowała, roześmiała się nerwowo.

– Dziękuję, dam z siebie wszystko. – Niechętnie uwolniła się od tego spojrzenia i weszła na chór.

Od razu zauważyła kilka znajomych twarzy. Ludzie kiwali jej głowami, mówiąc bezgłośnie „dzień dobry” i trącając przy tym sąsiada, by zrobił to samo. Informowali się nawzajem, że przyszła nowa dyrygentka, i powoli cichli. Tylko jedna grupa dziewcząt, stojąca najbliżej organów, wciąż nie zauważała jej obecności, choć wszystkie widziały już Inge. Panna Hirsch знаła ten typ zachowania. Pretensjonalny, niegrzeczny.

To z pewnością soprany – pomyślała. – Tylko one mogą tak ostentacyjnie okazywać niechęć wobec potencjalnej konkurencji.

– Dzień dobry – przywitała się głośno. Kobiety musiały zareagować. Odwróciły się do Inge i kiwnęły głowami. Od razu wypatrzyła wśród nich prowodyrkę. Niską, powiedziałaaby wręcz malutką brunetkę o nieprzyjaznym wyrazie twarzy. Ta uniosła brew, zapewne bezwiednie, i mierzyła Inge krytycznym wzrokiem. Hirsch udawała, że tego nie widzi, lecz wewnątrz cała się gotowała. W tej pracy nie zakładała konkurencji.

A więc to ty prowadziłaś chór przede mną, co? – myślała. To z twojego ego pokpiwali śpiewacy?

Wyprostowała się, upodabniając się nieco do nowej znajomej, Klary Schulz, która zrobiła na niej wrażenie swoją bezkompromisowością.

– Nazywam się Inge Hirsch – oznajmiła pewnym głosem. – Pragnę

podziękować za tak liczne przybycie na naszą pierwszą wspólną próbę. Cieszę się, że obejmuję tę posadę, bo stanowi ona dla mnie zupełnie nową przygodę. Mam nadzieję, że razem upiększymy nabożeństwa, dobierając najciekawsze utwory z repertuaru muzyki klasycznej.

– Ale pani maestra pamięta, że Bach to nie ten Kościół? – wtrąciła niegrzecznie mała brunetka.

– Jak pani na imię? – zaskoczyła ją (i samą siebie) Inge.

– Anna – odpowiedziała kobieta, ale już mniej pewnie.

– Szanowna pani, jako muzyk wykształcony w Leipzig, rodzinnym mieście Bacha, wiem, która muzyka pasuje do Kościoła katolickiego, a która nie. Proszę nie zapominać jednak, że Bach napisał *Wielką mszę h-moll*. A ta wpisuje się w nasze wyznanie – podkreśliła słowo „nasze”, by dać Annie do zrozumienia, że sama należała w dzieciństwie do Kościoła katolickiego. Choć dziś niewiele z tego pamiętała.

– Nie mamy do niej nut – odparła przygaszona Anna.

– A więc rozumiem, że to pani odpowiada tutaj za zaopatrzenie w partytury?

– Inge przejęła całkowitą kontrolę nad rozmową. Splotła jednak ręce z tyłu, aby nie było widać, jak bardzo drżą.

– Tak – przyznała brunetka.

– A więc w przyszłym tygodniu poproszę panią o znalezienie dla nas nut.

Po chórze przeszedł szmer. Niektórzy byli zaskoczeni, inni jakby zadowoleni. Anna chyba nie cieszyła się szczególną sympatią wśród kolegów.

– Gdzie mam ich szukać? – zapytała, wciąż pusząc się, lecz zdecydowanie mniej pewnie.

– Zaczęłabym „śledztwo” od Stadttheater[20], a potem ktoś pani podpowie.

– Na pewno, maestro Hirsch? – spróbowała raz jeszcze Anna. – W końcu co ma wspólnego Bach z operą?

– Chór. Ten sam, w którym śpiewałam przez parę lat. Czasem dawaliśmy koncerty oratoryjne. Być może nie trzeba będzie szukać długo.

Anna już się nie odezwała. Obdarzyła Inge nienawistnym spojrzeniem. Przez całą próbę spoglądała na dyrygentkę tak, jakby życzyła jej śmierci. Hirsch czuła się niezręcznie, choć starała się o tym nie myśleć. Chór kościelny był ostatnim miejscem, gdzie spodziewałaby się powtórki zachowań z opery. Okazało się jednak, że świat „prawdziwych artystów” nie zna granic, a ona nigdy się od niego nie uwolni.

Nieco podłamana zebrała swoje rzeczy pozostawione na kościelnej ławie. Chór faktycznie brzmiał nie najlepiej, choć może takie określenie stanowiło nawet więcej niż komplement dla jego poziomu. Teraz poważnie zastanawiała się nad repertuarem, w którym raczej nie mogło być mowy o Bachowskiej *Wielkiej mszy*. Jej nowi podopieczni śpiewali dotychczas dużo łatwiejsze utwory, bliższe

kościelnym piosenkom niż wielkim dziełem liturgicznym. Poprzednik Inge pobieżnie opracował ze śpiewakami także *Mszę Koronacyjną* Mozarta, lecz wolał sięgać do kompozytorów renesansowych, dla których nie liczyły się biegłość i technika. Inge nie знаła zbyt wielu dzieł Josquina des Prés czy Giovanniego Pierluigiego da Palestriny. Dla niej muzyka zaczynała się od Händla, a kończyła, przynajmniej na razie, na Puccinim, na którego kolejne dzieło z zapartym tchem czekał cały muzyczny świat.

– Jak pierwsza próba? – usłyszała za sobą głos Franza.

Wyprostowała się i odwróciła w jego stronę.

– Całkiem nieźle...

– Było okropnie, wiem – zaskoczył ją. – Ale dawno nie ćwiczyli i na pewno się rozkręca. – Machnął ręką, jakby ta myśl była nic nieznaczącą muszką owocówką, którą łatwo zarówno przegonić, jak i w razie czego zgnieść. – No i proszę dać sobie czas. Msze zaczniecie śpiewać za miesiąc. Może pani odłożyć nerwy na półkę.

– Wierzę. – Pokiwała głową, lecz marzyła tylko o tym, by jak najszybciej opuścić kościół.

– Ma pani chwilę? Porozmawiamy. Moja gosposia parzy wyśmienitą kawę.

Inge przez chwilę nie wiedziała, jak powinna się zachować. Zaniemówiła, bo ksiądz zaskoczył ją tą propozycją.

– Pewnie się pani śpieszy... – Franz odebrał jej milczenie jak odmowę.

– Ależ nie! – zaprotestowała i niewiele brakowało, by klasnęła przy tym w dłoń z radości. Ale gdyby faktycznie to zrobiła, mogłaby już nie wracać.

– Zapraszam. – Franz ustąpił jej miejsca na schodach. Anna, która znów zagadała się z koleżankami, rzuciła jej ostatnie spojrzenie, obelżywe i na swój sposób wyzywające.

Franz i panna Hirsch zeszli z chóru i skierowali się w stronę zakrystii. Opuścili świątynię tylnym wyjściem i przeszli na plebanię. Franz wskazał Inge salonik.

– Proszę się rozgościć. Hilde! – zawołał w stronę schodów. Chwilę później dały się słyszeć ciężkie kroki. – Gosposia próbuje mnie utuczyć, tymczasem... – powiedział cicho i rozłożył ręce, podkreślając tym gestem, jaki jest szczupły. – Za to ona sama... – dorzucił szeptem i zaśmiał się bezgłośnie.

Inge zanotowała żart, który szybko uleciał i rozplynął się w blasku oczu tego mężczyzny. Patrzyła w niego jak w święty obraz. Nie dziwiła się, że wierni chłoną każde słowo swojego pasterza. Zwłaszcza że ma taką prezencję. Franz dysponował nieprawdopodobną charyzmą, którą mógłby się podzielić z połową mieszkańców Breslau. Inge stanęłaby w kolejce jako pierwsza. Zawsze marzyła, by być jak ten ksiądz odważną, wygadaną optymistką. Tymczasem tylko podkochiwała się po cichu w takich mężczyznach, a sama pozostawała w ich cieniu. Ale akurat w tym

jednym nie mogła, po prostu absolutnie nie mogła się zakochać. To byłby szczyt głupoty, którą potem znów nazywałyby pechem, jak podczas wczorajszej rozmowy z Klarą.

Gospośia w końcu dotarła do salonu.

– Nie zmarzył ksiądz? – zapytała matczynym tonem.

– Nie, dobrze ogrzaliśmy kościół. A to jest właśnie panna Hirsch.

Gospośia dopiero teraz zauważyła Inge.

– Ach, nowa pani od chóru! – zawołała z entuzjazmem. A czego się spodziewała? Że ksiądz przyprował narzeczoną?

– Tak, bardzo mi miło – odparła Inge, zmieszana nie mniej niż podczas próby. Czwała, że będzie musiała wkupić się w łaski szefowej plebanii.

– Pani też pewnie z przyjemnością napije się gorącej kawy. I ciastka kawaleczek dam, żeby pani kolorków nabrała. Siadajcie, wszystko czyściutkie, przygotowane – powiedziała gospośia z wyraźnym bawarskim akcentem.

Hilde wyszła z saloniku, a ksiądz usiadł, kręcąc głową.

– Czterdzieści dwa lata na karku, a dzięki gospośi czuję się jak w domu.

– Czyżby mama wielebnego także była nadopiekuńcza? – zapytała Inge.

– Lepiej nie mówić. – Ksiądz znów się zaśmiał.

– Rozumiem – odrzekła Inge, szczerze mu współczując.

– Ach! – Ksiądz machnął ręką. – Dawno już... to sobie wyjaśniliśmy.

– Zazdroszczę – powiedziała. Ona sama miała kontakt tylko z siostrą, tą „lepszą z córek”, jak mawiali jej rodzice, która nigdy nie pchała się w kłopoty, miała bogatego męża i pięcioro dzieci. Reszta rodziny nie chciała Inge znać.

– O... A ja współczuję! – Zrozumiał podtekst.

– Moi rodzice już nie żyją, ale dawniej wiele razy słyszałam, że śpiewaczka operowa to nie zawód. Ojciec był prawnikiem. Bardzo konserwatywnym. Chciał, żebym pracowała u niego w kancelarii jako sekretarka i wyszła za jego przyjaciela. A ja pragnęłam wolności. – Wbiła się w śpiewający rejestr. Zawsze, gdy mówiła o swoim zawodzie, wyglądała tak, jakby grała w przedstawieniu.

Ksiądz zapatrzył się na nią.

– Wspaniale – powiedział po chwili. Strasznie ją zawstydził. Wyglądała się przy nim po raz kolejny. Ale on chyba tak tego nie oceniał.

– Może i tak – odparła powoli. – Ale ta wolność nieraz przyniosła mi głód, zimno i cierpienie...

– Ma pani wspaniały zawód – przerwał jej. – I umie pani wykorzystać talent. To, co złe, minęło, mam rację?

– Mam taką nadzieję. – Poczwała się lepiej. Franz bezustannie dodawał jej otuchy.

– Chór pani nie zraził, mam nadzieję?

– Ależ skąd... – zaprzeczyła nieszczercze.

– Sam chór może i nie, ale ta sopranistka – ubrał jej myśli w słowa.
– Ksiądz to powiedział... – Kącki jej ust od razu się uniosły. – Ale poradzę sobie z nią.

– Jest młoda i nieokrzesała. Poza tym nie miała dotąd konkurencji. – Franz usprawiedliwiał Annę. – A teraz pojawiła się pani i Anna poczuła się zagrożona.

– Przecież nie chcę jej nikim zastąpić, a tym bardziej sobą – tłumaczyła się Inge. – Ja tu tylko dyryguję. – Dla podkreślenia swoich słów pomachała dłońmi w powietrzu.

– Będzie dobrze. – Franz roześmiał się serdecznie i położył dłoń na krzyżu, który nosił na szyi. Zupełnie tak, jakby próbował uspokoić siebie. – Jestem o tym przekonany. Jednak Anna jest dość specyficzna. Na tym między innymi polega misja naszej wspólnoty. Według słów Jezusa, który wybaczył grzesznikom. Zrzeszać osoby o trudnej przeszłości, po przejściach, i dawać im drugą szansę. Bywa, że zanim zrozumieją, iż chcemy ich dobra, mija trochę czasu. Lecz Anna i tak poprawiła zachowanie. Liczę na to, że wszystko się ułoży.

– Ja też. To w końcu pierwsze nasze spotkanie.

Do pokoju weszła Hilde i postawiła przed nimi ogromną tacę z kawą, herbatą i słodkościami.

– Czy wolno mi spytać, jakie problemy miała w przeszłości? – zapytała Inge.

– Niewielki zatarg z prawem, który jej rodzice przeżyli tak bardzo, że wygnali ją z domu – odparł. Nie chciał, by gosposia wiedziała, o kim rozmawiają. Pewne rzeczy lepiej było trzymać w tajemnicy.

– Jak sobie poradziła? Jest przecież bardzo młoda...

– Najpierw przygarnęła ją moja gosposia. Anna pomagała jej, sprząając w kościele. Pozwoliłem, choć wiedziałem, że rozrabiała. Ale każdy zasługuje na drugą szansę. Potem dołączyła do chóru. Z początku nie było jej łatwo. Musi pani zrozumieć, wszyscy się tu znają od wielu lat. Mnie też nie od razu przyjęto z entuzjazmem. Ale z czasem ją zaakceptowali. Później jej talent doceniła trupa aktorska. Teraz sama prowadzi grupę aktorów. Dają przedstawienia, które cieszą się powodzeniem. Nigdy ich nie widziałem, ale słyszałem o nich wiele dobrego. – Franz otoczył dłońmi niewielką filiżankę wypełnioną po brzegi czarnym napojem.

– Zimno? – zapytała Inge i uśmiechnęła się uroczo.

– Chyba przeniosę łóżko do kościoła – zażartował Franz.

– Byłby z księdza dobry pianista. Przepraszam, takie skrzywienie zawodowe – usprawiedliwiła się od razu.

– Czemu pani tak sądzi? – Zaintrygowała go.

W odpowiedzi uniosła dłonie i szybko poruszyła palcami.

– Ma ksiądz palce jak imiennik księdza, Franz Liszt...

Franz spojrział na swoje dłonie, a potem zapatrzył się w okno, za którym samotna latarnia rozświetlała mroki zimy. Nie odezwał się, a jedynie zmrużył oczy,

jakby wciąż był dzień. W tym momencie pomyślała o innym jego imienniku, o świętym Franciszku z obrazu van Eycka. Też był taki surowy, jakby zmęczony i spokojny. Jego oczy przygasły.

17 Zalesie.

18 Park Szczytnicki.

19 Ul. S. Moniuszki.

20 Teatr Miejski, dzisiaj gmach Opery Wrocławskiej.

VI

Mieszkanie było duszne i wilgotne. Szmaty, ciężkie niczym teatralna kurtyna, wypełniały każdą szczelinę, zasłaniały okna, wślizgiwały się w szpary w drzwiach. Wytlumienie utrudniało cyrkulację powietrza. Ogień w kominku przygasał z braku tlenu, dlatego mimo ciężkiej atmosfery panował tu chłód. Do tego smród pleśni przyprawiał Dorotę o mdłości.

– Sama nie wiem. – Dziewczyna miała wątpliwości.

– Co ci szkodzi? – namawiała ją przyjaciółka Nathaniela. – Nie wiesz, czego może doświadczyć kobieta, gdy kocha się z nią druga kobieta.

Nathaniel siedział w kącie z rękami założonymi na piersi. Obok niego, na koślawym stoliku, stała otwarta butelka wina. Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie.

– A on? – zapytała cicho.

– On potem do nas dołączy. Teraz będzie patrzeć.

– Nie wiem. Nie jestem pewna – zawahała się.

– Przed chwilą w pocałunku było nam tak dobrze.

– Ale to było bardziej... niewinne – tłumaczyła dziewczyna.

– Skąd te wyrzuty sumienia? Przy twojej profesji?

Dziewczyna spojrzała na rozmówczynię z rozżaleniem. Po niej ostatniej spodziewałaby się takiej uwagi.

– Przepraszam, ale muszę wyjść. – Ruszyła zdecydowanie w stronę drzwi. Szarpnęła za klamkę, ale nie ustąpiły. – Otwórz – zażądała.

– Dorothea! – Kobieta zniemczyła imię dziewczyny.

– Mam na imię Dorota. I wypuść mnie! – Dziewczyna w nerwach zdradzała wschodni akcent.

– Proszę, nie chcę cię do tego zmuszać. – Kobieta mówiła łagodnie. Dopiero w tym świetle Dorota dostrzegła jej brzydotę. Makijaż dobrze wszystko zakamuflował, ale teraz w tej wilgotnej norze nieco spłynął i wyszły spod niego cienie i bruzdy, ujawniając jej tryb życia – brudny, niebezpieczny. A wcześniej wydawała się taka świeża, przyjazna. Proponowała coś nowego, była serdeczna i troskliwa. Wysłuchiwała jej historii i okazała współczucie. Chciała ją pocieszyć, choć Dorota nigdy wcześniej nie całowała kobiety w taki sposób. To nie był pocałunek na do widzenia, jaki wymienia się z przyjaciółką, lecz pocałunek intymny – długi i powodujący wyrzuty sumienia, wypierane przez namiętność. Teraz to wszystko okazało się pułapką, od słów przez pocałunki, po ten słodki zapach, jaki nosiła na sobie i który teraz stał się nieznośny. Pułapką, z której

dziewczyna chciała jak najszybciej się uwolnić. Jeszcze raz pociągnęła za klamkę w nadziei, że uda jej się otworzyć drzwi. Kobieta powoli zmierzała w jej stronę niczym pajak oplątujący ofiarę siecią.

– Stój! Nie podchodź! – krzyknęła Dorota. – Na pomoc!

– Nikt cię tu nie usłyszy – zapewniła ją napastniczka.

– Ratunku! – Dziewczyna krzyknęła tak głośno, że od razu porządnie się rozkaszała. Łzy popłynęły po jej policzkach.

– Ciii! – Kobieta przytknęła dłoń do jej ust.

– Nie dotykaj mnie! – wykrzyknęła Dorota, szlochając. Dygotała. Mimo to odtrąciła rękę kobiety. Ta jednak powtórzyła gest.

– Uspokój się, bo będę musiała cię związać. – Była nienaturalnie wręcz spokojna. Strach dziewczyny sprawiał jej przyjemność. Podniecał ją.

– Proszę cię, wypuść mnie. – Dorota zwróciła się do Nathaniela. – Błagam. Nikomu o niczym nie powiem – zapewniła go.

Ale on tylko siedział i patrzył. Nawet nie drgnął. Nie raz widział, jak ona krępowała dziewczyny, które przyprowadzała. Włączał się do zabawy nieco później. Rzadko miał do tego okazję. Jego... opiekun, chociaż sam wolał nazywać go nadzorcą, zazwyczaj mu to uniemożliwiał. Gdy Nathaniel upewniał się, że tamten śpi, wymykał się spod kontroli. I wtedy zazwyczaj robił to, co teraz. Czekał na obiekt, pozwalał jej go obezwładnić i robić z nim te wszystkie rzeczy. Lubił patrzeć. Traktował to jak wstęp, preludium do prawdziwej przyjemności. A potem dołączał. Robił to, co sprawiało mu największą satysfakcję. To, czego nie da się porównać do ekstazy, podniecenia czy orgazmu. Tak miało być i tym razem. Już nie mógł się doczekać, kiedy zabierze Dorotę na most i tam każe jej błagać o życie. To było coś, co sprawiało mu niewyobrażalną satysfakcję. Ofiary reagowały różnie. Niektóre pytały, co mogą dla niego zrobić, by im darował. Przymilały się, choć miały w oczach przerażenie. Skrępowanymi dłońmi głaskały go lub pieściły, myśląc, że w ten sposób uda im się uniknąć tragicznego losu. Prosiły, by nie robił im krzywdy, by darował im życie. A on się zgadzał. Przymykał, że ich nie dotknie. Sam obiecał to sobie wiele lat temu. W zamian pytał, czy wiedzą, jakie są grzeszne, lubieżne i obłudne. Nakazywał im, by zrobiły to same. Pytał, czy wiedzą, że umrą, i jak się z tym czują, a każde ich słowo było jak najlepszy orgazm. Nie do zastąpienia. Lubił patrzeć, jak drżącymi rękami zadają sobie śmierć. Chciał je poniżyć, upodlić, zrównać z ziemią i jedynie patrzeć, jak wolno uchodzi z nich życie.

Trzeci dzień drugiego w roku miesiąca zaczął się zupełnie normalnie. Gabriel przyjechał do prezydium i zwyczajem zaczerpniętym z rodzinnego Berlina zebrał wszystkich policjantów kryminalnych na naradę. Poprosił o mocną kawę i jakiś czekoladowy smakołyk. Czuł, że zabrakło mu energii, a czekolada miała to do siebie, że błyskawicznie przywracała mu chęć do życia. Szczególnie po niedzieli

wypełnionej echem słów Klary, które źle go nastrajały.

– Co mamy? – zapytał jak co poniedziałek i od razu zapchał usta ciastem.

– Były dwa samobójstwa... ale przez powieszenie... i jeden napad na jubilera – odparł znudzony dyżurny, który po niedzielnej służbie marzył tylko o tym, by znaleźć się w domu.

– Ten kraj schodzi na psy, a wraz z nim ludzka moralność i poczucie własnej wartości – podsumował z pełnymi ustami Gabriel. Wyglądał, jakby całą noc spał w gabinecie. Miał sińce pod oczami, a teraz jeszcze w kącikach jego ust zebrały się resztki czekolady (starł ją palcami, bo sekretarka zapomniała przynieść mu serwetkę, a następnie wytarł we własną chusteczkę). Mimo to wśród obecnych na sali sekretarek wywołał jedynie pobłażliwe uśmiechy i ukradkowe spojrzenia. Długie jasne włosy opadły mu na czoło. Odgarnął je i przechylił głowę na ramię. – Te samobójstwa?

– Domowe, że tak powiem. Żadnych mostów – odparł dyżurny.

– Rozumiem. – Westchnął. – Coś w najważniejszej sprawie? – zapytał jakby od niechcienia. Liczył na to, że ktoś się odezwie. Że powie: „Dyrektorze, znaleźliśmy ślad i miał pan rację – to były morderstwa”. Ale po sali przeszedł jedynie pomruk, a ludzie popatrzyli po sobie w milczeniu. Nie mógł dłużej tego ciągnąć. I tak pewnie miał już opinię wariata. Postanowił zamknąć dochodzenie i uznać siłę dowodów. Albo ich braku. Poddał się właściwie już po powrocie od Klary. Przemyślał to i w tej sytuacji był gotowy. – Dobrze. W takim razie... – zaczął, lecz zniemacka do sali wtargnął nowy dyżurny.

– Szefie, dostaliśmy zgłoszenie! Mamy trupa pod mostem – sapał.

– Gdzie? – Gabriel nagle się ożywił.

– Mauritius Brücke[21].

– Kolejne samobójstwo? – zapytał z przekąsem.

– Tym razem jest inaczej... – powiedział młody i od razu poczuł na sobie te wszystkie spojrzenia. Nie było na sali osoby, która teraz nie patrzyłaby na niego.

Gabriel zaśmiał się nerwowo. Nie mógł w to uwierzyć.

– Inaczej, to znaczy? – zapytał i oparł głowę na dłoni.

– Lepiej, żeby pan to zobaczył – oznajmił dyżurny. Spocił się od tego nagłego zainteresowania jego osobą.

– Żebyś wiedział, że zobaczę. – Gabriel podniósł się z krzesła. – Wehrner! – Kiwnął na zastępcę.

Wyszli z pokoju z grupą policjantów i zbiegli do samochodów.

– Czyżbym się mylił? – zapytał Wehrner z uznaniem dla uporu Gabriela.

– Och, czyżbyś się mylił? – powtórzył, sarkastycznie artykułując słowo „mylił”. Cieszył się jak dziecko. Miał rację. Od samego początku.

Na moście stało tylko trzech funkcjonariuszy z pobliskiego posterunku. Cała reszta dopiero była w drodze z prezydium. Hübschner i Sanz dotarli na miejsce

pierwsi. Gabriel wpuszczał do swojego samochodu jedynie zastępcę i najbliższych znajomych. Podwładni poruszali się służbowymi autami.

Mężczyźni wysiedli z pojazdu i skierowali się do zmarzniętego patrolu. Policjanci na moście chuchali w ręce i tupali nogami. Wszyscy trzej mieli purpurowe nosy, którymi co chwila hałaśliwie pociągali. Chmury rozproszyły światło słoneczne, przez co dzień, choć szary, był bardzo jasny. Gabriel żałował, że nie zabrał binokli przeciwsłonecznych.

– Gdzie ta różnica? – zapytał Gabriel, podchodząc do zwróconego w jego stronę funkcjonariusza.

– Tu, panie dyrektorze – odpowiedział młody policjant, którego Hübschner być może widział parę razy w życiu w prezydium, lecz nie przywiązywał do tego większej wagi, aż do dziś. Bo właśnie dziś ten młody, elokwentny człowiek pokazał mu coś, na co czekał od dawna, a Gabriel nie musiał tłumaczyć mu sensu swojego pytania, co także bardzo mu się spodobało. – Zabezpieczyliśmy ślady tym, co mieliśmy po ręką – tłumaczył się młodzieniec.

– Jak się pan nazywa? – zwrócił się do niego Gabriel.

– Taschke – odparł chłopak z lękiem.

– Brawo, panie Taschke. Proszę iść do domu, zrobił pan dla tego śledztwa więcej niż ktokolwiek dotąd.

– Chcę pomóc – zaoponował Taschke.

– Dobra, zostań – odparł Gabriel, skracając dystans. Zazwyczaj zwracał się do swoich podwładnych, nie zachowując formy grzecznościowej. Już taki był. – Ja nie należę do wielbicieli takiej pogody...

– Może jeszcze się do czegoś przydam? – Młody policjant był pełen entuzjazmu.

– Podoba mi się twoja postawa. Tak trzymaj. – Gabriel poklepał Taschkego po ramieniu. Z tego też szef policji był znany. Nie wszyscy to lubili, ale dla świeżo upieczonego policjanta ten gest był jak awans.

Gabriel i Wehrner wbili wzrok w dość dziwną konstrukcję. Tworzyły ją cztery ołówki wyznaczające rogi kwadratu. Obok funkcjonariusz wbił w śnieg proporczyk z podobizną księżnej Wiktorii. Mimo że do ślubu było jeszcze daleko, pamiątki tego typu sprzedawano już od stycznia. Na wszelki wypadek, by ich nie zabrakło. Nie interesował ich jednak ten nietypowy twór, przypominający nieco zagrodę skleconą dziecięcą rączką dla zabawkowych koników. Najważniejsze były dla nich dwie krople krwi, które policjant dostrzegł na kamiennej balustradzie mostu i zabezpieczył w tak pomysłowy sposób. Swoją drogą, miał sokole oko. Każda z kropelek miała nie więcej niż pół centymetra średnicy.

– A ciało? – zapytał Gabriel.

– Dokładnie pod nami. Proszę za mną! – Taschke zachowywał się jak licencjonowany przewodnik wycieczek.

– Prowadź! – Gabriel spojrział z triumfem na Wehrnera, który w duchu cieszył się, że szef jednak nie zwariował.

Zeszli po stromym zboczu i dotarli na grubą pokrywą lodu skuwającą Oławę.

– Uwaga! – ostrzegł Taschke. – Ślady, panie dyrektorze. – Tym razem mamy ich całkiem sporo, w tym świadka, który odkrył ciało.

– Plus za plusem, Taschke. – Gabriel aż się spocił. Tak bardzo chciał potwierdzić swoją teorię, że omal nie zapomniał o podstawowych zasadach zachowania na miejscu przestępstwa. – Gdzie ten świadek?

– Zwolniliśmy go. Przyszedł tu rano wiercić przerębel. Ale znalazł zwłoki i od razu pognął na posterunek, skąd zawiadomiliśmy was. Ostrożnie. Oznaczyłem ślady, które prowadzą do ciała. Wszystko spisałem.

Faktycznie, dopiero teraz Gabriel zobaczył, że funkcjonariusz ułożył ścieżkę ze znalezionych w pobliżu kamyczków i patyków, tak by czytelnie wyznaczyć trop.

– Ile osób? – zapytał Wehrner.

– Trzy, w tym wędkarz – odparł z dumą Taschke.

– Zobaczmy ciało – zdecydował Gabriel.

– Proszę za mną! – Taschke poprowadził policjantów bokiem.

Z daleka nikt nie domyśliłby się, że to ludzkie ciało. Zwłoki wyglądały jak sterta szmat. Jednakże podobny widok nie był zbyt powszechny, szczególnie w takim miejscu. Nic więc dziwnego, że wędkarz zdecydował się sprawdzić znalezisko.

– Wstępnie stwierdzam, że to prostytutka – orzekł młody funkcjonariusz, gdy stanął nad ciałem.

– Ubiór? – domyślił się Gabriel.

– Dość kusy jak na zimową noc.

– Jakież inne rany? – zapytał i przykucnął, by przyjrzeć się podłużnemu cięciu na szyi denatki.

– Nie, tylko otarcia na nadgarstkach. Kostek postanowiłem nie sprawdzać, póki nie przyjedzie lekarz.

– Mądra decyzja. – Gabriel znów pochwalił Taschkego. – I najważniejsza kwestia...

– Nie ma – od razu wtrącił Taschke, nie czekając na pytanie.

– Sprawdziłeś dokładnie? – Wehrner nie do końca wierzył niedoświadczonemu policjantowi.

– Jest nas tylko dwóch. Ale na tyle, na ile mogliśmy, przeszukaliśmy krok po kroku teren wokół ciała i most. Niczego nie znaleźliśmy. Narzędzie, którym dokonano cięcia, zniknęło – zameldował Taschke. Na te słowa Gabriel czekał od niemal miesiąca.

– A przecież powinno gdzieś tu być, prawda, Sanz? – Dyrektor znów triumfował. – Nie mogło pójść pod wodę, bo ciało leży na lodzie. To nie Odra.

Oława nie rozmarza tak szybko. Jak już ją lód skuje, to na dobre.

– Musimy dokładnie przeszukać okolicę – zasugerował ostrożny w wydawaniu pochopnych opinii Wehrner.

– Świetnie... Tylko jakie to ma teraz znaczenie? Jeśli nóż leży w krzakach, to i tak wyrzucił go tam morderca. Ofiara zostawiłaby ślady – irytował się Gabriel.

– Takie jak ten na moście? – ostudził go Sanz. Z oddali zobaczyli ekipę z drugiego wozu.

– Co tak długo? – zakrzyknął do nich Hübschner.

– Jest ślisko... – z daleka tłumaczył się kierowca.

– To chociaż szybciej przebierajcie nogami. – Gabriel mocno się zamachnął, by ich popędzić. Siedzące nad ich głowami w koronach drzew wrony zerwały się z łopotem, wrzeszcząc do siebie w sobie tylko zrozumiałym języku. – Dziękuję, Taschke, spisałeś się – zwrócił się do młodego szef. – Przyjdź jutro do prezydium. Myślę, że znajdę dla ciebie jakąś posadę w zespole policji kryminalnej.

– Dziękuję. – Taschke ledwo poruszał ustami. Znieruchomiał. Trochę z zimna, ale przede wszystkim dlatego, że oto spełniało się jego marzenie.

– Ale... jest jeszcze jedno ważne zadanie, które musisz dla mnie wykonać, zanim cię puszczę.

– Co tylko pan dyrektor rozkaże. – Taschke nie posiadał się ze szczęścia.

– Idź do najbliższego telefonu i poproś o połączenie z tym numerem. – Gabriel wyciągnął notes i mówiąc, zapisywał cyfry. – Zapytaj, czy możesz rozmawiać z panią Schulz. Gdy podojdzie do telefonu, przekaż jej, że dyrektor Hübschner bardzo dziękuje za pomoc. – Wycedził ostatnie słowa, przez co nietrudno było zrozumieć, że podziękowania mają charakter ironiczny. – A potem dodaj, że zaprasza na Mauritius Brücke.

Tego dnia Klara czuła się, jakby miała opuścić ziemski padół. Od rana piekielnie bolała ją głowa. Tabletki skończyły się na dobre. Ona natomiast po każdym łyku swojej ulubionej kawy miała wrażenie, jakby ktoś rytmicznie uderzał ją w głowę siekierą. A przynajmniej tak to sobie wyobrażała.

To już kawy też nie wolno mi pić? – myślała.

Sytuacja pogarszała się, gdy otaczały ją kolory. Najgorzej było w kuchni albo kiedy próbowała wybrać ubranie z szafy. Kolory sprawiały, że nieznośne uczucie uderzeń – choć bezbolesne, jednak bardzo nieprzyjemne – wyjątkowo się nasilało. Dzwoniła z tym do Dietera, który wyjaśnił, że podobnie reaguje wielu pacjentów. Klara musiała przeczekać okres odzwyczajania się od barbituranów, który miał być jednym z najgorszych w jej życiu. Obiecała sobie, że żaden ból nigdy więcej nie zmusi jej do sięgnięcia po tabletki. Przeżyła dwa porody. Przeżyje i to.

Poranny telefon od niejakiego Taschkego, na którym się wyżyła, chociaż w rzeczywistości chciała ofukać Gabriela, wyprowadził ją z równowagi. To, że

odstawiła leki, nie miało przecież znaczenia dla jej decyzji. Nigdy więcej nie chciała wracać do zawodu detektywa. Wiedziała, że jej przyjaciel próbuje ją podejść. Jego serdeczne podziękowanie miało podrażnić jej ambicje i wywołać poczucie winy. Niestety, Klara stwierdziła z przerażeniem, że nawet mu się udało. Choć broniła się przed wyjściem, nie mogła przestać myśleć o telefonie. Krzątała się po domu, szukając zajęcia, które sprawiłoby, że zapomni o słowach Gabriela. Jednak nic nie było w stanie ich zagłuszyć. Wciąż pobrzękiwały w jej głowie wypowiedziane głosem Taschkego. Biedny chłopak... Dostało mu się za dyrektora...

– Gerto? – odezwała się do gosposi. Targały nią wyrzuty sumienia. Nie potrafiła tylko rozgryźć względem kogo: ofiary czy własnej rodziny. – Muszę się przejść. Zbyt długo siedziałam w domu... – powiedziała.

– Może weźmiemy Marie i pójdę z panią? – zaproponowała Gerta.

– Nie, chyba potrzebuję samotności... – zaproponowała.

– Jak pani sobie życzy – odparła zatroskana Gerta. Wiedziała, że w tej kwestii z Klarą się nie dyskutuje.

– Wrócę za parę godzin. – Odwróciła się, by uniknąć dodatkowych pytań.

– Godzin? – zdumiała się Gerta. W jej mniemaniu „przechadzka” i „parę godzin” niewiele miały ze sobą wspólnego.

– Tak, nie czekaj z obiadem. – Oddaliła się już przy słowie „obiad” i wyszła pośpiesznie, chcąc uniknąć dodatkowych pytań. Włożyła futro.

– Zamknij, nie biorę kluczy! – krzyknęła i zatrzasnęła drzwi. Nie chciała, by ją zatrzymywano, chociaż w głębi serca liczyła, że Gercie się jednak uda. Ale w końcu wyszła. I nikt za nią nie wołał.

Śnieg kołł jej nerwy. Tu nie było kolorów i kształtów, a „uderzenia w głowę” pojawiały się tylko wtedy, gdy w jej pole widzenia wchodził intruz – człowiek, pies, dorożka. Przy tej pogodzie następowało to jednak dość rzadko. Przeszła przez park i dotarła do tramwaju. Stamtąd dojechała na Scheitniger Stern[22], skąd do mostu udała się pieszo. Gdy tylko zobaczyła grupę policjantów, wszystko do niej wróciło. Szła mniej pewnie i miała ochotę zawrócić. Coś jednak pchało ją naprzód, jakby niewidzialne ręce, mimo że się zapierała, dodawały jej rozpędu. Wszystko się w niej buntowało, nakazywało odwrót, podczas gdy podświadomość ciągnęła ją na miejsce zbrodni. Nie była w stanie się zatrzymać.

– Przepraszam? – zapytała nieśmiało pierwszego napotkanego policjanta. Nie znała go.

Gabriel zatrudnił wielu nowych pracowników. Część z nich ściągnął z Berlina.

– Tu nie wchodzimy, proszę pani. – Policjant od razu przyjął surowy ton.

– Tylko że na mnie czeka pański szef. – Ona także przybrała bojową postawę. Wiedziała, jak bardzo kryminalni są wyczuleni na ciekawskich intruzów. Słusznie zresztą...

– Mój szef? – Policjant nawet nie starał się być miły, choćby respektując zasady dobrego wychowania.

– Dyrektor Hübschner mnie oczekuje. A pan nie chce mu się narażać. Proszę więc mnie przepuścić.

– Zapytam – odburknął policjant. – Pani godność?

– Klara Schulz – odparła i po raz pierwszy w życiu dane jej było poczuć, że jej nazwisko coś jednak znaczy.

– Ach, no tak! Trzeba było tak od razu! – odparł policjant i niemal zgiął się wpół w ukłonie. Chyba spodziewał się kogoś innego. Mniej... kobiecego, mimo wszystko. – Proszę za mną. Tylko dosłownie za mną i ani kroku w lewo czy prawo – dodał, pokazując wydeptaną ścieżkę.

Klara podążała za funkcjonariuszem, stawiając drobne kroczyki. W którymś momencie nawet ją to ubawiło. Ale nie mogła puścić sukni, którą zamiotłaby potencjalne ślady. By zasłonić mimowolny uśmiech, opuściła głowę i liczyła, że jej dłoń wyręczy dość duże jak na zimowe warunki rondo kapelusza.

– Nie wierzę! – Usłyszała głos Gabriela. Ale bez cienia sarkazmu, którym ociekała jego wiadomość. Chyba naprawdę wątpił, że przyjdzie.

– Tak, to ja. Nie wiem, co mnie tu przygnało... – Obejrzała się, jakby naprawdę wierzyła w „niewidzialne ręce”.

– Tęsknota? – Gabriel uśmiechnął się do niej jakoś dziwnie. Ale ładnie, jak to on. Złapała się na tym, że się w niego wpatruje. – Chodź! – Przywołał ją do porządku.

Podeszli do ciała, które właściwie gotowe było do transportu.

– Chciałem tylko, żebyś rzuciła na nią okiem.

– Ktoś ją rozpoznał?

– Pytaliśmy gapiów. To naprawdę niełatwe. Ludzie chętnie patrzą na nasze poczynania, ale z daleka. Dopóty traktują to jak dobrą rozrywkę, dopóki nie trzeba w niej uczestniczyć. Gdy każemy im podejść, nie chcą. Mają opory. A ci, którzy myślą, że dadzą radę i są na to gotowi, niemal od razu dostają torsji lub mdleją. – Zaśmiał się pobłaźliwie, choć nie miał życzliwości dla wścibskich gapiów. – Od miejscowych zdołaliśmy się dowiedzieć, że jej tu nie widywano. To prostytutka. Powinniśmy raczej ustalić dom publiczny.

– Trochę tego jest... – Klara pokiwała głową.

– W tym rzecz. Dlatego robimy zdjęcia i publikujemy.

– Po pierwszą ktoś się zgłosił? – upewniła się.

– Tak, przyjaciółka. Potwierdziła, że denatka była prostytutką, ale pracującą nielegalnie na ulicy.

– Jeszcze lepiej. – Klara wzięła głęboki oddech. – Tożsamość właściwie nie do ustalenia.

– Dla mnie najważniejsza jest tożsamość mordercy. A tu nie mam już

wątpliwości. Może i zadała sobie ranę, ale tego wszystkiego... – ogarnął ręką szeroko zarysowane miejsce zbrodni, po którym kręcili się policjanci – ...nie dokonała w pojedynkę. To nie samobójstwo.

– Czyżby zrobił się nieostrożny? Przy poprzednich nie udało się ustalić niczego – dywagowała. Podziwiała Gabriela za tę nadprzyrodzoną nieomylność. Podczas gdy ona z całą pewnością odrzuciła tezę o zabójcy, on się jej trzymał. I miał rację.

– Obaj z Michaeliem założyliśmy, że poprzednie ofiary znaleźliśmy dużo później. Ta musiała zginąć przedwczoraj lub nawet wczoraj. Tamte ciała ukryte były pod śniegiem. W ostatnim czasie nie padało. Poza tym ofiara leży na lodzie i nie musimy jej wycinać. Założyliśmy, że spadła z mostu, ale lód nie pękł. Potem mordercy przyszli tu, żeby ukryć zwłoki.

– Lód nie pękł, nie padał śnieg. Ciało trzeba było ukryć. Stąd tyle tu śladów – myślała głośno, a Gabriel pokiwał głową. – Zaraz... – Spojrzała na niego zdumiona. – Powiedziałeś mordercy? – Dotarło do niej, że użył liczby mnogiej.

– Było ich dwóch – odparł Gabriel. – Ale to nie wszystko.

– Coraz ciekawiej...

– Żebyś wiedziała. Spójrz! – Wskazał na wygniecenia wokół leżącego na wznak ciała. – Układali ją w różnych pozycjach. Przesuwali ręce, nogi, odwracali głowę i wdeptywali ją w śnieg. Tu zachował się nawet całkiem wyraźny odcisk buta. Niestety, takie obuwie może mieć dosłownie każdy... – Wskazał na przedramię ofiary. – Patrzyli chwilę, potem znów zmieniali jej położenie. Zrobili to co najmniej trzy razy, sądząc po śladach. Żyła, gdy po niej chodzili, bo zostały zasinienia.

– Angus zapewne powiedziałby teraz: „Chętnie przyjąłbym takich na oddział”... – Klara pochyliła się nad martwą kobietą. Ślad buta był szczątkowy. Klara niczego nie mogła o nim powiedzieć. Trzeba było wprawnego oka doświadczonego śledczego, by móc jednoznacznie określić, że siniak jest odciskiem podeszwy.

– Będę musiał porozmawiać z Dieterem. Może podpowie mi coś mądrego.

– Pomożesz mi ją przewrócić? – zapytała Klara.

– Chyba wolę poczekać na patologa. Obejrzymy ją dokładniej w kostnicy.

– Nie w tym rzecz. Do kostnicy nie pójde – zarzekła się, choć chyba sama już w to nie wierzyła.

– Jak chcesz. – Gabriel nie był zadowolony z jej deklaracji. Mogłaby już przestać się krygować... Postanowił jednak spełnić jej prośbę.

Przyklęknął przy ofierze i razem z Klarą podniósł zmarznięte ciało.

– Wystarczy – powiedziała detektyw, gdy martwa kobieta leżała na boku, zeszywniała jak kłoda. Lewa ręka, zgięta w pół, sterczała teraz do góry. Widok był nieprzyjemny. Mimo to Klara starała się opanować nerwy i żołądek.

- Co robisz? – Gabriel nie rozumiał jej poczynań.
- To droga sukienka, choć już od dawna niemodna. Uszyto ją z jedwabiu. Nie najlepszej jakości, ale jednak. Cieniutki, więc nie wybierała się na dwór. Tu gdzieś musi być nazwisko krawca. Pomóż mi ją rozsznurować.
- Klaro... Nie możemy tego zrobić jutro w kostnicy? – Gabriel rozejrzał się nerwowo.
- Już ci mówiłam. Nie pójdę. Pomożesz mi czy nie?
- Dobrze... – zgodził się niechętnie i pomógł przyjaciółce obnażyć zwłoki. Klara odchyliła gorset sukni.
- Zy-gadle-wicz – przeczytała, łamiąc polskie nazwisko na nieskładne drzazgi.
- Nie znam...
- Ja też nie. W Breslau nie ma i nie było takiego krawca. Wiedziałabym. Ta sukienka jest już mocno zniszczona. Na moje oko może mieć ponad dziesięć lat.
- A to znaczy? – Gabriel nie znał się na damskiej modzie. Cokolwiek miała ona wspólnego ze sprawą.
- To znaczy, mój drogi, że suknia przyjechała tu z terenów byłej Polski. Zapewne razem z właścicielką.
- Czyli mamy do czynienia z polską prostytutką? – Gabriela zdumiała ta teoria.
- Właściwie to... – Klara rozsznurowywała denatkę, odsłaniając jej pośladki. Gabriel odwrócił głowę. W kostnicy byłoby to bardziej naturalne niż tu, w środku miasta. Poczul się skrępowany. – Tak... zgadza się. Droga suknia w burdelu, nawet jeśli stara, jest niezwykle cenna. A tu... – odgięła gorset, aż dotarła do naszywki przy biodrze – ...masz nazwisko właścicielki. Nazywa się Dorota Ostropolska.
- Żartujesz... – Gabriel nie wierzył w taki łut szczęścia.
- Sama każę krawcom wszywać moje nazwisko w suknie i płaszcze. Lubię wiedzieć, że są tylko dla mnie – wyjaśniła. – Nawet jeśli to nie ona... – wskazała palcem na denatkę – ...to może jakaś Dorota zgłosi się do nas z informacjami. Mogła odsprzedać suknię lub oddać dla biednych.
- Bo tej tutaj chyba nie byłoby na nią stać – podsumował Gabriel.
- Kobieta nie rodzi się nierządnicą... – Klara obrzuciła go ganiącym spojrzeniem. – Ludziom różnie się układa.
- Racja. – Gabriel poczul, że się wygłupił. Wyjął notes i zapisał oba nazwiska. Pomógł Klarze wstać z klęczek. Jej futro było prawie tak samo ciężkie jak ona sama. Przytrzymał ją za ramię, bo się zachwiała. Nie wiedział, że to skutek odstawienia leków.
- Pojedź ze mną, proszę – wymamrotał. Chciał wziąć ją na litość.
- Nie chcę.
- Tutaj też nie chciałaś przyjść, a jednak się przełamałaś. I od razu tak

dobrze ci poszło.

– Sam odkryłbyś to, co ja. Moja pomoc jest ci niepotrzebna – zbagatelizowała jego pochwałę.

– A co, jeśli nie? – nalegał desperacko.

– Przestań. – Spojrzała na niego łagodnie. – Jesteś błyskotliwym logikiem z niezwykle otwartym umysłem. Oboje wiemy, że nie potrzebujesz mojej asysty.

– A co, jeśli potrzebuję ciebie? – zapytał i wbił w nią wzrok.

Zatkało ją. Otworzyła usta, ale odpowiedź nie nadchodziła. Jej głowę wypełnił szum.

– Co masz na myśli? – wykrztusiła w końcu.

– Błagam, chodź ze mną. – Nie wiedział, czy powinien się tłumaczyć, czy nie. Przecież oboje dobrze wiedzieli, o co mu chodziło.

– Gabrielu, potrzebuję czasu. – Chciała ominąć temat, tak samo jak on.

– Sekcję będziemy robić najwcześniej jutro. Dziś tylko ją pooglądamy – zapewnił.

– Jeśli będę gotowa, przyjdę jutro do instytutu. Ale nie dziś. Teraz... Teraz chcę wrócić do domu – zadecydowała.

– Odwiozę cię. – Zacisnął mocniej dłoń.

– Nie trzeba. Wolę się przejść – odrzekła i uwolniła się z jego uścisku.

– Klaro! – zawołał za nią, gdy odchodziła szybkim krokiem. Nie zatrzymała się. Nie obejrzała.

Pognała do domu z podwójnymi wyrzutami sumienia.

Klara weszła do holu cicho i bezszelestnie. Dzieci siedziały z Gertą. Fritz jak zawsze o czymś rozprawiał, a gosposia spokojnie go słuchała. Miała do niego niezwykłą cierpliwość, której nierzadko brakowało Klarze. Nieraz obiecywała sobie, że się zmieni, ale za każdym razem odnosiła wrażenie, że im bardziej się stara, tym dziwniej zachowują się jej dzieci. Marie stawiała się nieznośna, a Fritz jakby wykorzystywał uległość matki. Ale teraz – po tym, jak poszła na miejsce zabójstwa, choć przysięgała sobie z tym skończyć, a Gabriel powiedział jej coś, czego nie powinien, i gdy ostatecznie zorientowała się, że jej syn traktuje gosposię jak matkę, podczas gdy ją samą jak zło konieczne – całkiem się załamała. W gardle wyrosła jej wielka kula, która boleśnie uciskała krtań. Wzięła głęboki oddech i podeszła do telefonu. Poprosiła o połączenie ze szpitalem.

– Halo? – Usłyszała zmęczony kobiecy głos.

– Z doktorem Bernardem Schulzem poproszę.

– Niestety, doktor ma dziś wolne.

Klara pomyślała, że kobieta jej nie dosłyszała.

– Rozumiem... Nie może podejść... – Starła się obrócić jej słowa w żart.

– Nie, po prostu go nie ma – wyjaśniła recepcjonistka, mówiąc powoli jak do zniedołężniałej, przygłuchej staruszki.

– Pani nie rozumie. Jestem jego żoną. Nazywam się Klara Schulz. Dziś rano skoro świt mąż wyszedł do pracy – naciskała. Usłyszała trzask. – Halo?

– Coś nam przerwało – odezwała się telefonistka. – Połączę jeszcze raz.

Zapadła cisza. Klara oparła się o ścianę. Oblał ją zimny pot.

– Niestety, nikt nie odbiera.

– Dziękuję – odparła półgłosem.

Drzwi kuchni otworzyły się z łoskotem. Fritz wybiegł na korytarz.

– Mama! – wykrzyknął i podbiegł do niej. Pochwycił jej drżącą z przejęcia dłoń i pocałował z głośnym cmoknięciem. – *Mademoiselle*. – Żartobliwie się jej uklonił i udał, że podkręca włosy.

Pogłaskała go po blond włosach. Jego jasna, roześmiana twarz rozmyła się w jej oczach pod wpływem łez, które nagromadziły się w nich równie nagle jak wcześniej wyrzuty sumienia.

– Mój kochany – powiedziała i przygarnęła go do siebie, całując w czubek głowy.

– Czytałem Gercie gazetę, bo sama nie mogła. „Lepiła pierogi jedną ręką, a drugą obsługiwała moją siostrę” – zacytował gosposię.

– Tak? – Klara zdobyła się na uśmiech. Szybko zamruwała, by rozgonić łzy. Fritz wziął matkę pod rękę i zaprowadził do salonu.

– Mama chyba źle się czuje? – zapytał niepewnie. Choć Klara od kilku dni była zupełnie normalną mamą, już nie smutną i nieobecną, ale taką, jak powinna, to jednak teraz wyglądała mizernie.

– Nie, kochanie. Jest mi po prostu trochę smutno – powiedziała i zalała się łzami.

– Dlaczego? – zapytał i pogładził ją po mokrym policzku.

– Ach... to na pewno przez pogodę. Wszystko się zmieni, gdy przyjdzie wiosna.

– Tak, ja też nie mogę się doczekać wiosny – przytaknął.

– Jak było lato, pragnęłaś nadejścia zimy. – Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się przez łzy.

– To było wtedy. I było mi gorąco. Ale teraz już tęsknię za słońcem.

– Ja też, synku... Bardzo – powiedziała i przytuliła go do siebie.

Bolało. Teraz bolało ją potwornie. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, jaką krzywdę wyrządziła Bernardowi. Zrozumiała, dlaczego jej odpuścił. Nie miał już pretensji o częste wizyty Dietera, który nigdy specjalnie nie krył się ze swoimi uczuciami w stosunku do niej. Ona też pozostawała obojętna na zapach, który na sobie przynosił. Na jego coraz późniejsze powroty do domu, które tłumaczył ciężką pracą. Na długie blond włosy, które znalazła kiedyś na jego marynarce. Na ciche telefony, ponoć ze szpitala. Ale teraz, gdy spadło to na nią jak lawina, nie mogła się z tym pogodzić. Ból był nie do zwalczania. Marzyła o śnie.

O tabletkach, których już nie brała. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Czy szukać go, czy pytać? Czy próbować się jeszcze oszukiwać? Swoim postępowaniem skazała siebie i jego na takie życie. Życie w kłamstwie obok osoby, której się nawet nie lubi. Smutne, samotne życie bez miłości.

Wieczne godziny wtorkowej próby minęły bezboleśnie. Inge triumfowała nad sopranami, które, choć przywitały ją podobnie jak poprzednio, po próbie ledwo mówiły. Pokazała im kilka ćwiczeń, którymi miały naprawić sobie głosy.

– Musicie mniej forsować dźwięki. – Przybrała protekcyjny ton. – Gdy bierzecie góry, przepona musi pracować, a gardło pozostawać otwarte. Inaczej nie da się śpiewać. Niestety, nie mogę pracować osobno z każdą z was. A przynajmniej na pewno nie podczas prób – dodała, sugerując, że jest otwarta na propozycje prywatnych lekcji.

Sopranistki, skruszone i potwornie zmęczone, przytaknęły i pozbierały z ławek swoje nuty. Franz, który od jakiegoś czasu obserwował próbę, podszedł do kierowniczk.

– Ambitnie – skomentował to, co słyszał przez ostatnie kilka minut.

– Mam nadzieję, że to księdzu nie przeszkadza. – Spojrzała na niego zalotnie i nawet nie próbowała się opamiętać. Brnęła w to, wbrew sobie i poczuciu moralności.

– Nie, jeżeli nie zniechęci to chórzystów – odparł poważnie.

– Chyba są zadowoleni. W końcu robią coś, co stanowi dla nich wyzwanie – zapewniła go. Miała rację. Ludzie żywo dyskutowali o nowym utworze. Ich gesty i mimika wyrażały przejęcie. Wyraźnie przeżywali nowe dźwięki, odległe od czasem infantylnych muzycznie pieśni kościelnych.

– Mam taką nadzieję. – Zmrużył oczy. – Herbaty? – zapytał.

– Nie wiem, czy powinnam... – Inge od razu pomyślała o gosposi księdza.

– W zimowy wieczór każdy powinien napić się ciepłej herbaty. – Ksiądz obrócił w żart jej obawy. W takim razie... – Nie trzeba było jej długo namawiać. – Chodźmy!

Inge pożegnała się z chórzystami. Franz zamknął kościół i razem podążyli na plebanie.

Gosposia zaparzyła herbatę z pomarańczami i miodem.

– Na czym ostatnio skończyliśmy? – zapytał, gdy na stole stanął parujący napój.

– Nie pamiętam, to było w sobotę. – Inge skwitowała jego pytanie śmiechem. Poruszyli wtedy mnóstwo tematów, a rozmowa nie chciała się skończyć.

– Co dziś śpiewaliście?

– Nie poznał ksiądz? – kokietowała go.

– Niestety... jestem tylko duszpasterzem, nie muzykiem. Bach?

– Nie, Händel.

– Ach, no tak, nasza druga narodowa duma. – Ksiądz udał skruchę, po czym natychmiast się roześmiał. Ten grymas, szczególnie w żółtym, górnym świetle żarówki, ujawnił jego zmarszczki mimiczne, które podążyły w dół, od ucha, po policzku. Musiał często się śmiać.

– Tak jak i Bach, i Beethoven, i Mozart... Ale do Händla mam po prostu ogromny sentyment.

– Armida?

– Kleopatra. – Kiwnęła głową z uznaniem dla jego spostrzegawczości. – Uwielbiałam być Händlowską Kleopatram.

– Nie kojarzę zbyt dobrze tej opery. *Juliusz Cezar w Egipcie*, jeśli się nie mylę?

– Nie myli się ksiądz.

– Jaka jest w takim razie przewaga Händla nad Bachem? – Upił łyk herbaty, nie odrywając od niej wzroku.

– O nie, to nie tak. To bardzo subiektywna ocena. – Przymknęła oczy. Długie rzęsy ułożyły się na jej policzkach niczym skrzydła ómy.

– Więc chciałbym ją poznać – nalegał. Chyba tęsknił za normalną, ludzką rozmową na inny temat niż problemy parafian i Pismo Święte.

– Może nie powinnam tego mówić.

– Proszę nie traktować mnie jak automatu. Kiedyś nawet byłem mężczyzną. – Chciał ją rozbawić, lecz szybko zorientował się, że poczuła się skrępowana.

– Ale mimo wszystko nosi ksiądz sutannę i ten wielki krzyż. Jakoś nie wyobrażam sobie powiedzieć księdzu tego, co przyszło mi na myśl.

– To samo słyszę na spowiedzi. – Uniósł w górę brew i tym razem mu się powiodło. Roześmiała się perliście i znów popatrzyła na niego zalotnie.

– No dobrze... – Opuściła oczy. – Bo widzi ksiądz: Bach i Händel nigdy się nie poznali. Poza tym, że ze sobą konkurowali, choć pewnie nie wpadliby na to, gdyby nie krytycy, którzy czasem ich porównywali, mieli też inne priorytety. Bach, wielodzielny i religijny, nie pisał oper, wkładając serce w kantaty i pieśni. Händel natomiast... – umilkła. Nie wiedziała, jak zareaguje ksiądz, gdy się przed nim otworzy.

– Natomiast? – zachęcił ją.

– Lubił wino i... kobiety. – Popatrzyła na niego. Nie reagował. Po prostu słuchał uważnie. – Nigdy się nie ożenił. Napisał za to *circa* czterdzieści oper ociekających... erotyzmem. – Chrząknęła i znów na niego spojrzała. Ujrzała to, co wcześniej. Czyli nic. – Nie chodzi o same libretta, ale o harmonię – kontynuowała. – Choćby takie *V'adoro pupille*. To przejście przy drugim „*saette d'amore*” z B-dur na a-moll, piękna progresja od „*v'adoro pupille*” do „*son grate*”[23] i znów wtrącona zmiana tonacji. Kleopatra przypomina tańczący na knocie ogień świecy.

Kusi Cezara niczym  mę i w ko cu osi ga cel. A ich duet? „*Caro! – Bella!*”. – Jej g s zadr ał. – Przepraszam – powiedzia a i zn w chrz knę a.

– Niech pani nie przeprasza. To nic z ego, gdy wzrusza nas pi kna muzyka – stwierdzi  Franz. – Nawet je li bardziej przez wspomnienia z ni  zwi zane ni  samo zak te w niej pi kno.

– Za du o m wię.

– Niekt rzy twierd a,  e gdyby nie ja, nie mieliby w og le do kogo si  odezwa . – Obdarzy  j  ciep ym spojrzeniem.

– W takim razie... – u miechnę a si  blado – ...powinna si  cieszy ,  e znalaz  ksi dz dla mnie czas.

– Musz  dba  o parafian. Tak  wybra em drogę – wyja ni . Mimo  e w asnie tego si  spodziewa a, zak u o j  w  o adku. Dlaczego w og le  udzi a si ,  e jest wy atkow ... parafiank ?

– Dziękuje zatem. Powinna ju  i . – Zerwa a si , jakby ugryz o j  krzes o, na kt rym siedzia a.

– Tak szybko? – zdziwi  si .

– Następnym razem zostanę d u ej – zapewni a.

– Czyli w czwartek?

– Tak – odpar a, chocia  nie wiedzia a, czy w og le powinna tu przychodzi . Umawia a si  z księdzem na herbatę! – W czwartek po pr bie – rzuci a po piesznie i szybko odwr ci a si  w stronę drzwi. Chcia  j  odprowadzi , lecz „uciek a”. Niekoniecznie od niego. Raczej od w asnych emocji.

Nikle  wiat o stojącej na zewn trz latarni sprawi o,  e  nieg iskrzy  si  na z lto i pomara czowo, gdzieniegdzie przyjmuj c wręcz czerwonawy odcie . Odg os, jaki wydawa y buty na zmro onej skorupie, przypomina  chrupanie. Od razu skojarzy  si  Inge z kruchym ciastkiem. Zaburcza o jej w brzuchu. Chcia a czym prędeziej dosta  si  do domu. W chwilę po tym, jak opu ci a plebanię, skierowa a si  w stronę ko ci a, by dotrze  do ruchliwego Nikolaiplatz. Minęli j  ludzie  ywo dyskutuj cy o swojej pracy. Domy li a si ,  e opu cili Fabrykę Wyrob w Srebrnych Juliusa Lemora przy Fischergasse[24].  miali si  i  artowali. Musieli lubi  swoje zajęcie, bo nawet po fajrancie ich tematem przewodnim by a praca. Zacierali ręce, tupali i trochę pokrzykiwali, ale Inge cieszy a si ,  e ma towarzystwo w tym ciemnym zau ku. Po torach na Westendstra e przejecha  tramwaj. M dzieńcy zerwali si  do biegu, chc c zd y yć na przystanek. Patrząc za nimi, Inge mia a przez moment ochotę podbiec parę krok w w drug  stronę, do Friedrich-Wilhelm-Stra e[25]. Być mo e znalaz aby si  w swoim ciep ym mieszkanku nieco szybciej? Przygotowa aby ciep  herbatę, okry aby si  kocem i poczyta a jak s lekturę do poduszki. Być mo e uda oby si  jej zapomnie  o Franzu, bo zdecydowanie zbyt często o nim my la a.

Ostatecznie jednak nie zdecydowa a si  na bieg, a jedynie na przy pieszenie

kroku. Otoczona kłębami pary dobywającej się z jej własnych ust szła w stronę jaśniejszego miejsca. Młodzieńcy zniknęli, a ona została sama, Ignąc niczym ćma do łuny bijącej za kościołem. Zanim jednak udało się jej tam dotrzeć, zza rogu wyłoniła się drobna postać i zastąpiła jej drogę. Stała tyłem do światła, więc jej twarz pozostawała w cieniu. Po posturze jednak Inge rozpoznała Annę.

– Nocne rozmowy na plebanii? Ludzie panią obmówią. – Kobieta przestąpiła z nogi na nogę i włożyła ręce do kieszeni eleganckiego płaszcza. Jej głos obronił się przed torturami i w przeciwieństwie do koleżanek z sopranów mówiła dźwięcznie i bez śladu zmęczenia.

– Musimy dbać o sprawy chóru – odparła pewnie Inge, mając przy tym nadzieję, że rozmówczyni nie dostrzeże rumieńców wylewających się na jej policzki.

– Nocną porą?

– Wieczorną – sprostowała. – Mogę pani jakoś pomóc? – spytała podenerwowana.

– A ja? Mogę pomóc pani? – zapytała przekornie Anna.

– Nie rozumiem, co ma pani na myśli...

– Tak się pani przejmuje sprawami chóru, że stawia na szali własną reputację?

– Ksiądz nie ma dla mnie czasu w ciągu dnia, a jest przecież wiele kwestii do omówienia.

– No tak. To musiało być marzenie pani życia. Praca w chórze kościelnym. Tyle rzeczy do omówienia. Te koncerty, tournée. Gratuluję! Spełniło się! – Anna klasnęła w dłonie i znów schowała je do kieszeni.

– Jeśli chce się pani ze mnie naigrawać...

– A więc tak jak myślałam... to nie jest praca pani marzeń – triumfowała Anna.

– Do rzeczy, pani Anno. Zmarzłam, zgłodniałam i jedynym moim pragnieniem w tej chwili jest znaleźć się w domu – powiedziała zdecydowanie Inge. Poczula się dotknięta jej słowami i starała się trzymać fason. Machnęła jednak ręką i upuściła torbę ze zdenerwowania. Wysypały się z niej klucze, nuty, a kamerton wpadł w brudny śnieg.

Anna kucnęła. Nie przyklękła na jedno kolano jak Inge, tylko po męsku rozchyliła nogi. Choć przykrywały ją płaszcz i suknia, Inge dokładnie to sobie wyobraziła, przeklinając swoją inwencję twórczą.

– Od jakiegoś czasu prowadzę grupę...

– Teatralną, wiem – wtrąciła Inge.

– Rozmawiała pani z księdzem o mnie? – Anna wrzuciła do torebki coś, co zabręczało. Najpewniej klucze.

– Z księdzem Franzem? Owszem. To należy do moich obowiązków.

– Jasne! – Anna zaśmiała się ponuro. – A czy księżulo wspominał, że dzięki owej grupie dobrze mi się wiedzie?

– Wspominał, że... – zawahała się. Nie chciała zdradzić, że rozmawiali także o jej zatargu z prawem. – Nieźle się pani układa – wydukała, parafrazując słowa rozmówczynie.

– To dobry chleb. – Anna puściła mimo uszu bezsensowną wypowiedź Inge.

– Jak każdy inny – broniła swej posady dyrygentka. – Ja też pracowałam na scenie.

– Nie tęskni się pani do braw, wielbicieli? – Anna się rozmarzyła. Ona zapewne miała ich całe tuziny w małej trupie teatralnej.

– Nie, dobrze mi tu, gdzie jestem – starała się przekonać samą siebie Inge.

– Proszę mimo wszystko wpaść – zaprosiła ją Anna, prostując się. Wyciągnęła w stronę Inge rękę, w której trzymała niewielki kartonik. – To wizytówka klubu, w którym dajemy występy. Z takim głosem mogłaby pani zrobić karierę. Na to nigdy nie jest za późno – podkreśliła ostatnie słowo, jakby chciała dać do zrozumienia, że dla Inge to ostatni dzwonek na powrót na scenę.

– Nie jestem pewna... – Inge wzięła wizytówkę.

– Nie nalegam. – Anna delikatnie pokręciła głową. – Ale gdyby ciekawość zaczęła panią podgryzać w siedzenie, dodam, że w piątek sama występuję. A tego po prostu nie można przegapić. – Zachichotała. Odwróciła się do Inge. – Do zobaczenia! – rzuciła przez ramię. Dyrygentka oceniła ją, gdy się oddalała. Nie była nawet ładna, ot, przeciętna. Drobna, o figurze dziecka, a jednak mocnej i kanciastej. Może nie przysadzistej, ale bynajmniej nie filigranowej. Czarne włosy silnie kontrastowały z jej białą, lekko nakrapianą drobnymi piegami cerą. Czy była lubiana? Czy miała wielbicieli, którzy nieopatrznie doprowadzili ją do samouwielbienia?

Inge weszła w snop światła i odczytała wizytówkę.

ROTEERDBEERE

Serdecznie zapraszamy!

Tylko u nas występy artystyczne w tak niepowtarzalnym stylu.

Zaczynamy o 21.00.

Geschäftshaus Niepoldshof[26].

Przeczytała adres i niemal natychmiast wsunęła kartonik do przepastnej torby. Jakby chciała o nim szybko zapomnieć. Pomyślała, że wyrzuci go przy pierwszej nadarzającej się okazji, lecz zanim dotarła do domu, zupełnie o nim

zapomniała. Jej głowę zaprzętały myśli o Franzu. Nie zrobiła herbaty, nie zagłębiła się w żadnej lekturze. Przyłożyła głowę do poduszki i zasnęła w objęciach przełożonego, który nawet w jej odważnych wizjach nadal pozostawał księdzem.

21 Most Oławski.

22 Pl. Grunwaldzki.

23 Mowa o arii *V'adoro pupille* G.F. Händla z opery *Juliusz Cezar w Egipcie*.

24 Ul. Rybacka.

25 Ul. Legnicka.

26 Pasaż Niepolda.

VII

– Żadnych znaków szczególnych, żadnych wskazówek. Poza dwoma nic niemówiącymi nazwiskami i tym, że to kolejna prostytutka z gładką cerą i muskularnym ciałem, nie mamy niczego... – podsumował Sanz. Stał oparty o ścianę w gabinecie szefa. Dzień nie nastrojał go do pracy, a do tego najwyraźniej czekała go dość długa podróż. – Mamy ten burdel. Szef, niejaki Gut, ma polskie pochodzenie. Wiemy, bo lubi się tym chwalić. Jego dom uciech zatrudnia sporo dziewczyn z terenów polskich.

– Gdzie to jest? – Gabriel, dotąd nieobecny myślami, uznał, że najwyższa pora zainteresować się ustaleniami dokonanymi przez jego zastępcę.

– Hundsfeld[27]... – Sanz westchnął, jakby już przemierzył połowę tej odległej drogi, i to pieszko.

– Chyba coś mi świta – skomentował kwaśno Gabriel.

– Zbieramy się?

– Tak, tak... – Gabriel podniósł się, ale zanim włożył płaszcz, wsparł się na biurku i zamyślił.

– Liczyłeś, że przyjdzie? – zapytał Wehrner. Znał go na wylot.

– Czytasz w moich myślach. Powinna być rano z nami i kontynuować sprawę.

– Ona nie chce, widzę to po niej – usprawiedliwiał Klarę Sanz.

– Dlaczego w takim razie wodzi mnie za nos? Najpierw zjawia się, a potem ucieka, pozostawiając mnie z... – Zastanowił się. Jego słowa nieuchronnie zmierzały ku zupełnie innej, bardzo osobistej puencie. – Z niedokończoną sprawą – odpowiedział dyplomatycznie.

Sanz jedynie się uśmiechnął. Dobrze wiedział, co Gabriel ma na myśli. Nie chciał tylko, by jego afekt utrudnił mu śledztwo.

– Na pewno nie chcemy, by ktokolwiek jeszcze umarł przez tego zabójcę... Czy też może tych zabójców – poprawił się Sanz. – Ale pamiętajmy, że oni tak szybko nie znikną.

– Mylisz się... – zaprzeczył Gabriel. – Jakies dziesięć lat temu miałem podobną sprawę. Pomagałem policjantom z Potsdam[28].

– Seria samobójstw? – zdziwił się Sanz. – Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?

– Bo to nie ma teraz znaczenia – stwierdził Gabriel.

– Gabrielu... I ty to mówisz? Przecież tamte akta...

– Tamtych dokumentów już nie ma. Wszystkie sprawy uznano za

samobójstwa, a papiery spalono.

– Chociaż ty pamiętasz te zgony. – Sanz pokiwał głową. – Więc pewnie i wtedy miałeś przypuszczenia...

– Że to pozorowane samobójstwa – potwierdził Hübschner. – Mimo że do tamtych spraw bezpośrednio odnieść się nie możemy, musisz wiedzieć jedno: oni zabijają tylko zimą. Przesną, kiedy przylecą jaskółki.

– Rozumiem... – Sanz nie odrywał wzroku od szefa. Miał nadzieję, że jeśli im się nie uda w porę znaleźć zabójców, co było całkiem prawdopodobne, Gabriel nie oskarży wszystkich o marnowanie cennego czasu. Hübschner jednak, przynajmniej w tym momencie, był myślami przy kimś zupełnie innym. – W takim razie nie ma na co czekać – powiedział Wehrner, wyrzuwając szefa z zadumy.

Po kolejnej lekcji śpiewu Klara zaprosiła Inge na ciasto i kawę. Choć uprzedziła, że nie ma zbyt wiele czasu i będzie musiała wkrótce wyjść z domu, postanowiła poświęcić chwilę na rozmowę z nauczycielką. Dobrze czuła się w jej towarzystwie. Inge przywracała ją normalnemu życiu.

– Ja bym nie jechała – oświadczyła, gdy Inge opisała jej sytuację spod kościoła.

– Dlaczego? – nastroszyła się Inge, choć sama wcale nie miała zamiaru zjawiać się w „Roteerdbeere”. Po prostu nie lubiła „dobrych rad”.

– Już sama nazwa budzi dwuznaczne skojarzenia – wyjaśniła Klara.

– Ale to lokal w centrum miasta. – Inge sama nie wierzyła, że w ogóle polemizuje na ten temat.

– Ludzie znają różne obejścia prawa. Mnie nazwa sugeruje, że to coś na kształt domu uciech. A propozycja pracy w takim miejscu...

– Anna zaproponowała mi występy artystyczne – przerwała jej Inge. – Więc to chyba raczej nie dom uciech. – Czuła się urażona tym, że Klara nie wierzy, iż mogłaby mieć do czynienia z kameralną sceną o... wyzywającej nazwie.

– Nie sugeruję, że jest stręczycielką! – Klara dostrzegła, że nowa znajoma poczuła się dotknięta. – Mówię tylko, że takie miejsca z reguły są podejrzane. Wiem, bo się po takich nachodziłam... – Chrząknęła i machnęła ręką. – Zostaw to. Powiedz lepiej, jak próby?

– Nieźle... – odrzekła śpiewaczka, wciąż lekko naburmuszona.

– Mam nadzieję, że chórzyści śpiewają lepiej niż ja – zażartowała Klara, by nieco rozluźnić atmosferę.

– Radzą sobie. Niektórzy są całkiem dobrzy – pochwaliła śpiewaków Inge, znów powracając myślami do konkurentki z sopranów.

– A pracodawca?

Inge zatrzymała szklankę w połowie drogi do ust. Zmieszała się. Klara od razu to zauważyła.

– Pracodawca też w porządku. – Śpiewaczka chciała zbyć rozmówczynię.

Ale było za późno.

– Często się widujecie? – Klara uśmiechnęła się lekko.

– Na próbach. Nawet... – zawahała się. A jednak trudno jej było powstrzymać emocje, gdy mówiła o Franzu. – Nawet po. Rozmawialiśmy ostatnio wieczorem przy herbacie. I to nie pierwszy raz.

– A o czym można rozmawiać... z księdzem? – zdziwiła się Klara.

– To bardzo mądry i wrażliwy człowiek.

– Nie wątpię – potwierdziła ochoczo, by znów nie urazić gościa. – Ale chyba mało... życiowy. Nie to co ty, po tak trudnych doświadczeniach – zaakcentowała dwa ostatnie słowa. Nie chciała wyjść na wścibską. Jednak pewne rzeczy widać gołym okiem, a to, że zadurzyła się we Franzu, Inge miała wypisane na czole.

– Cóż... może tacy mało życiowi mężczyźni są lepszymi partnerami? – Śpiewaczka rozmarzyła się, po czym, jakby nagle otrzeźwiała, dodała: – Do rozmów, rzecz jasna.

– Inge, to ksiądz! I na dodatek twój pracodawca! – Klara w ostatniej chwili powstrzymała się od odruchowego uderzenia się otwartą dłonią w czoło. – Wiem, że nie powinnam ci tego mówić... Ale nie sposób nie zauważyć, że znów prosisz się o kłopoty.

– To nic takiego. – Inge zbagatelizowała uwagę Klary, ale widać było, że ledwo panuje nad nerwami. Klara za dobrze jej płaciła, by mogła się na nią obrazić i na przykład wyjść. – Nasze rozmowy są *stricte* przyjacielskie.

– Kobieta i mężczyzna nie spotykają się sam na sam przy herbacie wieczorami, jeśli nie mają się ku sobie – zauważyła Klara.

– Dobrze, nawet jeśli... – przyznała Inge. – Może to ironia losu, że najlepszy człowiek, jakiego w życiu poznałam, jest księdzem. Może nie powinnam korzystać z jego zaproszeń, ale wtedy z pewnością zaczęłabym cierpieć. – Nerwowo upiła łyk zimnej kawy, potem drugi i trzeci. Łatwo było mówić Klarze o mężczyznach. „Życiowych” czy nie. Miała piękny dom, mądrego, dbającego o nią męża, dzieci, służbę i mnóstwo przyjaciół. Inge była sama. A zdecydowanie mniej samotna czuła się, gdy Franz był w pobliżu.

– Wiem, jak trudno czasem się oprzeć... – przyznała Klara. – Pamiętaj jednak, że czasem trudniej stawić czoło konsekwencjom, niż oprzeć się własnym uczuciom – pouczyła ją.

Więcej do tego nie wracały. Dopily kawę i razem wyszły z domu. Na Wilhelmsruher Straße[29] złapały dorożkę. Klara opłaciła Inge kurs na Bunzlauer Straße, sama zaś kazała się zawieźć pod Prezydium Policji przy Schuhbrücke[30]. W drodze rozmawiały. Inge zastanawiała się, co powinna przygotować z chórem na pierwszą niedzielę Wielkiego Postu. Wiedziała, że ma jeszcze czas, lecz chciała, aby jej zespół zaczął powoli koncertować. Wyraźnie się rozluźniła. Wcześniej, gdy poruszyły ten temat, zjeżyła się jak zwierzę gotowe do ataku. Klara natomiast coraz

bardziej błędziła myślami gdzie indziej. Miała żal do Bernarda. I to nie tyle o sam romans, o który właściwie mogła winić tylko siebie. W końcu mimo że do niedawna cały czas siedziała w domu, zdawała się raczej nieobecna. Dziwiło ją tylko to, że doszło do niego akurat teraz, gdy uległa mu i odpuściła sobie współpracę z policją. Jechała do prezydium z bojowym nastawieniem. Miała zamiar pomóc nie tyle policji, ile samej sobie, poniekąd mszcząc się na mężu. Jeśli tak postanowił, to ona także ma prawo zdecydować o swoich dalszych poczynaniach bez jego wiedzy i zgody.

Dorożkarz podjechał na Schuhbrücke.

– Dalej nie da rady, bo jakiś nieokrzesany młokos zastawił ulicę swoim automobilem – powiedział z pogardą zarówno dla właściciela auta, jak i nowoczesnego środka transportu wypierającego z rynku powozy.

– To szef policji. Zawsze tu staje – upomniała go na odchodne Klara. Wysiadła z dorożki i skierowała się w stronę wejścia do budynku.

Gabriel i Sanz właśnie stamtąd wyszli. Spotkali się z Klarą na ulicy. Gabriel nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczony jej obecnością. Powstrzymywał też satysfakcję. Wewnętrznie czuł, że Klara zatęskniła do śledztwa i jednak się zjawi.

– Jedziemy do domu publicznego. – Uśmiechnął się, zadowolony z udanego branżowego żartu. – Dołączysz?

– Tak – odparła sucho.

Gabriel odprawił Sanza i Taschkego do innego samochodu, by móc być z Klarą sam na sam. Uznał, że lepiej dla młodego, jeśli dowie się gdzie indziej, że to właśnie ta sama kobieta, która wyżyła się na nim przez telefon. Wolał na ten czas trzymać ich na dystans.

Klara i Gabriel pierwsi odjechali spod prezydium. Wybrali drogę przez Neue Sandstraße[31] i Sternstraße[32], do Matthiasstraße[33]. Potem przez Hindenburgbrücke[34] aż do Hundsfelder Straße[35]. Na wysokości Friedewalder Straße[36] auto zaczęło grzęznąć w zmrożonym śniegu. Gabriel jechał powoli. On także miał w pamięci wypadek, który dwa lata temu pozbawił go samochodu. Nie chciał, by ta sytuacja się powtórzyła.

– Gdyby Nakonz Brücke[37] był przejezdny, zaoszczędzilibyśmy czas i paliwo – burknął do siebie. Był tak skupiony na jeździe, że prawie nie rozmawiali.

– Daleko jeszcze? – zapytała sennie Klara.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? – warknął Gabriel. Opracował sobie tę trasę, lecz teraz się pogubił, bo za oknami auta wszystko wyglądało tak samo. Tak samo białe.

– Słyszałaś już? – Spociał się na samą myśl, że mogliby utknąć gdzieś na tym „końcu świata”, i postanowił zmienić temat.

– O czym? – mruknęła.

– Książę Eitel Friedrich miał dziś wypadek kolejowy...

– Przeżył? – zapytała bez zainteresowania.

– Owszem – odparł zrezygowany Gabriel. – Pociąg spłonął, ale księżę przeżył – bąknął. Wiedział, że z rozmowy nic nie będzie.

– To dobrze – powiedziała i zapatrzyła się na przesuwane się w oddali za oknami wiejskie domki. Katastrofy kolejowe i inne wypadki jej nie obchodziły. Szczególnie jeśli dotyczyły członków rodziny Hohenzollernów. Miała własne zmartwienia.

Wtoczyli się do Hundsfeld. Dotarli do małego ryneczku i zaparkowali auto pod obszernym zajazdem z wieżyczką. Jakimś cudem Sanz i Taschke już na nich czekali. Byli tak skupieni na drodze, że ich nie zauważyli. Ale tak to już bywało z pojazdami służbowymi. On swojego forda szanował jak siebie samego.

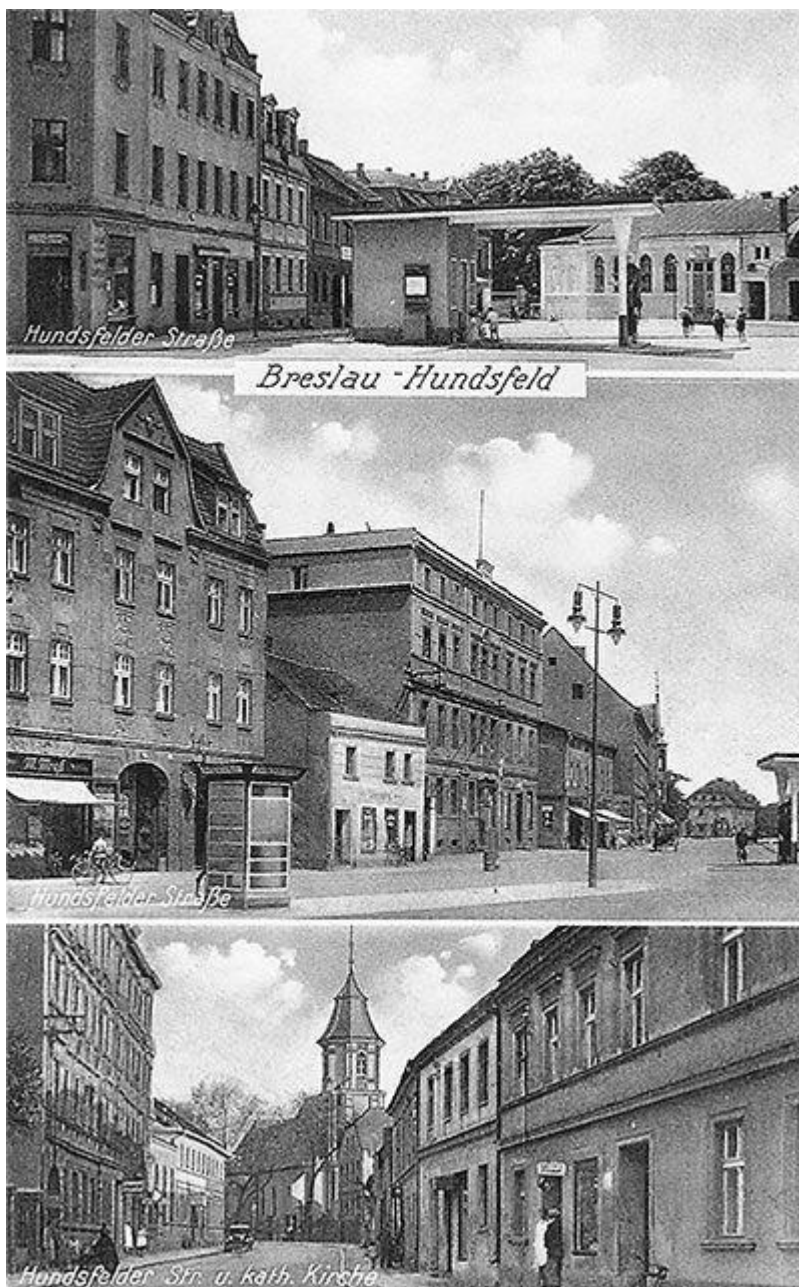
Z zajazdu wyskoczył *Ober*. Być może właściciel.

– Witamy w „Gasthof zum blauen Hirsch”! – wykrzyknął, a z jego ust dobiegła się para. W ogóle cały parował. W zajeździe musiało być ciepło.

– Witamy, policja Breslau – przedstawił ich krótko Gabriel. Miał kiepski nastrój. – Zostawimy auta na kilka minut, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Ależ skąd – zaprzeczył mężczyzna z zakręconym wąsem, unosząc w górę dłonie. Pewnie cieszył się, że nie składają wizyty w jego przybytku. – Zapraszam potem na wspaniałe grzane piwo.

– Najchętniej poszedłbym od razu – powiedział Gabriel i uśmiechnął się odruchowo. Już teraz zaplanował sobie, że wypije duże grzane piwo wieczorem i w końcu spokojnie pójdzie spać.



Hundsfeld, ob. dzielnica Wrocławia – Psie Pole

Przeszli pieszo w kierunku Görlitzer Straße[38]. Podążali nią dość długo, tym bardziej że górna warstwa śniegu nieco stopniała, przez co na całej powierzchni drogi utworzyła się niebezpieczna ślizgawka. Wreszcie zobaczyli cel podróży. Był nim przysadzisty zajazd z napisem „Bier und mehr!” na bocznej fasadzie.

Weszli do środka. W dusznym wnętrzu było ciemno i zalatywało wilgocią. Świeżo zmyta podłoga unosiła wraz z parą zapach butwiejącego drewna. Uroki

zimy. Ale komu z bywalców domów publicznych przeszkadzałby taki szczegół? Grupa skierowała się do sali restauracyjnej. Za barem gruby kelner przecierał kufle.

– Dzień dobry – powiedział, choć nawet na nich nie spojrział. Przestał machać ścierką, gdy przed jego nosem znalazły się policyjne dokumenty.

– Pan Gut? – zapytał Gabriel.

– Na górze, w gabinecie – wyjaśnił skwapliwie. Nadal na nich nie patrzył. – Ile to zajmie? Mamy gości. – *Ober* mrugnął znacząco.

– To zależy od pana Guta – odparł sucho Sanz.

– Dokumenty trzymamy w porządku, wszystkie kompletne i aktualne – zapewnił mężczyzna.

– Niestety. My w innej sprawie... – rzucił Gabriel i jako pierwszy wyszedł z restauracji. Zdezorientowana jego pośpiechem reszta grupy podążyła za nim.

Skierowali się na schody. Na piętrze korytarz dzielił się na dwie równe części. Po lewej drzwi do licznych pokoiów ginęły w ciemnościach holu. Po prawej zaś było tylko jedno wejście, na wprost. Uznali, że zapewne tam mieści się biuro „zajazdu”. Zapukali i nie czekając na zaproszenie, weszli do środka.

W pomieszczeniu przy obszernym biurku siedział pan Gut. Miał okrągłą twarz, zadbany zarost i grube binokle. Lekko łysiał, a ciasny kołnierzyk wpijał mu się w szyję. Jego pulchne, wypielęgnowane dłonie spoczywały na blacie, tak jakby chciał zademonstrować, że nie ma nic do ukrycia.

– Policja – oznajmił od wejścia Gabriel.

– Domyślam się. Tylko wy czujecie się tu jak u siebie. Poza mną, rzecz jasna – powitał ich bez cienia zdenerwowania. Wstał i z szuflady biurka wy dobył kluczyk do sejfu, w którym trzymał papiery prostytutek.

– To nie będzie konieczne – powstrzymał go Sanz i wskazał ręką na jego fotel. Gut przyjrzał mu się czujnie. Gdy znów usiadł, Wehrner wyjął ze skórzanej teczki zdjęcia ofiar. – Jesteśmy tu w sprawie zabójstwa. Może nawet zabójstw.

– O, zabójstwo! W końcu coś ciekawego w tym Breslau. – Gut się rozpromienił. – Matyllda! – krzyknął tak, że Klara aż podskoczyła. Do gabinetu, który musiał być częścią większego mieszkania, z pokoju obok weszła kobieta. Była albo bardzo pijana, albo odurzona opium. Miała rozbiegany wzrok, a gdy szła, balansowała, jakby podłoga była liną zawieszoną pod wysokim cyrkowym dachem.

– Krzesła przynieś. Cztery – zarządził Gut, zwracając się do kobiety po polsku. – Matyllda słabo mówi. W ogóle. Po niemiecku jeszcze gorzej. Zaraz przyniesie coś do siedzenia – wyjaśnił policjantom.

– Dwa wystarczą – powiedział Sanz i ruszył, by pomóc kobiecie. Ale ona tylko głupio się zaśmiała, zaś Gut powstrzymał go uprzejmym, acz stanowczym ruchem ręki. Poruszył zabawnie węsami, choć sam nie był chyba typem wesołka czy nieszkodliwego żartownisia. Raczej sukinsyna. A przynajmniej tak określiłaby go Klara.

Gdy Matylda przyniosła dwa krzesła naraz, zajęła miejsce za swoim pryncypałem. Ciężko sapała, ale durny uśmieszek nie zniknął z jej twarzy. Klara i Gabriel, wpatrzeni w nią jak w jakieś kuriozum, usiedli przy biurku, a Sanz położył na nim zdjęcie ostatniej ofiary.

– Zna pan tę kobietę? – zapytał.

– Nie – odparł Gut, obejrzawszy pobieżnie fotografię. – Nie żyje? Szkoda... Miałbym z niej pożytek.

– Nazywała się Dorota Ostropolska, a przynajmniej tak przypuszczamy – dodał Gabriel.

Sutener poprawił binokle i uśmiechnął się, uwydatniając tym samym podbródek.

– *Pardon*, gdzie moje maniery? – wtrącił. – Oto Matylda Ulryk. Najbrzydsza dziwka, jaką kiedykolwiek widziałem. Wy też, nie wstyďte się przyznać – stwierdził z satysfakcją, tym większą, im bardziej zgorzona była Klara. Choć przed chwilą nazwała go w myślach sukinsynem. – Matylda zna wszystkie prostytutki, które dla mnie pracowały – zapewnił. – Widziałaś tę panią? – zapytał po polsku i spojrzał na nich, jakby oczekiwał puenty dobrego dowcipu. Ale Matylda tylko idiotycznie się zaśmiała i czknęła, a Gut zawtórował jej salwą chichotu.

– Może tę rozpozna? – kontynuował Sanz i położył na biurku zdjęcie poprzedniej ofiary.

Ale Gut odsunął fotografię na bok, tylko przelotnie rzucając na nie okiem. Zagapił się za to na Klarę.

– Podobna do jednej z tutejszych dziewczyn – oznajmił, mimo że z pewnością nie opisywał teraz kobiety ze zdjęcia. Chodziło mu tylko o to, by zgorznieć, jak mu się wydawało, najslabsze ogniwo tego zespołu. – Mojej greckiej bogini. Ma na imię Atena. W cudowny sposób, proszę ja was, potrafi przyjąć pięciu interesantów za jednym zamachem. Zastanawiam się, jak to robi? Bo w końcu ile ona ma dziur?

– Wystarczy... – przerwał mu Sanz.

– Nie licząc nosa oczywiście – kontynuował niewzruszony Gut. – Ale z tego, co wiem, ma teraz gości. Tym razem skromnie – dwóch. Martwa raczej by ich nie przyjęła, nieprawdaż? – skierował pytanie do Klary, która powoli zaczynała rozumieć, dlaczego kobiety nie pracują w policji.

Matylda, która najwyraźniej nie rozumiała po niemiecku zbyt dobrze, nie wiedzieć czemu chichotała zza pleców swojego pracodawcy.

– Dorota Ostropolska podpisała się na sukni – zaznaczył Sanz.

– Kurwy tak robią – przytaknął Gut. – Moje! – krzyknął. – Podpisałam! – Poślinił palec i narysował nim na biurku znak „x”.

– Wewnątrz widniało nazwisko krawca. Zygadlewicz – powiedziała Klara,

za wszelką cenę starając się ukryć zażenowanie.

– Cygadlewic – przedrzeźniał jej akcent. – Jesteś strasznie słodka. Pracujesz w policji? – Podparł brodę na dłoni. – A co tam robisz?

– Zna pan nazwisko tego rzemieślnika? – przerwał mu coraz bardziej poirytowany Gabriel.

– Znam. Sukieneczkę miała nieszczególnie drogą. Choć mniej obrotną dziewczkę nie byłoby na nią stać – powiedział sutener i zrobił „smutną minę”. Jakby jej współczuł. Oczywiście sukienki, nie śmierci. – Ale ten fachura od jakiegoś czasu... nie żyje. Szył w Posen. Poznaniu, nie? – Zaakcentował polską nazwę tego miasta. – Jedna z moich pań ma od niego... kreacje. Ale jest strasznie stara. I pani, i jej suknie. Legenda głosi, że robiła dobrze w latrynie na dworze króla Kraka. Pewnie nie pamięta nawet, że nazywa się Świątkowska. – Wybuchnął śmiechem, a stojąca za nim Matylda zawtórowała mu chrapliwie. Bawił go fakt, że nazwisko, które podał, miało trudną pisownię. Gabriel aż spocił się nad notesem, usiłując je zapisać.

– Może któraś z dziewczyn mogłaby rzucić okiem na te zdjęcia? – zasugerował Taschke. Dotąd się nie odzywał. Po raz pierwszy uczestniczył w poważnym przesłuchaniu. Akurat tak musiało wyglądać. Widać było, że on też był lekko zszokowany.

– Jest jeszcze jedna. Wścibska, manipulantka... Piskoproń. Może mogłaby pomóc? – Gut znów spojrzał na nich w taki sposób, że nietrudno było się domyślić, że z nich drwi. – Gdyby tylko nie była ślepa... – Parsknął, choć ten żart już go tak nie ubawił. Odchylił się na fotelu.

– Koniec przedstawienia, panie Gut. Skoro to nie żadna z pańskich dziewczyn, może chociaż powie nam pan, czy w Breslau jest jeszcze jakiś dom publiczny, który zatrudnia kobiety z byłych terenów polskich?

– Byłych terenów polskich... – powtórzył Gut, tym razem bez cienia uśmiechu. – Ładnie ci to brzmi, zaborco? – zapytał po polsku. – Nie mam pojęcia – odparł po niemiecku. – Nie śledzę poczynań konkurencji.

– W takim razie w tej chwili to wszystko – zakończył Gabriel, wściekły, bo zmarnował tu czas. I paliwo na dojazd.

Taschke wyszedł, a Sanz stanął w drzwiach, by przepuścić szefa i Klarę. Ta jednak nie podniosła się z krzesła.

– Klaro? – ponaglił ją Gabriel.

– Jest pan okropnym, chamskim i bezczelnym człowiekiem, panie Gut – powiedziała do właściciela. Dała upust swojemu zgorzeniu. A rzadko była zgorzona. – Traktuje pan kobiety jak towar, i to podrzędnego sortu. Jeszcze się pan doczeka czasów, w których zacniemy być traktowane na równi z mężczyznami.

– Szanowna pani – zwrócił się do niej łagodnie. – Pani jest kobietą, do tego

piękną. Przyznaję. Ale to? – Ogarnął ręką swoje włosy. – To nie są kobiety. To kurwy. Gdy zechcę, puszczę ten zajazd z dymem, a drzwi zamknę od zewnątrz.

Szli w ciszy. Pod stopami trzeszczał śnieg. Znow zrobiło się zimniej i zaczęło się ściemniać.

– Gdybym miała dziś wskazać mordercę, powiedziałabym, że to on – odezwała się Klara, w której głowie wciąż dźwięczały słowa Guta.

Ale nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy odczuwali niesmak i nie czuli się na siłach, by komentować zachowanie tego grubiańskiego Polaka.

Dotarli do samochodów. Sanz i Taschke pojechali do prezydium, a Gabriel odwiózł Klarę do domu.

– Jesteśmy nigdzie – podsumował, gdy po kilku kwadransach milczenia w końcu zaparkował auto na Dahnstrasse.

– Wszystko się jakoś rozwiąże – pocieszyła go Klara i chciała wysiąść.

Gabriel przytrzymał ją za rękę.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział.

– Ja też – odparła.

– Pomożesz mi? – zapytał.

– Potrzebuję czasu. Już ci mówiłam.

– Nie mamy go – naciskał.

Ale Klara bez słowa wysiadła z samochodu i odeszła w stronę domu.

Pierwsza próba w Wielkim Poście wypadła niespodziewanie udanie. Inge była dobrej myśli. Założyła, że jeśli w sobotę wszyscy się postarają, niedziela będzie sukcesem. Może nie powinna była rozpatrywać mszy w kategorii koncertu, ale przecież czy nie o tym mówił na początku Franz? Chciał, by nabożeństwa kipiały gorliwością wyrażaną przez piękno. Brakowało mu więc tylko muzyki, która zapewniłaby jego wiernym modlitewną ekstazę. W czwartkowy późny wieczór, bo duchowny nie puścił jej od razu po próbie, zapraszając jak poprzednio na herbatę, porządkowała nuty, sprawdzając, czy czegoś jeszcze nie powinna skrócić lub wymienić. Przepastna, znoszona torba dźwigała już wiele partytur. Skóra trochę się poprzecierała, pasek od zapięcia nieco się odpruł, a podszywka całkiem podarła. Inge popatrzyła na swój stary „toból” i pomyślała, że gdy trochę odłoży, kupi sobie nową, elegancką torbę od Louisa Prachta.

Składała nuty do teczki. Gdy podniosła jedną z partytur, ujrzała wizytówkę. Spojrzała na nią jak na pajaka, który wypadł z garnka, w którym zamierzała ugotować zupę. Niemal się wzdrygnęła. Słowa Anny o pracy i uwielbieniu zbiegły się w czasie z jej myślami o oszczędzaniu. A gdyby tak nie musiała odkładać, bo nagle okazałoby się, że znalazła jeszcze jedno źródło dochodów? Choć nazwa sceny stała w opozycji do jej kościelnej posady, Inge pomyślała o Annie. Ona przecież także śpiewała w chórze kościelnym. Może nazwa klubu była po prostu dziełem jakiegoś nieudacznika? Lub wręcz przeciwnie! Geniusza, który wiedział,

jak ściągnąć klientów. Rozważania nad sensem odwiedzenia tego miejsca sprowadziły Inge na inny tor myślenia. Przypomniała sobie rozmowę z Klarą i podniosła z podłogi kartonik. Zbyt wiele razy już posłuchała dobrych rad, które do nikąd jej nie zaprowadziły. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i dobremu smakowi postanowiła zajrzeć następnego dnia do „Roteerdbeere” i sprawdzić, czy ma szansę na dodatkowy zarobek.

Przyszedł piątek. Wizytówka informowała, że występy zaczynają się o dziewiątej wieczorem. Inge nie miała zamiaru bawić w klubie zbyt długo. Nie chciała też od razu dać się zauważyć – Annie lub, skoro był to klub teatralny, jakiemuś dawnemu koledze po fachu. Korzystając z odwilży i nieco wyższej temperatury, wyjęła z szafy palto, raczej jesienne niż zimowe. Chciała pozostać niezauważona, obejrzyć występ i jak najszybciej wrócić do domu. Musiała być przytomna na próbie, od której zależał jej niedzielny debiut.

Nie mogła też przemoknąć. I tak wystarczająco ryzykowała, wkładając cieńszy płaszcz. Już z rana nasmarowała buty ługiem i ogrzała nad piecem, by dobrze je zabezpieczyć przed wilgocią. Przygotowała sobie zgrabną torebkę i eleganckie, rzadko noszone rękawiczki. Przyczerniła brwi i rzęsy, ale dyskretnie. Nie chciała wyglądać wyzywająco. Na usta i policzki nałożyła trochę wazeliny, by pięknie błyszczały i były gładkie jak porcelana. Włożyła mocno wydekoltowaną suknię z falbaniastym kołnierzem w kolorze starego złota. Potem włożyła zdobny kapelusz, narzuciła płaszcz i wyszła.

Na szczęście wbrew jej czarnowidztwu nadjechał tramwaj. Wsiadła z niego tuż obok Niepoldshof. Dotarła do sporego podwórza obudowanego wysokimi kamienicami. „Roteerdbeere” nie trzeba było długo wypatrywać. Rozświetlone drzwi i muzyka dobiegająca ze środka zwracały uwagę już z daleka. Przekroczyła próg i podążyła ku szatniarzowi zbierającemu okrycia wierzchnie. Było tuż przed dziewiątą i szatnia niemal pękała w szwach. Zabawnie napuszczony staruszek ze starannie wypomadowanym wąsem odebrał od niej płaszcz. Podziękowała mu sporym napiwkem. Bywała w takich miejscach kiedyś, gdy było ją na to stać. Wiedziała, jak powinna się zachować.

– Dziękuję uprzejmie – powiedział i skłonił się nisko.

– Czy występy zaczną się punktualnie? – zapytała. Była trochę podenerwowana. Może dlatego, że zaprosiła ją tu osoba, która nie darzyła jej szczególną sympatią. Zresztą z wzajemnością.

– Jak codziennie. Poza wtorkami. We wtorki mamy zamknięte! – odparł uprzejmie i znów się ukłonił.

Inge wdrapała się na pierwsze piętro i zajrzała do głównej sali. Przy ścianie stała scena. Dość duża jak na gabaryty całego klubu. Kiczowata scenografia nie wróżyła wysokiego poziomu artystycznego, choć, o dziwo, publiczność wyglądała na elegancką i dość zamożną. Na scenie stały bielony stoliczek, metalowe krzesło

z ozdobnym oparciem, pewnie bardzo niewygodnym, gipsowy aniołek na greckiej kolumnie i nieduże przepierzenie, z za którego wychodzili artyści, pokryte sztucznym bluszczem. Inge się rozejrzała. Większość miejsc była zajęta, lecz w rogu sali stał samotny stolik, przy którym postanowiła usiąść. Szybko zorientowała się, że ma stąd kiepski widok. Zapewne dlatego miejsce pozostawało puste. Niedługo jednak cieszyła się spokojem. Już po chwili zobaczyła kelnera zmierzającego ku niej z dziarską miną. Zanim zdążył jej cokolwiek zaproponować, wyciągnęła ku niemu wyprostowaną dłoń.

– Poproszę wodę – powiedziała chłodno.

– Tak jest – odparł niewzruszony kelner i skinął głową. Choć pewnie swoje pomyślał.

Inge wypatrywała Anny. Ale znajomej nigdzie nie było. Mówiła, że będzie występować, więc zapewne szykowała się do wyjścia na scenę. Tylko co można zaprezentować na takiej scenie? Śpiewaczka ogarnęła wzrokiem salę. Większość publiczności stanowili mężczyźni. Wszyscy bardzo się niecierpliwi. Szurali nerwowo nogami i dość szybko osuszali kufle. Niektórym towarzyszyły kobiety, lecz były tu w zdecydowanej mniejszości. Półmrok spowijający strefę dla publiczności nie ukrył wszystkiego. Wiele z detali dało się zauważyć. Jak grube portfele, zdobne sygnety, drogie cylindry czy po prostu tuszę, wskazującą na dobrobyt i małą aktywność fizyczną. Ale pod ścianą Inge zauważyła jegomościa, który odbiegał wyglądem od innych mężczyzn na sali. Szczupły, krótko ostrzyżony i gładko ogolony. Nie pił, jedynie obserwował. Musiał być tu kimś ważnym, bo gdy podchodziły do niego osoby z obsługi, stawały na baczność jak przed szefem. Być może właśnie tak było. Miał umęczony wyraz twarzy i wyglądał, jakby siedział tu za karę. Jego dyskretne, senne ruchy sprawiały, że przypominał kota, który dopiero się obudził i nie jest zadowolony, że ktoś przerwał mu drzemkę. Inge wpatrywała się w tego jegomościa o surowym, pooranym bruzdami obliczu, aż w końcu ją zauważył i wbił w nią zimne spojrzenie. Natychmiast spuściła wzrok, zawstydzona. Chwilę później tę niezręczną sytuację przerwał konferansjer, który wpadł na scenę jak burza.

– Drogie panie, drodzy panowie! – wykrzyknął. – Przed wami niezrównane, wybitne i smakowite Erdbeerchen! – Zszedł ze sceny, wydatnie wypinając pośladki i klaszcząc. Z drugiej zaś strony na estradę wbiegły artystki. Przez moment Inge nie wiedziała, jak powinna się zachować. Kobiety miały na sobie jedynie kuse szmatki – bo sukienkami tego nazwać nie było można – które odkrywały niemal całe nogi, odsłaniając paski do pończoch i nagie uda. Dziewczyny ustawiły się w półkole, a na scenę weszła solistka, nagrodzona na wstępie gromkimi brawami. Miała na sobie jedynie pończochy i gorset. Jej białe piersi przykrywał tylko wąski pasek materiału. Za to na głowie dźwigała spory pióropusz, przez który musiała stać nieruchomo. Smukły pianista zagrał pierwsze dźwięki wstępu. Ku jeszcze

większemu zgorszeniu Inge utwór okazał się jedną z jej ulubionych arii Rossiniego.

Una voce poco fa, qui nel cor mi risuonò[39] – zaczęła śpiewaczka i spojrzała wymownie na swój obfity biust. Publiczność dosłownie ryknęła śmiechem, zagłuszając ją na chwilę. W przeciwieństwie do tych wszystkich entuzjastów Inge czuła się urażona. Nie tylko nagością kobiet, ale i faktem, że obrażają swoją interpretacją *Cyrulika sewilskiego*. Sama śpiewała kiedyś partię Rozymy i miała do niej ogromny szacunek. Rozumiała, że ma do czynienia z operą *buffa*, ale każdy komizm ma przecież granice.

Kelner przyniósł jej wodę, którą wypła niemal od razu, duszkiem. Miała ochotę uciekać, ale ciasno poustawiane stoliki stanowiły sporą przeszkodę. Poza tym zwróciłaby na siebie uwagę, a przecież szła tu z zamiarem zachowania *incognito*.

Ma, ma se mi toccano dov'è il mio debole sarò una vipera[40] – kontynuowała śpiewaczka, podczas gdy pozostałe klepały ją w pupę. Opędzała się od nich komicznie, a publiczność dosłownie zataczała się ze śmiechu. Choć zgorszona, Inge musiała przyznać, że sopranistka doskonale wyśpiewywała wszystkie trudne koloratury. Na ostatniej kadencji koleżanki zerwały z biustu solistki szmatkę. Swój występ skończyła więc nieoczekiwanym, trzykreślnym *f*, mocno wykrzyczanym dla lepszego efektu. Wybiegła ze sceny nagradzana salwami śmiechu, gromkimi brawami i okrzykami zachwytu. Inge zaś wachlowała się otwartą dłonią, kompletnie zde gustowana.

Gdy na scenie ponownie pojawił się zespół, tym razem z inną solistką, Inge wiedziała, że będzie tylko gorzej.

Come scoglio, immoto resta, contra i venti, e la tempesta[41] – zaintonowała śpiewaczka, a publiczność znów ryknęła śmiechem, gdy kobieta dotknęła jędrnego biustu. Kelner ponownie podszedł do Inge, która oddała mu szklankę i odprawiła go niedbałym ruchem. Od razu położyła na stole pieniądze, by widział, że ma się więcej nie zbliżać. Dołożyła obfity napiwek, chcąc wynagrodzić mu fakt, że nie zarobi przy jej stoliku. Z bólem dosłuchała Mozartowskiej Fiordiligi, zarzekającej się, że wraz z siostrą pozostaną wierne swoim narzeczonym. Ale, jak wynikało z przewrotnego libretta *Così fan tutte*, stało się inaczej. No cóż... Jeśli prowadziła się tak jak śpiewaczka, która właśnie schodziła ze sceny wśród gromkich okrzyków zadowolenia, nic dziwnego, że w końcu nie wytrzymała naporu „wiatrów i burz...”. Pod koniec dłużącej się arii Inge nieco ochłonęła, a jej oburzenie ustąpiło obojętności. Pomyślała, że zapewne niczego gorszego już nie zobaczy i spróbowała pogodzić się z faktem, że padła ofiarą bezczelnego żartu. Domyślała się, że tak naprawdę Anna nie chciała ściągnąć jej do burleski. Przecież łatwo było się domyślić, że Inge traktuje śpiewanie o wiele poważniej niż dziewczyny z „Erdebeerchen”.

Po tym, jak Fiordiligi opuściła podium, klimat nieco się zmienił. Światło

pociemniało, a na estradzie zabrzmiały dźwięki gitary. Ten urokliwy duet, przypisywany Monteverdiemu, Inge także dobrze знаła. Na scenie pojawiły się dwie solistki spowite w tuniki stylizowane na antyczne. W jednej z nich Inge rozpoznała Annę, która wcieliła się w rolę Nerona. Równie niewysoka i drobna Poppea miała zgrabne nogi, odsłonięte niemal do pośladków.

– *Pur ti miro* – zagaiła Poppea.

– *Pur ti godo* – odparł Neron.

– *Pur ti stringo*.

– *Pur t'annodo*[42].

Z każdym zdaniem kobiety zbliżały się do siebie. W końcu wpadły w swoje objęcia. Neron, którego grała Anna, z impetem przygarnął Poppeę, wodząc dłońmi po jej ciele, odsłaniając pośladki, rozsznurowując tunikę na dekolcie. Po sali rozeszły się ciche westchnienia. Nie były to jednak jęki zachwytu, lecz podniecenia. W powietrzu zaczął się unosić kwaśny zapach potu, docierając do nozdrzy Inge. Otrzeźwił ją nieco, bo do tej pory sama nie mogła oderwać wzroku od śpiewaczek, odważnie poczynających sobie na scenie. W drugiej części duetu kobiety zaprezentowały *gigue*, popisując się nie tylko pięknymi nogami, ale także kunsztem tanecznym. Lecz w powrocie głównego tematu błyszczące od potu artystki znów splotły się w uścisku, a ich usta zetknęły w erotycznym *quasi* pocałunku. Dotrwały w tej pozycji do końca, śpiewając o pożądaniu i wolności. W końcu nie po to Neron wygnał Ottavię, by podziwiać Poppeę stojącą na cokole... Nawet Inge mogła się zgodzić z tą interpretacją, tym bardziej że w pewnym sensie przywykła do szczególnej atmosfery tego miejsca. Mimo to, gdy rozemocjonowany konferansjer – który wskoczył na scenę, dopiero gdy Anna i jej sceniczna partnerka ukloniły się po raz czwarty – by ogłosić przerwę, Inge nie traciła czasu. Zebrała się najszybciej, jak umiała, i wystrzeliła w stronę szatni.

– Już pani idzie? – zapytał uprzejmy szatniarz. – Najlepsze dopiero przed panią! – zapewnił.

– Niestety, śpieszę się – skłamała, wręczając mu kontramarkę z wygrawerowanym numerem trzydzieści dwa.

– Szkoda. Teraz pewnie będzie dużo tańca. – Staruszek uśmiechał się wesoło. Pewnie zamykał szatnię na czas występów i podglądał sceniczne ekscesy rodem zza oceanu czy z Paryża.

– Niestety – powiedziała, gdy akurat przejeżdżały obok niej dwie dziewczyny na wrotkach, odziane w kuse sukieneczki i pióropusze. – Muszę iść. – Utwierdziła samą siebie w tym, że podjęła słuszną decyzję.

Wybiegła przed klub. Zimne powietrze dobrze jej zrobiło. Woń potu, zaczerwienione od emocji twarze widzów, przyśpieszone oddechy – to wszystko zaczęło działać na nią deprymująco. Nawet nie zamierzała się zastanawiać, do czego jeszcze dochodziło później, zarówno na scenie „Roteerdbeere”, jak i wśród

sluchaczy. Odeszła kilka kroków. Niepoldshof był pogrążony w mroku, rozpraszonym jedynie światem padającym tu z okien. Przeszła kilka kroków, śnieg chrupał pod jej stopami.

– Nie podobało ci się? – Usłyszała za plecami znajomy głos.

Odwróciła się i ujrzała Annę, opatuloną grubym futrem i w cienkich pantofelkach.

– Śpiewasz naprawdę pięknie – przyznała Inge. Zazdrościła jej tej odwagi i buty. Gdyby miała choć połowę jej przebojowości, śpiewałaby teraz w Berlinie albo Mediolanie.

– To nie to samo co chór kościelny – skwitowała Anna. Dopiero teraz Inge zobaczyła, że kobieta pali papierosa.

– Masz rację – przytaknęła Inge, nie hamując nerwowego śmiechu.

– Może spróbujesz? – zachęcała ją Anna.

– Nie, jakoś... To chyba nie mój styl.

– Jesteś zgorszona – stwierdziła Anna. – Dziwne...

– Dziwne? – oburzyła się Inge. – Roszyna, Fiordiligi i Poppea mają szmaty zamiast sukni, płasają po scenie, odsłaniając ciało, zniekształcają operowe libretta i klepią się po pupach. Dla mnie zgorszenie jest jak najbardziej na miejscu...

– Tak samo jak uwodzenie księdza – powiedziała ostro Anna. Inge dosłownie zatkało. Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna riposta.

– Ja go nie uwodzę... – broniła się.

– Tylko on ciebie. Nawzajem się uwodzicie. To takie niewinne w porównaniu z gołymi babami, które nic nie potrafią poza pokazywaniem tyłka... Prawda? – zadrwiła Anna.

– Przeszkadza ci to?! – wybuchła Inge. Echo jej słów poniosło się po ścianach kamienic w Niepoldshof.

– Zacznie mi przeszkadzać, jeśli przez ciebie stracę posadę. Potrzebuję jej tak samo jak ty – powiedziała Anna i rzuciła papierosa na bruk. Zagasiła go pantoflem i wypuściła kłęb dymu w stronę Inge. – Do niedzieli – pożegnała ją chłodno i weszła do klubu.

Rozgniewana Inge patrzyła za nią, jakby miała nadzieję, że kobieta wróci, by jeszcze porozmawiać. Czowała potrzebę wytłumaczenia jej, że Franz wcale się nią nie interesuje. Właściwie musiała to sobie sama wytłumaczyć. Bała się, że powiedziała za dużo. Ale bezpowrotnie straciła szansę na cofnięcie swoich słów. Z tą świadomością podreptała w stronę domu. Potrzebowała długiego spaceru. Właśnie nadarzała się okazja.

27 Psie Pole, obecnie dzielnica Wrocławia.

28 Poczdam.

29 Ul. J. Kochanowskiego.

30 Ul. Szewska.

- 31 Ul. św Jadwigi.
- 32 Ul. H. Sienkiewicza.
- 33 Ul. Jedności Narodowej.
- 34 Mosty Warszawskie.
- 35 Ul. Bolesława Krzywoustego.
- 36 Al. A. Brücknera.
- 37 Mosty Jagiellońskie.
- 38 Ul. Gorlicka.
- 39 Jakiś głos przed chwilą zabrzmiał w moim sercu.
- 40 Ale jeśli dotkną mojego czułego punktu, będę jak zmija.
- 41 Jak skała staniemy niewzruszone przeciwko wiatrom i burzy.
- 42 Uwielbiam cię, ściskam, pożądam i więzę.

VIII

Nathaniel dotykał ciepłej, kleistej cieczy. Pół godziny temu zabił gęś. Strzelił do niej z własnoręcznie zrobionego łuku (w zabawie, mając na głowie indiański pióropusz). Nie miał zamiaru pozbawiać jej życia, ale, jak to mawiała jego matka, Bóg miał wobec ptaka swoje plany. Dlatego strzała ugodziła go w pierś, poniżej szyi, i wbiła się na kilka centymetrów w głąb ciała. Z początku zdezorientowane zwierzę zaczęło biegać po podwórzu, wrzeszcząc z bólu. Nathaniel modlił się, by matka – która zapewne miała wobec gęsi własne, równie mordercze plany – nie zobaczyła, co zrobił. Ostatecznie ptak padł na środku podwórza, a Nathaniel, niewiele myśląc, postanowił zatrzeć ślady zbrodni.

Plan pozbycia się zwłok okazał się wyzwaniem. Gęś była cięższa, niż przypuszczał. Dlatego upłynęło sporo czasu, zanim zaciągnął ją nad strumień. Zmordowany usiadł koło swej ofiary i ciężko sapał. Spojrzał na nią umęczony, wiedząc, że czeka go jeszcze wrzucenie jej do rzeki i puszczenie z prądem. Wkrótce jednak zmienił zdanie. Omamił go widok powiększającej się plamy wokół rany. Gdy wyjął strzałę z korpusu, krew zalała białe pióra. Zanurzył w niej dłoń. Była przyjemna w dotyku. Gęsta i ciepła. Spojrzał na swoje ręce, zupełnie oczarowany. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł. Pognał więc do domu.

Wrócił nad rzekę i przyjrzał się swemu dziełu. Przyniósł ze sobą wielki nóż, którym matka zwykła kroić mięso. Rozplątał nim gęś, nie mogąc powstrzymać ciekawości. Wnętrznosci wypłynęły na trawę, a on o mało nie zwymiotował. Smród uderzył go w nozdrza z taką siłą, że Nathaniel rzucił nóż i odbiegł w pobliskie zarośla. Ale mdłości ustały, a ciekawość okazała się silniejsza. W ciągu całego swojego trzynastoletniego życia nie widział czegoś podobnego. Powrócił do gęsi. Nie czuł już żadnego zapachu, a jedynie fascynację. Najbardziej podobały mu się jej martwe oczy. Podniósł głowę ptaka i puścił. Opadła z głuchym tąpnięciem na kamyki na brzegu rzeki. Zrobił to jeszcze kilka razy, aż w końcu przestało go to bawić. Wtedy poszedł o krok dalej. Zaczął układać gęś w różnych pozycjach. Rozłożył jej skrzydła. Otworzył dziób i wetknął weń kamień. Okręcił jej szyję jelitem. Mocował się z nogami ptaka, aż coś w nich chrupnęło i w końcu uzyskał pożądany efekt. To, co zrobił, bardzo go podnieciło. Ale musiał zatrzymać ten fakt dla siebie. Nie tylko dlatego, że zabił zwierzę, które być może miało zostać sprzedane na pobliskim targu lub zabite na niedzielny obiad, ale dlatego, że jego matka uważała podniecenie za grzech. Gdy jeszcze nie wiedział, czym jest wzwód, zwierzył się jej... Od tej pory przez równe trzy miesiące czytała mu Biblię nie tylko przed snem, ale także w nocy, trzymając rękę na jego przyrodzeniu.

Powtarzał sobie, że to dla jego dobra. Nie mógł jednak opędzić się od myśli, że tak naprawdę ona robi to dla własnej przyjemności. W końcu dała tego dowód. Gdy przyłapała go w ciągu dnia zaspokajającego się w stodole, powiedziała: „Pomogę ci, Nathanielu”. I to, co zrobiła, było gorsze od wszystkiego, co go spotkało z jej strony. Nieporównywalnie bardziej obrzydliwe od każdego gorszącego zdania, które wypowiedziała, bicia czy pilnowania, by nie miał zdrożnych snów. Przez wiele dni czuł się brudny. Unikał jej. Bał się. I nigdy już „tego” nie zrobił, by nie dać jej pretekstu. Lecz teraz, po kilku miesiącach bez jej „pomocy”, po akcie zabójstwa, czuł się silny. Spodobało mu się. Po kilku godzinach zabawy zaciągnął gęś do rzeki, pozbywając się dowodów zbrodni. Ale na tym nie poprzestał.

Bernard przełknął kęs, który omal nie stanął mu w gardle. Przez cały obiad Klara patrzyła na niego krzywo. Czuł na sobie jej zimny, wyzywający wzrok. Wiedział, że to wróży awanturę. Nie miał tylko pojęcia dlaczego? Przecież prawie nie bywał w domu. Żona często zapewniała go, że to rozumie, choć dziś wyglądało, że jednak zapomniała.

– Może Gerta zabierze Marie i Fritza na spacer? – zaproponował zaraz po tym, jak gosposia zdążyła podać deser. – Jest jeszcze jasno, a dzieci potrzebują świeżego powietrza. Pójdźcie razem z Christianem.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła Gerta, widząc, co się święci. Pan zawsze miał na tyle taktu, by uchronić dzieci od podobnych scen. Zupełnie odwrotnie niż pani, która wybierała zawsze najmniej odpowiednią porę na kłótnię. Chcąc oszczędzić maluchom sprzeczki rodziców, gosposia przygotowała wszystko w trakcie, gdy Fritz i Marie pałaszowali ciasto.

Zaraz po podwieczorku, kiedy Gerta i Christian zabrali dzieci na sanki, państwo Schulzowie nadal siedzieli przy stole, popijając kawę. Bernard czekał. Wiedział, że to Klara zechce zacząć. Poza tym wołał się nie odzywać w nadziei, że jej przejdzie.

– Jak w pracy? – zapytała Klara, mimowolnie wpuszczając powietrze w głos.

– Świetnie, jak zawsze – odrzekł zrównoważonym tonem.

– A wczoraj? – Upiła łyk kawy i spojrzała na niego badawczo znad filiżanki.

– Mieliśmy zabieg, dość długi. Ale czy to cię naprawdę interesuje?

– Och, bardzo! A przedwczoraj? – Uśmiechnęła się kwaśno. Wybuch zbliżał się nieuchronnie.

– Przedwczoraj? – Zastanowił się. – Chyba nic poważnego. Nikt nie umarł. – Bernard zaśmiał się nerwowo.

– Nikt nie umarł, hm... – powtórzyła ironicznie Klara. – A w poniedziałek?

– Tym razem wbiła w niego wzrok z takim impetem, że mógłby przysiąc, iż poczuł jego uderzenie.

– W poniedziałek...? – Zmrużył oczy, starając się sobie przypomnieć.

– Tak, w poniedziałek, gdy wyszedłeś bardzo wcześnie, a wróciłeś po

jedenastej w nocy. Jak było? – naciskała Klara, a ton jej głosu stawał się coraz bardziej agresywny.

– Przypomnij mi, bo przecież wiesz, o co chcesz się sprzeczać.

– Może o to, że wcale cię nie było w klinice?! – Wstała z krzesła.

Zapadła cisza. Bernard podniósł głowę. Mimo że górowała nad stołem, chciał popatrzeć na nią z góry.

– I kto to mówi? – Ledwo poruszał ustami, ale jego głos był jak gong.

Klara wiedziała, że Bernard będzie chciał jej wytknąć grzechy.

– Zmieniłam się – odparła.

– Ja też, jak widzisz. – Wstał i podszedł do barku. Po raz pierwszy od dawna to on, a nie ona, nalał sobie kieliszek.

– Jak możesz mówić o tym tak spokojnie?

– Skąd wiesz, o czym mówię? – Znów tajemniczy ton. Bernard był spokojny, a Klarę dosłownie nosiło. – Teraz przynajmniej wiesz, co czułem, gdy dowadywałem się o twoich „przygodach”. Każdej jednej. Tu chyba wyjaśnień nie trzeba?

– I to ma być zemsta, tak? – Serce mocno jej zabiło. Adrenalina... jej też dawno nie było. A teraz się zjawiała. Wybuchła w jej brzuchu jak podziemne źródło. Do tego doszły owe tępe uderzenia, które doprowadzały ją do szału.

– Nie jestem mściwy. Niczego nie robię po to, by cię skrzywdzić, jakbyś nie zauważyła.

– Więc jak wytłumaczysz zdradę? – Nie wytrzymała w końcu.

– Klaro, a jak ty byś ją wytłumaczyła? – Upił spory łyk trunku. – Czego ci brakowało, że wróciłaś do Dietera? Namiętności? Komplementów? Przecież wiedziałaś, jaki jestem. Nie zapieraj się – powiedział, gdy otworzyła usta, by mu przerwać. Zrezygnowała więc i usiadła. – Zgodziłem się, by tu przychodził, choć wiem, co was łączy. Chciałem, abyś była zdrowa. To ja poświęciłem się dla ciebie. Po raz kolejny zresztą. A ty dzisiaj... – odstawił szklankę na stół – ...robisz mi wymówki, choć nie wiesz, co robiłem w poniedziałek. Każdy sądzi podług siebie.

– Tak się składa, że kobieta, z którą się widujesz, długowłosa blondynka, nie zawsze starannie upina fryzurę – wypaliła. Trzymała asa w rękawie na tę specjalną okazję. Chciała, żeby go zabolalo. – Do tego ten zapach. Nie najlepszy. Nie wiem, z kim się zadałeś, ale doradź jej, by zmieniła perfumy.

Bernard zaśmiał się i wpatrzył w podłogę.

– Śmiejesz się? – kontynuowała zacietrzewiona Klara. – W takim razie coś ci powiem. Dieter bardzo mi zobojeźniał. Za to wróciła moja inna stara miłość.

Tym razem Bernard zmierzył ją wzrokiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Zaniepokoił się. Wyraźnie to słyszała.

– Nudzi mi się, gdy zostawiasz mnie na całe dni i, jak się okazuje, nie pracujesz. Zaczęłam więc pomagać przy śledztwie – wyśpiewała.

Bernard pochylił się nad stołem.

– Drugi raz cię nie ocalę – powiedział szeptem. – A być może i mnie to pozbawi życia.

– Zawsze masz kochankę...

– Nie mam – przerwał jej. – Nie mam kochanki, romansu i czego tam sobie wymyśliłaś. Jesteś kiepskim detektywem, zapatrzonym w czubek własnego nosa. Liczy się dla ciebie tylko twoje własne szczęście – wycodził.

– Ciekawe, jak mi wyjaśnisz...

– Zainwestowałem. – Znowu nie dał jej skończyć. Usiadł i opróżnił szklanekę. Klara nie odzywała się, bo zrozumiała, że popełniła błąd. I to bardzo poważny w skutkach. – Dla ciebie – dodał, czym kompletnie ją dobił. Nie tak to miało wyglądać.

– Ale... to zniknięcie. I włosy... – jąkała się.

– I zapach, tak, tak. A tobie jak idzie śledztwo? – zapytał od niechcienia, może trochę z pogardą.

– Ja też... nie do końca... – chciała się bronić, lecz mąż uniósł rękę.

– Zamilcz – rozkazał. – Chciałem być z wami częściej, nie tylko od święta. Postanowiłem brać mniej dyżurów. Więc zainwestowałem w interes, który kręci się sam i nie trzeba go zbyt często doglądać. W hodowlę psów, chartów afgańskich.

Klara schowała twarz w dłoniach. Chart afgański... długie blond włosy.

– Zapach, który ode mnie czułaś, stosuje mój wspólnik, by maskować psią woń. Może nie najlepszy, ale do dopracowania. W każdym razie nie musisz się już o niego martwić. Jeszcze dziś przeniosę się do innego pokoju.

– Nie, zaczekaj! – Spanikowała.

– Dawno już powinienem był to zrobić. – Pokiwał głową. Był w kiepskim nastroju. Ostatnie miesiące bardzo go zmęczyły, a teraz jeszcze to.

– Przepraszam... – Jej oczy zaszyły łzami.

– Poniewczasie – odrzekł.

– Może trochę przesadziłam z tym śledztwem...

– Tak? – Bernard wstał i podszedł do drzwi. – A ja ze szkocką. Rzadko piję.

Wyszedł z salonu i zostawił ją kompletnie załamaną.

Co najlepszego zrobiłaś?! – krzyczała do siebie w myślach. Miała ochotę wyrwać sobie garść włosów za ten swój niewyparzony język. Od razu przypuściła atak, zamiast porozmawiać z nim spokojnie, zważywszy na własne grzechy. Wiedziała, że w tym przypadku Bernard łatwo nie zmieni zdania, jeśli w ogóle to zrobi. Musiała mu pozwolić to wszystko przemyśleć. Sama też musiała ochłonąć. I kategorycznie odmówić dalszego udziału w śledztwie.

Gdy tego wieczoru Inge szła na próbę, porównywała siebie do skazańca w ostatnim marszu. Czowała się podwójnie brudna – za siebie, bo oglądała to sprośne przedstawienie, i za Annę, bo teraz współdziałała z nią jej tajemnicę... A może to

wcale nie była tajemnica? Może wszyscy w chórze wiedzieli, ale nie rozmawiali o tym w „domu bożym”? Nie, to niemożliwe... Starsze sopranistki czy nobliwe barytony nie mogły mieć pojęcia o prawdziwej naturze Anny. Nikt nie pozwoliłby jej wtedy na kierowanie chórem, co przecież robiła przed nią. Nawet jeśli łagodny i wyrozumiały Franz nalegałby na danie jej, kolejnej zresztą, szansy.

Ale Anna się nie zjawiała. Dyrygentka od razu pomyślała, że leczy ból głowy po sobotnim występie. Potem złapała się na tym, że w przeciwieństwie do księdza nie ma tyle wyrozumiałości dla ludzi, a wręcz ich piętnuje. Nie pomyślała przecież, że Anna zarabia na życie. W końcu nie pracuje w domu publicznym, tylko... cóż, w burlesce. Ale to przecież także forma sztuki, popularyzująca się w zastraszającym tempie. Choć nie w kręgach Inge, to jednak. A próby w chórze? Być może sama czuje się nieczysta i chce zmasać winy jeszcze za ziemskiego życia? Lub po prostu lubi się udzielać, pośpiewać, jeśli można, to nawet partie solowe. Dla odmiany w ubraniu.

Ponieważ Inge nie musiała się konfrontować z przywódczynią sopranów i jej zadziornym uśmiechem, próba upłynęła gładko i spokojnie. Tym razem sopran wyszły w lepszej formie. Ale Inge nie mogła ich nadwerężyć. Zobowiązała się wystawić chór na mszę, na Anioł Pański. Do dwunastej było już tak niewiele czasu.

Franza także nie było, lecz w końcu się zjawił. Inge powoli zbierała nuty, w nadziei, że go zobaczy. Jej modlitwy zostały wysłuchane i ksiądz dotarł kilkanaście minut po tym, jak zakończyła próbę.

– Jak wam poszło? – zapytał od schodów.

– Nieźle – odpowiedziała, kokieteryjnie go ignorując.

Co ty wyprawiasz? – pomyślała i wspomniała słowa Anny. „Ludzie panią obmówią”.

– Jest pani pewna co do jutra? – Usiadł obok niej, gdy starannie, chyba już po raz setny, rozprostowywała karty partytury.

– Powinno być dobrze. – Zmusiła się, by to zabrzmiało profesjonalnie. Gdyby nie równie powolni starsi chórzyci, którzy jeszcze chcieli pogadać, dalej by go kokietowała.

– No to doskonale. Muszę wracać do obowiązków, przepraszam. – Złożył ręce i lekko się skłonił, nie jak ksiądz katolicki, lecz jak japoński sensei. Teraz dopiero zobaczyła plamy atramentu na wskazującym i środkowym palcu jego prawej dłoni. – Do jutra! – zawołał wesoło do śpiewaków i uśmiechnął się po swojemu. Wszyscy mu zawtórowali, bo trudno było się nie rozpromienić, gdy w środku ciemnego kościoła rozbłysło słońce.

Inge wróciła do domu przekonana, że będzie musiała zaparzyć sobie zioła nasenne. Lecz gdy tylko po wieczornej toalecie ułożyła się z książką, zmógł ją głęboki sen, bez wizji, powracających emocjonujących wspomnień ostatnich kilku dni i marzeń o zakazanych owocach.

O poranku śpiewaczka wpadła w panikę. Odkryła, że suknie, która miała w szafie, nie licują z powagą kościoła. Każdy powód jest dobry, by się tremować. Miała trzy koncertowe kreacje. Swojego czasu wydała na nie majątek, ale śpiewała też więcej kameralnych koncertów i było ją na nie stać. Niestety, nigdy nie wzięła pod uwagę, że będzie dyrygentką chóru kościelnego, więc eleganckich, acz skromnych sukien nie posiadała. Wreszcie zdecydowała się na wizytową, gorączkując się, czy nie była w niej w kościele w dniu, w którym starała się o posadę. W końcu uznała, że to nie ma znaczenia, bo przecież stoi na chórze i nikt jej nie widzi, nawet Franz. A jeśli chórzyści ją oplotkują, to ich sprawa. Niech wiedzą, ile zarabia kierownik chóru.

W kościele zorientowała się, że nie ma partytury do jednej z pieśni. To sprawiło, iż przestała się denerwować samym występem. Teraz była zdana tylko i wyłącznie na własną pamięć, a gdyby ją zawiodła, także na chór. Ostatecznie dzięki skupieniu, jakie wywołał u niej brak nut, i temu, że musiała zerkać do wyciągu organisty, w połowie mszy była już całkiem swobodna. Gdy odśpiewała Mozartowskie *Agnus Dei*, zaległa cisza absolutna. Inge stała przy krawędzi empony, a jej głos niósł się echem po świątyni. Niektórzy ukradkiem zerkali w jej stronę. Ale nie Franz. On się zamyślił. Widziała, jak przy słowach „*miserere nobis*”, zamknął oczy i zacisnął pięść. Wtedy pomyślała, że być może jego wieczorne zaproszenia na herbatę nie są tylko spełnianiem obowiązków duszpasterskich.

Anna, która ostatecznie zjawiała się na mszy, obserwowała go kątem oka. Przenosiła wzrok z niego na nią i z powrotem. Nie myliła się. Nie dość, że nowa dyrygentka podsiadła ją na miejscu czołowego sopranu, to jeszcze teraz próbowała uwieść duchownego. Gdy po skończonej arii Inge odwróciła się w stronę chóru, widziała tylko ją. Jedyńą osobę, która patrzyła na nią z wściekłością, a nie zachwytem czy uznaniem. Jej blada twarz, okolona czarnymi włosami splecionymi w warkocz, wyróżniała się na tle natchnionych wiernych, bo pozostawała czujna i nie poddawała się urokowi muzyki Mozarta. Inge domyślała się, co może myśleć ta młoda sopranistka, jednak nie uważała, by musiała się jej z czegokolwiek tłumaczyć. Jej rywalka, bo chyba tak mogła ją śmiało nazwać, wypowiadała się o Franzu w sposób bardzo lekceważący. Nie powinna, skoro to on dał jej szansę na zaistnienie w hermetycznym i nieufnym środowisku, jakim jest społeczność parafii. Przygarnął ją, choć miała zatarg z prawem. Zapewne kradła... Było to po niej widać. Te rozbiegane oczy, wścibstwo, nerwowe ruchy. A mimo to jej zaufał. Nie po to, by ona teraz traktowała go jak zło konieczne. To samo Anna myślała o Inge, która miała na scenie większe doświadczenie. Nie takiej scenie, na jakiej występowała Anna. Poważnej scenie.

Po nader udanym jak na skromną liczbę prób występie Inge podziękowała śpiewakom i poprosiła, by zeszli na dół. Wierni zgromadzili się pod kościołem

i żywo dyskutowali. Z tłumu dało się wyłowić głośne zaproszenia na obiad, wspólną podróż na cmentarz, jak i serwowane przyciszonym głosem pikantne plotki. Jak można było się tak ubrać na mszę? Heidelbergowie powinni zrobić porządek w garderobie. Dlaczego pan Frenzel stał obok szwagierki? Powinien przecież modlić się w towarzystwie żony. Córka Schmidta znów jest w ciąży. Jeszcze chwila, a jej ojczulek będzie musiał kupić całą kamienicę. Nie zbiednieje. Ma już dwie. A tak w ogóle to mógłby rzucać więcej na tacę, przy tych pieniądzach. Ludzie są tylko ludźmi. Choćby nie wiadomo jak gorliwie się modlili, nic nie zmieni ich prawdziwej natury. Inge cieszyła się w duchu, że nie słyszy niczego złego o sobie i oprawie muzycznej nabożeństwa.

Tłum zaczął się przerzedzać, a z kościoła wyszedł duszpasterz. Wszyscy kłaniali mu się w pas, jakby nie był księdzem, a księciem. Odkłaniał się, częstując ich dawką energii ze swojego uśmiechu.

– Gratuluję – powiedział z daleka do Inge i kilku starszych pań, które przeżywały występ, jakby był ich pierwszym i być może ostatnim.

– Dziękuję. Ale to śpiewakom należą się gratulacje. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu...

– Przyznam, że trochę się bałem – wtrącił. – Ale już mi lepiej. Macie dobrą opiekunkę – zwrócił się do kobiet.

– I ładną – dodała jedna z nich.

– I z ładnym głosem – dorzucił Franz, puszczając jakby mimo uszu tę odważną sugestię. – Szkoda, że się tak denerwuje. Czy już może nie tak bardzo? – zapytał.

– Coraz mniej – odparła speszona Inge i znów zapatrzyła się w jego jasne oczy. Uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała go w takim świetle. Nie zanotowała szczegółów jego twarzy. Drobnych bruzd i głębszych zmarszczek, zakoli, które ukrywał pod nieco dłuższymi włosami, gdzieś tam siwiejącymi, asymetrii jego brwi i kilku plamek na nosie. Starsze panie spojrzały po sobie. Jej spojrzenie trwało o ułamek sekundy za długo. I zapewne ten ułamek byłby tematem do kolejnych coniedzielnych plotek, gdyby nie fakt, że nagle mimika Franza zmieniła się nie do poznania. Ksiądz zmarszczył brwi i złapał się za bok. Wydał z siebie jęk i upadł na kolana. Z początku nikt nie rozumiał, co się stało. Duchowny podparł się o ziemię. Krew, która pociekła spod jego palców, zabarwiła brudny, rozdeptany śnieg. Zanim ktokolwiek zdążył połączyć fakty, ktoś zawołał, by wezwać pomoc. Jakby z otchłani, zza księdza wyłoniła się Anna. Trzymała w drobnej dłoni zakrwawiony nóż i bez cienia emocji patrzyła na swoje dzieło. Kapłan upadł na ziemię, a ona stała i przyglądała się temu, jakby sama nie rozumiała, że zrobiła coś strasznego. Ktoś odjechał samochodem w stronę Allerheiligen Hospital[43]. Jacyś mężczyźni przytrzymali Annę. Nie protestowała.

– Zapamiętasz sobie – mruknęła do siebie.

Szpitalne sale pociemniały, lecz nikt nie włączał światła. Franz spał. Cios, który zadała mu Anna, był stosunkowo niegroźny. Kosztował go więcej przerażenia niż zdrowia. Na szczęście. Prawdopodobnie ochronił go gruby kożuch. Nóż wszedł w bok, ale poza paskudnie wyglądającą raną nie wyrządził żadnych większych szkód. Oczywiście bardzo bolało, lecz ksiądz dostał morfinę i teraz, pod wieczór, zaczynał się wybudzać.

Kilku parafian czekało na ten moment, ale ostatecznie w szpitalu została tylko Inge. Wiedziała, że nie wpłynie to dobrze na jej opinię, mimo że przecież nie robiła nic złego. A jednak wierni już szeptali między sobą. Wyjdzie na to, że to sam Bóg wymierzył księdzu sprawiedliwość, by się opamiętał i zszedł ze złej drogi.

Do pokoju, w którym leżał ksiądz, weszła pielęgniarka.

– Dobry wieczór – powiedziała radośnie.

Inge zajrzała przez szparę w drzwiach. Franz był blady, a jego pełne wigoru spojrzenie przygasło. Nadal jednak tliła się w nim iskra zaraźliwego optymizmu.

– Czy dobry, to nie wiem. Ale z pewnością ciekawy – odrzekł. Mówił nienaturalnie wolno, zapewne dlatego, że po morfinie plątał mu się język.

– Lekarz zalecił morfinę, gdyby ból był nie do zniesienia – wyjaśniła i troskliwie poprawiła mu poduszkę.

– Znoszę, dziękuję – odmówił. – Chyba nie chcę już tego świństwa. Wolę być świadomy tego, co się ze mną dzieje.

– Może przynieść panu jakąś książkę? – zaproponowała.

Inge przygryzła wargę. Pielęgniarka przymilała się do Franza, a przynajmniej tak to postrzegała dyrygentka.

– Nie, dziękuję. Muszę odespać to nieporozumienie... z popołudnia. – Chciał przewrócić się na bok, lecz zszyta rana zaboląła go, zanim zdążył się przymierzyć do zmiany pozycji. Syknął i zacisnął zęby.

– Na pewno nie potrzeba panu morfiny?

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Tylko spokoju i ciszy. Chyba że się siostra nie śpieszy, bo rozmową też nie pogardzę.

Pielęgniarka zaśmiała się brzydkim, skrzekliwym śmiechem.

– Przecież rozmawiamy – powiedziała, strąsając rtęciowy termometr.

Inge postanowiła wkroczyć do akcji i przerwać tę bezsensowną wymianę zdań. Tłumaczyła sobie, że tylko mu się pokaże. Natrętna pielęgniarka pójdzie, a ksiądz będzie mógł w spokoju wypocząć. Prawda jednak była taka, że zazdrość paliła ją w żołądku. Nie wytrzymała. Sprawdziła, czy z jej wysoko upiętych włosów nie wystaje żaden niesforny intruz. Wyprostowała się i wzięła głęboki wdech. Cicho zapukała we framugę uchylonych drzwi.

– Mogę wejść? – zapytała, udając nieśmiałość.

– Już po odwiedzinach – zwróciła jej uwagę pielęgniarka.

– Wiem, ale wszyscy bardzo przeżyliśmy to, co się stało. Parafianie czekają na wieści o księdzu – powiedziała, wyraźnie artykułując słowa „parafianie” i „ksiądz”, by dać pielęgniarce do zrozumienia, że ma do czynienia z duchownym katolickim.

– Taki sympatyczny, wesoły ksiądz. Nic dziwnego. – Pielęgniarka była jakby niewrażliwa na te sugestie. – Nic dziwnego, że wszyscy się martwią. – Wyciągnęła rękę w stronę Franza. Oddała jej termometr.

– Gdzie jest Anna? – zapytał Franz, czym zupełnie zbił Inge z tropu.

– Zabrała ją policja – powiedziała surowo.

– Dobrze. Musi ochłonać.

– Musi za to odpowiedzieć – oburzyła się Inge.

– To był wypadek – stwierdził Franz.

– Zmartwienia zmartwieniami, a pacjent potrzebuje spokoju – upomniała ją ponownie pielęgniarka.

– Proszę nas na chwilę zostawić samych, bo księdzu się chyba wszystko pomieszało – burknęła do niej Inge. Zarówno pielęgniarka, jak i Franz zaniemówili.

– Dobrze – odrzekła wolno kobieta. – Ale tylko na pięć minut. Potem proszę opuścić oddział.

Inge poczekała, aż pielęgniarka wyjdzie z sali. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Franz lekko uniósł się na łóżku.

– Co to miało być? – zapytał zdezorientowany. I poruszony. Wyraźnie poruszony.

– Chyba to ja powinnam zapytać, o czym ksiądz w ogóle mówi?

– Wiem, że nie jesteście z Anną w najlepszych stosunkach, ale...

– Ona dźgnęła cię nożem, Franz! – zawołała dramatycznie, pomijając konwenanse.

Ksiądz ucichł. Był zły. Nie uśmiechał się, choć tajemnicza energia wciąż pulsowała w jego oczach.

– Usiądź – nakazał. Jedyne krzesło w sali stało obok jego łóżka. Podeszła do niego niepewnie i przycupnęła.

– Przepraszam. Bardzo to przeżyłam... – szepnęła. Jej broda zaczęła drżeć.

– Widzę. – Ksiądz zaczął nerwowo pukać palcami w pościel.

– Chodzi o to, że... – Nie dokończyła zdania. Złapała go za rękę, zatrzymując *perpetuum mobile*.

Nie potrafiła odczytać jego uczuć. Odniosła wrażenie, że analizuje sytuację. Biję się z myślami, niezdecydowany, jak postąpić po tak gwałtownej reakcji z jej strony. Po chwili jednak (ku jej przerażeniu) wyrwał dłoń.

– Przepraszam, jeśli kiedykolwiek pozwoliłem ci myśleć, że między nami coś jest – powiedział. Mówił te słowa bardzo poważnie. Jak nie on.

– Przepraszam, jeśli źle to odczytałam. – Postanowiła wykorzystać jego skruchę. – Ale myślę, że nie tylko ja. Anna zrobiła to z zazdrości.

– Zgadza się, ale nie w takim kontekście.

– Skąd możesz mieć pewność? – upierała się Inge.

– Znam ją od dawna. Wciąż jest dzieckiem. Starzejącym się maleństwem, które nie zdołało wykształcić w sobie ludzkich odruchów. Skrzywdzoną przez życie dziewczynką, która już raz straciła rodziców.

– I to ciebie traktuje jak ojca? – Skrzywiła się bezwiednie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo się mylił. A ona przecież słyszała, wtedy pod kościołem, pod samotną latarnią, z jaką pogardą wypowiadała się o nim Anna.

– Wszyscy popełniamy błędy. Ty źle oceniłaś sytuację. Ona też.

– Ja nie próbowałam cię zabić – obruszyła się. Znow była bliska płaczu.

– Ale uwieść...

– To nic złego!

– Nie? – Uniósł brwi. – Jesteś pewna? A gdybym był żonaty? Też nie miałabyś sobie nic do zarzucenia?

– Mogłeś mnie powstrzymać.

– Nie mówię, że mi to nie imponowało. Pierwszy raz znalazłem się w podobnej sytuacji – przyznał, rozwścieczając tym Inge.

– Czyli bawiłeś się moim kosztem?

– Nieprawda. Po prostu domyśliłem się, że i ciebie skrzywdzono, i chciałem ci to wynagrodzić.

– Pozwalając mi myśleć, że może coś nas łączyć – fuknęła.

– Niestety, to prawda – odrzekł, a jego twarz złagodniała. Ale w taki sposób, że znow nie była pewna, do czego zmierza. Krążył wokół tematu, jakby się wahał. Nie chciał, aby go dotykała, ale też nie pozwalał jej odejść. Pogubił się, choć nadal wiódł prym w tej rozmowie. Ona niemal straciła grunt pod nogami. Teraz o niczym innym tak nie marzyła jak o wyjściu z tego fatalnego szpitala i uwolnieniu się z matni.

– Co z nami będzie? – zapytała niemal bezgłośnie.

– Nie ma nas... Jestem ja i jesteś ty – odpowiedział spokojnie, jak psychiatra.

– Czy to oznacza, że powinnam... zrezygnować z posady? – Teraz była naprawdę przerażona. I wściekła. Na siebie.

– Nie, absolutnie... Chyba że tego właśnie chcesz.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła skwapliwie. Ta praca była jej potrzebna.

– W takim razie po prostu o tym zapomnimy. Zapomnisz, prawda? – Znow się zmienił. Wyglądał jak zawsze. Energiczny i wesoły mimo wszystkiego, co go dziś spotkało. Mimo to odnosiła wrażenie, że sam siebie przekonuje, by o wszystkim zapomnieć. A może tylko się łudziła? Tak samo jak wtedy, gdy

ścisnęła jego dłoń. Łudziła się, że odwzajemni ten gest...

– Postaram się – westchnęła, a samotna łza popłynęła w stronę jej podbródka.

– Jutro będzie ci lepiej. Ta cała sytuacja wyda ci się zabawna. – Zaśmiał się dobrodusznie, zmuszając ją do tego samego. – Przyjdiesz na próbę we wtorek. Wrócisz? – dopytywał się.

– Tak – odparła i dopiero teraz starła łzę.

Gdy dotarła do domu, zanim jeszcze zdjęła ciężkie ubranie i buty, opadła na łóżko. Zniosła się płaczem. Jak można było postawić na szali własną pracę. Ba! Własne życie! Dla ułudy? Miała ochotę rwać sobie włosy z głowy lub gryźć palce do krwi. Najgorsze jednak było to, że czuła się zawiedziona reakcją Franza. Starła się sobie wytłumaczyć, że postąpił słusznie. W końcu zbudował swoje życie w taki sposób i nie chciał tego burzyć. A ona, choć nie miała sobie nic do zarzucenia jako kobieta, powinna uszanować jego stan i być dystyngowaną dyrygentką chóru, wykonującą należycie swoją pracę. Tymczasem wystarczyło jej kilka spotkań, by uwierzyć, że Franz ją wybrał i chce obrócić bieg wydarzeń o sto osiemdziesiąt stopni, i... I co? I pracować w fabryce, ledwo wiążąc koniec z końcem? A co z opinią o niej? Wśród katolików byłaby zawsze tą, która uwiodła i skazała niewinnego duszpasterza na życie w potępieniu.

– Jesteś idiotką – powiedziała do siebie na głos. Znów rzuciła się na łóżko i rozplakała jak dziecko.

Bernard nie odzywał się przez dwa dni. W sobotę, którą postanowił spędzić w gronie rodzinnym, ostatecznie bawił się z dziećmi. A w niedzielę, zaraz po śniadaniu, zniknęli na dłuższy spacer i wrócili dopiero na obiad. Potem zamknął się w swoim nowym „mieszkaniu”, czyli pokoju gościnnym na parterze, a Klara czytała książkę w sypialni. Usiłowała się nie przejmować. Lecz sytuacja nie dawała jej spokoju. Choć próbowała zatopić się w mrocznych światach *Czarnego pająka* Jeremiasa Gotthelfa, jej myśli wciąż krążyły wokół ich rozmowy. Chciała być w tej sytuacji tak samo poszkodowana jak on. W końcu nie powiedział jej o inwestycji, przez co spowodował szereg nieporozumień. Ale to ona w akcie zemsty pojechała do ohydneho pana Guta na najgorszą rozmowę w swoim życiu. Gdyby tylko Bernard wiedział, nie darowałby jej tego.

Postanowiła z nim porozmawiać. Może nie będzie łatwo, ale zawsze warto próbować. Ta sytuacja, chociaż nie pierwszej parze na tym świecie się przydarzyła, w domu Schulzów nie mogła trwać w nieskończoność.

Klara stanęła przed zamkniętymi drzwiami pokoju na parterze i cicho zapukała. Nie usłyszała jego kroków, wytłumionych przez gruby dywan. Bernard zniecierpliwiony otworzył drzwi, czym bardzo ją zaskoczył.

– Wystraszyłeś mnie. – Podskoczyła i przyłożyła rękę do miejsca, skąd miało zamiar wyskoczyć jej serce.

– Słucham? – zapytał, jakby widzieli się po raz pierwszy.

– Rozejm? – Nerwowo ścisnęła dłonie.

Popatrzył na nią z wyższością.

– Wejdz. – Zaprosił ją do środka, znów tak, jakby nie byli małżeństwem, jakby to nie był ich wspólny dom. Klara wśliznęła się do tego obcego pokoju, zamykając cicho drzwi.

– Nie chcę zaczynać od zrzucania winy za niedomówienia, ale muszę powiedzieć, co mi leży na sercu – zaczęła, czym chyba go zdenerwowała. Ale nie wyrzucił jej, tylko pozwolił kontynuować. – Myślałam, że masz romans. Byłam na ciebie zła.

– Brzmi znajomo – powiedział.

– Wiem, ile mam za uszami. Nie próbuję się bronić. – Patrzyła mu prosto w oczy. Chciała w ten sposób podkreślić swoje szczerze intencje. – Nie chodzi mi też o sam fakt, że mógłbyś się zakochać w kimś lepszym niż ja. Tylko o moment, w którym to nastąpiło. O moją rekonwalescencję. O to, że nigdy ze mną nie rozmawiasz, tylko tłamsisz w sobie uczucia.

– Nie dzielę się z tobą uczuciami, tak? – Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem. – A jaką niby one mają dla ciebie wartość? Nie przypuszczałem, że po tym, co cię spotkało, mogłabyś znów zacząć bawić się...

– No właśnie – ucięła. – Zawsze tak to traktowałeś. Pani detektyw, z nudów i braku lepszych zajęć. – Złożyła usta w dziubek, ironizując sens swoich słów. – Sam natomiast masz przecież odpowiedzialny zawód. Ratujesz ludziom życie.

Zamilkła, by dać mu szansę na odpowiedź, ale milczał.

– Czy chociaż raz przyszło ci do głowy... Do twojej mądrej, przepelnionej wiedzą o ludzkim życiu głowy, ilu osobom pomogłam ja? Dzięki mojej pracy?

– Ale omal sama nie zginęłaś. Mój zawód jest pod tym względem nieporównywalnie bezpieczniejszy. – Uznał, że nastał dobry moment na ripostę.

– Nie zaprzeczam. Także lepiej płatny. To dzięki tobie mamy ten piękny dom, stać nas na dobrych nauczycieli, na wyśmienite jedzenie. Na Gertę i Christiana... Jednak powiedz, jeśli nie uważasz, że moja praca na coś, komuś się przydała.

Westchnął... Nie mógł się sprzeciwić, choćby dlatego, że swojego czasu Klara uratowała córkę jego pracodawcy.

– Tylko dlaczego akurat ty? Kosztem tej rodziny? – Złapał ją za ramiona. Tak bardzo ją kochał, a ona jakby tego nie rozumiała. Nie potrafiła przyswoić tego faktu. Im bardziej on ją kochał, tym bardziej wydawała się nieczuła.

– Nie wiem. Nie umiem tego wyjaśnić. Ale przez to, co stało się z moją matką, wiem, że zło czai się wszędzie. Może i burzę ład w naszej rodzinie. Ale dzięki mojej pracy inne rodziny nie musiały przechodzić przez prawdziwe tragedie. Zło może dopaść mnie, ciebie, Fritza i Marie.

- Przestań. Nie wywołuj złego... – podniósł głos.
- I ty to mówisz? Naukowiec? Lekarz? Pragmatyk?

Znów się nie odezwał. Mimo to Klara wiedziała, że nie ma niczego złego na myśli. Przecież omal nie stracił żony. Nie chciał nawet próbować wyobrazić sobie, że mógłby pochować któreś z dzieci.

– Myślmy, że zło jest daleko. Że nam nie jest pisane, by się z nim zetknąć. Ale ono zagląda i w nasze okna. A ja jestem od tego, by go tu nie wpuścić. By mu w porę zapobiec. Mój ojciec miał podobną misję. Doczekał szczęśliwej starości, zapobiegając temu, co go spotkało, gdy byłam dziewczynką. Dlaczego teraz ja miałabym zginąć, skoro los dał mi jeszcze jedną szansę, by ratować życie innych? – zapytała, szczęśliwa z takiego kierunku rozmowy. Dopiero teraz uświadomiła sobie swoje własne przeznaczenie.

- Albo cię przestrzegł, żebyś tego więcej nie robiła – polemizował Bernard.

– Dobrze, więc zróbmy inaczej. – Przystała na pewną ugodę sama ze sobą jeszcze w sypialni na piętrze. A teraz chciała wprowadzić ją w życie. – Umówmy się, pragmatyku, że ruszę do pracy przy śledztwach tylko wtedy, gdy otrzymam klarowny i jasny znak od losu. Taki jak wtedy, gdy zamordowano mi matkę. – Jej głos brzmiał tak sucho i beznamiętnie, jakby wybierała chleb: „Ot, zwykły, biały, tylko poproszę dzisiejszy”.

– Proszę, nie kuś licha. – Mocniej ścisnął jej rękę. Nie chciał, żeby to zabrzmiało tak, jakby wierzył w zabobony. W końcu był szanowanym lekarzem, w domu także.

– Przestań, Bernardzie Schulz. Co by było, gdyby usłyszał cię twój przełożony? – Zmarszczyła czoło po swojemu. – Taki „znak” może nigdy nie nadejść.

– I oby tak było – wymamrotał. Był spięty. Powrócił myślami do dnia, w którym poinformowano go, że Klara i nienarodzona jeszcze Marie mogą nie przeżyć po postrzale.

– A ja się z tym pogodzę. Będę rysować. Zadzwonię do panny Baumann i się jej przypomnę.

- Dostaniesz się do pracowni? Bo mam wrażenie, że zawładnęły nią pająki.

– Zaczynał żartować. Na całe szczęście.

– Dogadam się z nimi – Ona także położyła dłonie na jego ramionach. – Wrócisz do sypialni? W końcu to także twoja sypialnia.

– Zastanowię się. – Złapał ją za nadgarstki i ścisnął jej rękę w dół. – Nie dziś.

- Ale mamy rozejm? – upewniła się.

- Tak. Tak sądzę – potwierdził.

Klara wyszła z jego pokoju z lżejszym sercem. Już nie czuła tego okropnego łaskotania w żołądku, które powodowała adrenalina reagująca na brzmienie imienia

Bernard jak aktywny Wezuwiusz. Mogła ze spokojem przyłożyć głowę do poduszki i znów oddać się lekturze *Czarnego pająka*, idealnej wprost przed snem.

* * *

Za oknem zawierucha porządkowała miasto. Przykryta białym całunem Bunzlauer StraÙe wyglądała jak wzburzone morze. Puch próbował przykryć nawet płot otaczający plac przy kościele Świętego Pawła, jakby wstydząc się jego nagich żeber. Zamieć szalała, w kompletnej ciszy dokonując swego dzieła.

Inge otworzyła oczy. Była szósta rano. Twardo spała po walce, którą toczyła sama ze sobą przez ostatnie dwa dni. A teraz nie miała pewności, czy pukanie do drzwi miało coś wspólnego z rzeczywistością, czy było jedynie niepokojącym snem. Jednak kiedy się powtórzyło, Inge zamarła. Było ciche, niepewne, a więc dom się nie palił. Policja (właściwie dlaczego miałyby to być policja?) także stuknęła donośniej. Gdyby to był lekarz, którego wezwał zaniepokojony sąsiad, pewnie nawet nie zaprzętałby sobie głowy pukaniem. Gdy ciche bębnienie powtórzyło się po raz trzeci, wstała z łóżka, zapaliła małą lampkę na nocnym stoliku i podeszła do wejścia.

– Kto tam? – Miała chrypkę.

– To ja – odparł męski głos.

Inge uchyliła drzwi. Franz był przemoczony, a na jego ramionach utworzyły się śnieżne pagony.

– Co ty tu robisz? – Żołądek podszedł jej do gardła.

– Wyszedłem. Szpital to nie miejsce dla mnie. – Uśmiechnął się. – Wpuścisz mnie?

– Oczywiście. – Ustąpiła mu w drzwiach.

Pomogła mu zdjąć kozuch, ale inny niż ten, który miał na sobie, gdy Anna ugodziła go w bok. Musiał opuścić szpital poprzedniego wieczoru.

– Stało się coś? – zapytała. Coś było nie w porządku. Przecież nie przyszedł, żeby zapytać, czy przyjdzie wieczorem na próbę. Nie we wtorek o szóstej rano.

– Nie jestem pewien. – Zapatrzył się na nią w mroku przedpokoju naznaczonego słabą luną z nocnej lampki w sypialni.

Nie musiał nic mówić. Zrozumiała. Zaczęli się całować, pożądliwie, gwałtownie. Jego dłonie kluczyły po jej ciele odzianym jedynie w koszulę nocną. Chciał tego, ale wciąż próbował się opierać.

– Nie wiem już, w co mam wierzyć – powiedział, przyciskając swoje usta do jej warg.

Nie odpowiedziała. Cicho jęknęła, gdy pocałował ją w szyję. Ujęła go za nadgarstki i zaprowadziła do sypialni. Wyciągnęła rękę w kierunku stolika.

– Nie gaś – zaprotestował i wsunął dłonie pod materiał jej koszuli. – Chcę patrzeć.

Wieczorem tego samego dnia czekał na nią z zapartym tchem. Cały czas o niej myślał. O zapachu jej włosów, smaku skóry, o westchnieniach, którymi obdarzała każdy jego ruch. Nie był w stanie na niczym się skupić, choć nie brakowało mu pracy.

– Zachorował ksiądz? – dopytywała się gospoia.

– Tak jakby – odpowiedział.

Gospoia popatrzyła na niego z troską. Była pewna, że to przez wydarzenia z niedzieli. Gdyby tylko wiedziała...

Im bliżej było do wieczornej próby, tym bardziej się ożywiał. Nie potrafił scharakteryzować targających nim uczuć. Wyrzutów sumienia skutecznie maskowanych przez podniecenie i tęsknotę. A to wszystko przy akompaniamencie mocno bijącego serca. Czy naprawdę się zakochał? A może tylko jej uwierzył? Może skusiła go jak szatan? A może właśnie taki plan miał wobec niego Bóg? Na razie pragnął jedynie ją ujrzeć. Choćby miał tylko musnąć jej dłoń w przelocie. Nawet gdyby mieli wymienić kilka zdawkowych słów.

W końcu nadeszła próba. Chórzyści zeszli się do kościoła. Minęło kilka, potem kilkanaście minut. Aż wreszcie próba się skończyła. Ale Inge nie przyszła.

43 Dawny szpital Wszystkich Świętych przy obecnym pl. Jana Pawła II.

IX

Klara ze zniecierpliwieniem wyglądała przez okno.

– Panna Hirsch nie ma telefonu? – Fritz dręczył ją od półgodziny, co niemożliwie ją denerwowało.

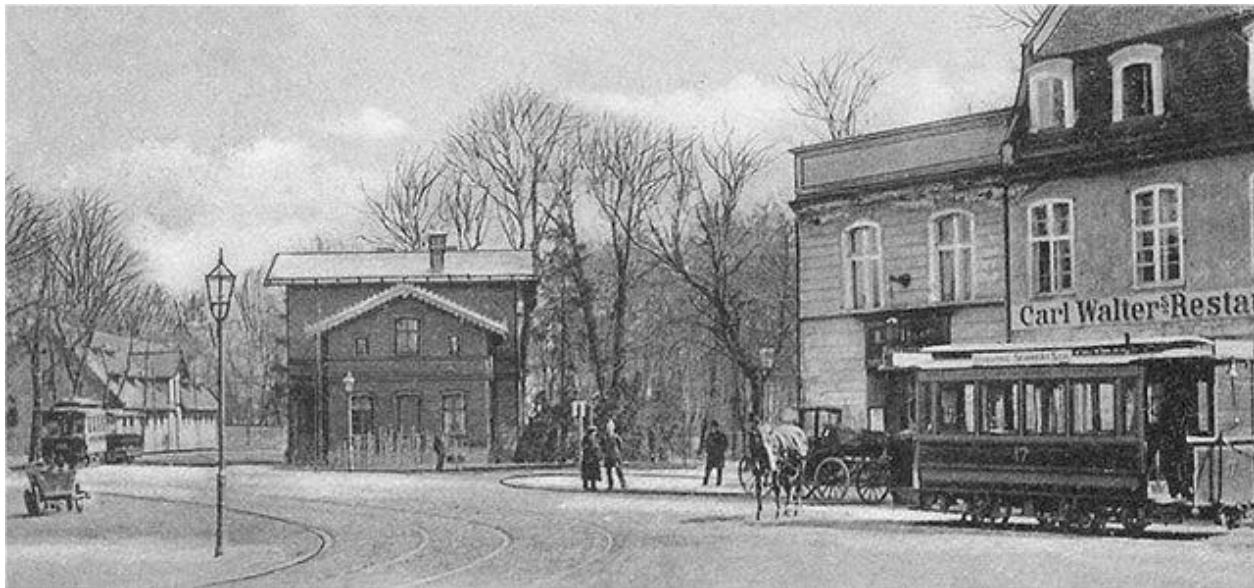
– Nie, Fritz. Wielokrotnie ci to mówiłam.

– A czy nie moglibyśmy się z nią jakoś skontaktować? No wie mama, wysłać woźnicę? – nie poddawał się chłopiec.

– Synu, w taką zawieruchę nikt nie pojedzie na Bunzlauer Straße. – Klara nie mogła oderwać wzroku od śniegu. Spadające z nieba płatki wirowały hipnotycznie, uspokajając jej nadwerżone nerwy.

– Więc może gdzieś utknęła?

– Nie przyszła, bo strasznie pada. Albo się spóźni – tłumaczyła cierpliwie.



Przystanek przy Scheitniger Park, czyli parku Szczytnickim

Odwróciła się do syna.

– Może poćwiczmy razem? – zaproponowała przymilnie.

– A czy mama się na tym zna? – odparł pytaniem.

– Nie, ale może ty mnie nauczysz? – Ciągle jeszcze umiała przejąć kontrolę nad rozmową.

– Zgoda – odpowiedział, choć bez entuzjazmu. Bardzo liczył na obecność

nauczycielki.

Usiedli razem do fortepianu. Fritz ujął dłoń matki i położył na klawiaturze.

– Teraz mama uderza w klawisz – powiedział rzeczowo. Starła się nie roześmiać, ale był taki zabawny, że ledwo się powstrzymywała.

– Rozumiem. O tak? – Zagrała, niby niezgrabnie, trochę nieudolnie.

– Prawie. Musisz słuchać brzmienia. – Sam zademonstrował, jak powinna grać.

– Lepiej? – zapytała, poprawiając błędy.

– Oj, zdecydowanie, mamó! Może coś z tego będzie? – Poczł się taki ważny. Bawił ją. I cieszył. I rozczulał. Poglaskała go po włosach i pocałowała w czoło. Tym razem nie wyczuła napięcia w jego karku. Nie bronił się. Wracał do niej. A o mały włos straciłaby go na zawsze.

W przedpokoju rozległ się dzwonek telefonu.

– Może to panna Hirsch? – Fritz wyrwał do aparatu pierwszy. Zdążył nawet odebrać, lecz chwilę później oddał Klarze słuchawkę. – To pan Hübschner.

Klara przejęła słuchawkę od syna i przysunęła się do mikrofonu.

– Następnny dom uciech odpada – powiedziała stanowczo.

– Co słyhać? – zapytał, jakby całej tej wyprawy do zajazdu w ogóle nie było.

– Nic. Śnieg pada bezszelestnie – odparła od niechcienia.

– Myślałem, że powiesz: dźwięki fortepianu.

– Nie, nie dziś. Nauczycielka nie dojechała. – Poczłła ukłucie pod sercem. Jakby niepokój. Ale co złęgo mogłoby się stać?

– Nie dziwię się... Ja też się do ciebie nie wybieram. Zresztą mnie nie zaprosiłaś – zauważył z wyrzutem.

– Przecież wiesz, że możesz przyjeźdzać, kiedy chcesz. Nie muszę ci o tym przypominać za każdym razem, prawda?

– Za każdym razem nie. Ale po naszym ostatnim rozstaniu...

– Nie męcz mnie. Przeżywam ciężkie dni – poprosiła bez cienia rozdrażnienia. – Jak wam idzie? – Zmieniła temat na bliższy Gabrielowi.

– Pojechaliśmy do jeszcze jednego burdelu, ale i tam nie znaleźliśmy odpowiedzi.

– Właściciel równie uroczy?

– Nie. Nikt nie może się równać z panem Gutem. – Parsknął śmiechem. Z perspektywy czasu Gut zrobił się nawet zabawny, na swój ordynarny sposób.

– Czyli jesteście w krzakach – podsumowała jego słowa.

– Lepiej bym tego nie ujął. Najgorsze jest to, że jeśli znów chwyci mróz, on spróbuje raz jeszcze. Albo już to zrobił, bo pogoda pozwoliła mu na ukrycie ciała pod śniegiem.

– Ale kto zobaczy jego dzieło, jeśli zniknie pod wodą?

– Jeżeli zniknie. Mróz może trochę osłabł, ale nie odpuścił całkowicie.

Znów to paskudne uczucie bezradności. Zupełnie niewytłumaczalne. Aangus mówił jej o napadach paniki po skończeniu kuracji. Obawiała się, że jeden z nich właśnie nadchodził.

– Obyś nie miał racji – powiedziała przez ściśnięte gardło. Od razu zaczęła myśleć o Inge.

– Obym nie miał – przytaknął.

W czwartek Bernard oznajmił, że wyjeżdża z wykładami do Berlina. Jego decyzja nie miała nic wspólnego z ich kłótnią, ale Klara pomyślała, że krótka rozłąka dobrze im zrobi. Nie protestowała. Zresztą i tak na niewiele by się to zdało. Wyruszył więc mimo śnieżycy, w towarzystwie innych tęgich głów, edukować lekarzy w stolicy.

Następnego zaś dnia, w piątek, gdy śnieg przestał padać, Klara poprosiła Gertę o przygotowanie większej ilości jedzenia. Była pewna, że Inge, która nie dostała wynagrodzenia za ostatnią, nieodbytą lekcję, z radością da się zaprosić na obiad. Ale znów, gdy nauczyciel niemieckiego skończył lekcje z Fritzem, a zapach grzybów smażonych na cebuli i skwierczących placków ziemniaczanych rozbudził apetyt wszystkich domowników, Klara poczuła dziwne ukłucie niepokoju. Po raz kolejny stanęła w oknie i wypatrywała Inge. Starannie odgarnięty z torów puch z pewnością nie stanowił dziś utrudnienia. Pojazdy kursowały normalnie. Dorożkarze także dobrze radzili sobie z zalegającą na ulicach pokrywą śniegu. Gdy któraś z ulic była trudno przejezdna, usuwali zwały wozonymi na pokładach swoich wozów łopatami i wiązowymi miotłami. Ale mijały minuty, potem godzina, półtorej i dwie, a nauczycielka nadal nie dotarła.

– Może panna Hirsch o coś się na nas pogniewała? – zapytał Fritz i od razu wzbudził w Klarze wyrzuty sumienia. Nie powinna była jej pouczać. Nie trzeba było odradzać jej tego romansu i wtrącać się w nocne eskapady. Chciała dobrze, a wyszło kiepsko. Możliwe, że panna Hirsch naprawdę się obraziła i teraz Klara miała na sumieniu łyzy początkującego pianisty.

– Wiesz co, Frycuniu? – Stanęła w słabym świetle przebijającego przez chmury słońca. Być może w tej aurze jawiła mu się jedną z nielicznych dobrych wrózek z krwawych historii braci Grimm. Chociaż efekt ten był przypadkowy. Ale postanowiła uratować to, co rozwaliała, a słabiotka poświata wydawała się symbolizować dobrze podjętą decyzję.

– Co takiego? – Był naburmuszony, smutny. Jej serce ścisnął żal.

– Ubiorę się i pojedę do panny Hirsch. Nie sądzę, żeby zrezygnowała ot tak ze swego najlepszego ucznia – zapewniła. Chciała wynagrodzić mu ten smutek.

– Naprawdę? – Od razu się rozpozgodził.

– Naprawdę! – zapewniła.

– Ale przecież nie znasz adresu.

– Znam. Podała go woźnicy, gdy tydzień temu jechałyśmy do miasta. Usłyszałam, że mieszka przy Bunzlauer Straße jeden. A resztę jakoś ustalę.

– Dziękuję, mammo! Jesteś prawdziwym detektywem! – Fritz rozpromienił się na dobre.

Klara włożyła ciepłe palto. Futro zbyt rzuciłoby się w oczy, bo było niezwykle wytworne. Do tego ciężkie i krępujące swobodę ruchów. Wolą coś praktyczniejszego. Wybrała także niewielkich gabarytów fikuśny kapelusz, bardzo modny, przypominający wyglądem wykańczaną właśnie Jahrhunderthalle[44] projektu Maxa Berga. Wsunęła go na głowę i docisnęła, bojąc się, że zwieje go wiatr, który jakoś nie miał zamiaru odpuścić. A wtedy byłaby zła. Szczególnie gdyby przepadł, bo był bardzo drogi. A gdyby okazało się, że Inge siedzi w domu, ciężko obrażona i po uszy zakochana w tym swoim księdzu, wyżyłaby się na niej. Choćby za ten kapelusz właśnie.

Droga była miłą odmianą. Zazwyczaj podróże ją nużyły, zwłaszcza gdy za oknami nie działo się nic ciekawego. Krajobraz przypominał bezkształtną białą mamaligę. Tym razem cieszyła ją ta wycieczka. Znowu wyruszyła w miasto. Tramwaj toczył się powoli, bo łażący bezmyślnie po ulicach piesi cały czas wchodzili na tory, nie bacząc na fakt, że jest bardzo ślisko. Mijała ulubione zakątki Breslau, kojarząc z każdym z nich jakieś wspomnienie. Lubiła te spacerować. I gdzie się to wszystko podziało?

Tramwaj jadący z Scheitnig[45] nie kursował na Friedrich-Wilhelm-Straße. Dlatego przy Ogrodzie Botanicznym przesiadła się i podążyła dalej, przez Adalbertstraße[46]. Swoją drogą wybudowanie torowiska na Kaiserstraße[47] i Kaiserbrücke[48] byłoby znacznym ułatwieniem. Dzięki niemu nie musiałyby w połowie drogi marznąć przez dwadzieścia minut, czekając na tramwaj, który miał ją dowieźć do celu. Ale i to stanowiło ciekawą odmianę po miesiącach przesiedzianych w domu. Przygoda. Tak, chyba tego jej brakowało. Najgorsze było to, że utożsamiała ją z retrospekcjami z samotnych wycieczek do miejsc raczej nieprzyjaznych kobietom z dobrych domów. Ale być może tym właśnie żyła? I zbyt pochopnie zdążyła się już z tym pożegnać. Dla dobra małżeństwa.



Fontanna na Königsplatz, ob. pl. Jana Pawła II

Podróż przez centrum dobiegła końca. Za Königsplatz[49], na którym alegoryczne postaci *Walki* i *Zwycięstwa*, nie przejmując się zmienną aurą, od kilku lat prezentowały mieszkańcom Breslau swoje wdzięki (a według Klary miały co prezentować), zaczynał się mniej znany Klarze odcinek trasy. Sprawdziła na planie, gdzie powinna wysiąść. Jej przystanek docelowy znajdował się obok willi autorstwa wybitnego mistrza murarskiego Schoena.

Bunzlauer Straße rozwidlała się z Friedrich-Wilhelm-Straße, a u ich zbiegu znajdował się okazały budynek wzniesiony w stylu popularnego w Niemczech neorenesansu północnego. Klara podążyła z przystanku w jego stronę. Przy samotnej latarni omal nie upadła, potykając się o ukryty pod śniegiem krawężnik.

– Cholera jasna! – powiedziała na tyle głośno, że obejrzał się za nią robotnik budowlany kręcący się przy zakładzie produkcji kostki granitowej sąsiadującym z kościołem Świętego Pawła. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a jego wąsy śmiesznie się podwinęły. Klara przyłożyła dłoń do ust, żeby nie widział, że ona też się śmieje. Przy okazji chuchnęła w rękawiczkę, by nieco rozgrzać palce.

Minęła piękny dom, naprawdę godny uwagi, choć sama nie chciałaby już mieszkać wśród kamienic. Woląла swoje odludzie z kilkoma oddalonymi od siebie willami. Poza tym ten kolos z wielkimi wieżami i grzmiącym dzwonem po drugiej stronie ulicy oraz wciąż przejeżdżające obok tramwaje nie zachęcały do

przeprowadzki w te strony. Dość niefortunne miejsce na tak śliczną rezydencję.

Podreptała w stronę pierwszej kamienicy zaczynającej się zaraz za ogrodem na rozwidleniu. W oddali, we mgle, niewyraźnymi kształtami rysował się Bahnhof Nikolaitor[50]. Na Bunzlauer Straße właściciel niewielkiego narożnego sklepiku stał na progu i palił papierosa. Tworzył wokół siebie ogromne chmury dymu zmieszanego z parą. Patrzył na kształty wydobywające się z płuc, chwilę je podziwiał, a gdy się rozmywały, wydmuchiwał następne.

– Przepraszam – zagaiła go.

– Czym mogę służyć szanownej pani? – Chciał zgasić papierosa.

– To nie będzie konieczne, może później zajrzę do sklepu. – Powstrzymała go. – Mam pytanie. W budynku z numerem jeden mieszka nauczycielka mojego syna, panna Hirsch. Zna ją pan?

– Owszem. Blondynka o niebieskich oczach. Ładna. Samotna. A ja jestem wdowcem. Tylko jakoś nigdy się mną nie zainteresowała – dodał z wyrzutem, wytrącając Klarę z jej toku myślenia.

– Aha. – Kiwnęła głową. – Może ją od pana pozdrowię? Jeśli powie mi pan, na którym piętrze mieszka.

– Na ostatnim. Ale nie zaglądała do mnie od wtorku. Ma siostrę w Leipzig. Pewnie pojechała ją odwiedzić – sypał informacjami. Faktycznie się nią interesował.

– W te śniegi? – Klara nie czuła się przekonana.

– Więc niech pani do niej zajdzie. Ale mówię, że skoro nie przyszła, to jej nie ma. Bywa u mnie codziennie. Codziennie! A ja wciąż układam plan, jak by tu jej zaproponować spotkanie w „Deutscher Kaiser”... – westchnął. – Mają tam dobre piwo.

– Przekażę, jak tylko znajdę Inge. – Klara w pośpiechu zostawiła sklepikarza z jego marzeniami rozplywającymi się jak wydmuchiwany dym. Była coraz bardziej zaniepokojona. Może i poczta szwankowała przez dwa dni, bo zawierucha bezlitośnie utrudniała pracę listonoszom. Ale z pewnością najpóźniej dziś otrzymałaby telegram od Inge, gdyby ta planowała wyjazd do siostry. Tak przecież postępują normalni ludzie. Chyba że jej nowa znajoma do nich nie należała, a Klara nie zdążyła się zorientować, że ma do czynienia z nieźrównoważoną mitomanką. Jej lęk mieszał się z gniewem. Miała nadzieję zastać śpiewaczkę w domu. Z pewnością by jej ulżyło. Oznaczałoby to także zwolnienie jej z pracy i poszukanie synowi innego nauczyciela. A ponieważ dzieci nie lubią takich zmian, Klara byłaby na nią bardzo zła. Choć nadal liczyła, że Inge przywita ją na progu swojego mieszkania. Zaspana, może pijana, ale żywa.

Klara pośpiesznie wdrapała się po schodach. Zadyszana zapukała do drzwi, od razu przykładając głowę do zimnego drewna. Nasłuchiwała, czy ze środka nie dochodzą jakieś dźwięki. Ale wewnątrz panowała absolutna, niezmacona cisza.

Klara przyłgnęła do drzwi jeszcze mocniej. Niechcący nacisnęła klamkę. I wpadła do mieszkania Inge. Pustego, zimnego i ciemnego.

– Inge? – zapytała niepewnie. Nikt jej nie odpowiedział. Włączyła więc światło. Serce chciało jej wyskoczyć z piersi. W domu od jakiegoś czasu nikogo nie było. Świadczył o tym przenikliwy chłód. Od kilku dni nikt nie palił w piecu. Lecz przecież, jeśli wyjeżdża się w długą podróż, zamyka się mieszkanie na klucz. Gdyby nie Gerta i Christian, Klara wynajmowałaby jeszcze wartownika do pilnowania włości. Tu jednak dostała się bez problemu. Mógł to zrobić pierwszy lepszy złodziejaszek. Nikt tu jednak nie zaglądał. Na stoliku w przedpokoju stała pozłacana ramka ze zdjęciem Inge z któregoś z przedstawień. Włamywacz z pewnością zabrałby ją jako pierwszą.

Przeszła kilka kroków w stronę sypialni.

– Inge? – Wciąż miała nadzieję, że kobieta się odezwie. Weszła do niewielkiego pokoiku z łóżkiem. Nacisnęła włącznik lampki stojącej na nocnym stoliku. To, co zobaczyła, wzbudziło w niej jeszcze większą trwogę. Na niezasłanym łóżku leżała rzucona niedbale nocna bielizna. Szafa z ubraniami stała otworem, a na krześle spoczywała przygotowana do ubrania sukienka. Ładna sukienka. Zasłonięte okna sugerowały, że śpiewaczka wyszła wczesnym rankiem lub wieczorem.

Klara wróciła do przedpokoju i teraz dopiero spostrzegła domowe obuwie. Brakowało za to ciepłych butów, więc Inge musiała je włożyć, zanim opuściła dom. Choć wychodziła w popłochu, miała czas na włożenie butów – pomyślała. Następnie Klara udała się do kuchni. Na stole, obok brudnej szklanki po herbacie i pleśniejącej kanapki, leżała korespondencja. Od razu wpadła jej w oko przesyłka z redakcji „Schlesische Zeitung”. Niewiele myśląc, Klara otworzyła kopertę.



Bunzlauer Straße, ob. ul. Bolesławiecka

Jakoś jej to wyjaśnię – pomyślała.

Na piśmie widniała poniedziałkowa data.

Szanowna Panno Hirsch,

uprzejmie zawiadamiamy, że Pani ogłoszeniem zainteresowała się rodzina Rosenfeldów. Jeśli jest Pani chętna udzielać lekcji, informujemy, że Państwo Rosenfeldowie oczekują telefonu. Dostępni pod numerem: Tschepin[51] 35 88.

Serdecznie dziękujemy za skorzystanie z naszych usług. Wyrażamy nadzieję, że jest Pani zadowolona z naszego serwisu ogłoszeniowego.

Zachęcamy do ponowienia ogłoszenia.

A więc Inge odebrała pocztę we wtorek rano. I co dalej? Kanapka sugerowała śniadanie, którego nie zjadła. Lub drugie śniadanie. A może jadła chleb na obiad? Żyła dość skromnie.

Klara miała mętlik w głowie. Wszystko wskazywało na to, że Inge opuściła mieszkanie w pośpiechu. Ale raczej dobrowolnie. Mogła się czegoś przestraszyć, spanikować. Zdażyła jedynie wciągnąć botki i uciec, nie zamykając drzwi. Pierwszą osobą, którą Klara widziała w roli ewentualnego porywacza, był niedoszły narzeczony śpiewaczki, solista z opery. Inge miała z jego powodu wiele nieprzyjemności. Może jego kochanka tak bardzo zawzięła się na rywalkę, że postanowiła wyrządzić jej jakąś krzywdę? Jednak po krótkim namyśle ta teoria

wydała się Klarze niedorzeczna. Gdyby para chciała zemścić się na Inge, zrobiłaby to dawno. A przynajmniej tak uważała Klara. Potem przyszedł jej do głowy ktoś z tego klubu, do którego planowała pójść nauczycielka. Może jej nie posłuchała? Udała się do tego miejsca o nazwie z niemoralnym podtekstem i już nie wróciła? Ale jakże by...! Wybierała się tam w piątek. A poczta pochodziła z wtorku. Tak więc dedukcja Klary nieuchronnie prowadziła do przystojnego duszpasterza z nieodległej parafii Świętego Mikołaja. Tam też postanowiła się udać, by zapytać go o Inge. Wychodząc z jej domu, chwyciła jeszcze ramkę z romantyczną fotografią i zamknęła drzwi.

Nie chciała na razie alarmować policji. Chociaż mogła to zrobić natychmiast. Zadzwoić do Gabriela z pierwszego lepszego sklepu – ot, choćby od zakochanego wdowca – i kazać mu przyjechać do mieszkania przy Bunzlauer Straße. Ale ten telefon byłby tylko uwierzytelnieniem jej ostatniej teorii. Tej, której nie dopuszczała do siebie, zapierając się rękami i nogami. Telefon na policję byłby równy z przyznaniem, że Inge może leżeć pod którymś z mostów w Breslau. Martwa.

Gdy wyszła, na zewnątrz panował już zmierzch. Jakby ktoś nagle zgasił światło. Latarnik nie śpieszył się szczególnie. Breslau oszczędzało na gazie, dlatego uliczne lampy zapalano dopiero wtedy, gdy już nic nie było widać. Tym bardziej zimą, kiedy mróz utrudniał ich rozżalenie, a nierzadko zaraz po przejściu latarnika gasił jego dzieło. Niewyraźne cienie i gdzieś tam błyskujące w oknach światła znów wywoływały u Klary zawroty głowy. Lecz nie mogła się im poddać. Mimo przeszkód musiała iść dalej.

Ten wieczór nie zapowiadał się na mroźny. Ale, jak to bywało w ubiegłych latach, luty lubił płatać figle. Dlatego Klara postanowiła się pośpieszyć i w razie czego złapać dorożkę lub automobil, zamiast jechać tramwajem.

Brnęła przez brudne zasy rozdeptanego i rozjechanego śniegu. Jak na złość nie minął jej żaden tramwaj, dorożkarz czy nawet przypadkowy kierowca. Spacer, a właściwie droga przez mękę, zajął jej niemal pół godziny, nawet przy dość szybkim marszu. Od czasu do czasu zimny podmuch zmuszał ją do przystąpienia. Dławiąc się własną śliną, tapiała oddech, który odbierał jej wiatr. Wreszcie dotarła na miejsce. Do kościoła wchodziła bynajmniej nie natchniona, ale zmęczona, zła, przeklinając jak szewc. Tym razem w duchu.

Msza właśnie się kończyła. Klara pomyślała, że Inge nie mogła jej opowiadać o księdzu, który ją celebrował. Ten był łysiejący, tłusty, miał nalaną twarz, a w jego oczach (słowach i czynach) nie było za grosz energii. Może to ze względu na post, który zaczął się w zeszłą środę? Nie wolno im się było weselić czy jak? Lub ksiądz pościł, a przy jego tuszy nie wpływało to dobrze na zdrowie?

Nie... – pomyślała Klara. – Ten nigdy nie pości.

Zanim wierni pochylili głowy, by przyjąć błogosławieństwo, Klara

wymknęła się na zewnątrz i obeszła świątynię. Odnalazła plebanię. Nie wahała się ani przez chwilę. Odciągnęła mosiężną kołatkę i zastukała trzy razy. Donośnie. Jak policja.

W drzwiach stanęła starsza kobieta. Z pewnością także nieprzestrzegająca reguł Wielkiego Postu. Otworzyła wejście na oścież, wypełniając je całe swoją osobą. Od razu złapała się pod boki. To była jej bojowa poza.

– Tak? – zapytała dość głośno.

– Szukam księdza Franza – zakomunikowała Klara.

– A w jakiej sprawie?

– W sprawie zaginięcia. Nazywam się Klara Schulz. Jestem prywatnym detektywem – powiedziała tak pewnie, jakby nic w jej życiu nie uległo zmianie. Jakby nigdy nie przeżyła strzelaniny i kuracji barbituranami, a ostatnią sprawę zakończyła z sukcesem tydzień temu.

– Ja panią znam – rzuciła kobieta, zapewne gospodyni księży. – Z gazet.

– Tak, tak... prasa kłamie – zbagatelizowała jej słowa Klara. Nie sądziła, by kobieta miała dla niej dobre słowo lub pochwałała jej czyny. W końcu Kościół stał w opozycji do sufrażystek. A prasa ochrzciła Klarę tym mianem, więc... – Mogę wejść? – zapytała twardo. Wbiła wzrok w gospozię i wpatrywała się tak długo, aż bojowo nastawiona niewiasta zrobiła jej przejście. – Dziękuję – odparła.

Otrzeпаła buty na grubej, długiej wycieraczce. Rozpięła płaszcz.

– To zajmie mi chwilę – rzuciła, choć gospožia wcale nie miała zamiaru odbierać od niej garderoby, a jedynie bez słowa wskazała jej przestronny gabinet, parafialną kancelarię.

– Proszę zaczekać. Ksiądz trochę niedomaga – powiedziała na odchodnym.

Nedomaga? A może się zadurzył? To nie wróżyło niczego dobrego.

Klara spojrzała z niewytłumaczalną odrazą na krzesło stojące po przeciwnej stronie obszernego biurka. Może przywiodło jej ono na myśl wspomnienia z wizyty u pana Guta? A może po prostu nie lubiła tych urzędniczych, wpływających na samopoczucie chwytów. Skromny zydelek przeznaczony dla interesantów nie mógł się równać z królewskim fotelem, który zajmowali gospodarze. Miał uświadamiać gościowi, że jest jedynie petentem, zdany na łaskę „siły wyższej”, której bezpośrednim przedstawicielem był...

– Dobry wieczór – Za plecami usłyszała zmęczony głos.

– Ładny fotel, panie...

– Willich. Księżę, jeśli można – powiedział Franz do pleców Klary.

– Wie pan... – podkreśliła swoją niechęć do tytułów i wolno odwróciła się do niego. – Myślę, że nawet samej Wiktorii Luizy nie tytułowałabym księżną. Proszę, moja wizyta ma świecki charakter.

Gospožia, która stała za Franzem, jakby bała się, że Klara stanowi dla niego niebezpieczeństwo, z niesmakiem pokręciła głową.

– Dobrze, niech i tak będzie – odparł niemrawo. Wyglądał, jakby się dopiero obudził. Mimo to Klara musiała przyznać, że Inge miała dobry gust. Mężczyzna, choć ubrany w sutannę, był naprawdę okazowy. Wysoki, o pięknym, kojącym głosie, zdawał się rozświetlać pomieszczenie samą swoją obecnością. – Co panią do mnie sprowadza? – zapytał, zakłócając jej myśli.

– Jakby to ująć... Być może ma pan informacje, które pozwolą mi odzyskać moją zgubę – cedziła z narastającym zniecierpliwieniem. Miła przejażdżka tramwajem stała się już tylko odległym wspomnieniem. Klara była przemoczona, wyziębiona i niemal pewna, że zachoruje. A wszystko to z powodu naiwnej śpiewaczki, która wywinęła jakiś numer, ale zanim tak się stało, rozkochała w sobie księdza, który z miłości nie rozumiał, co się do niego mówi.

– Co pani u mnie zgubiła? – wymamrotał.

– Kogo, panie Willich – poprawiła go Klara.

Ksiądz wbił wzrok w Klarę, a jego oczy pociemniały.

– Hilde, niech nam pani da kilka minut, dobrze? – zwrócił się do gosposi.

Kobieta wyszła, a właściwie wycofała się, do ostatniej chwili nie spuszczać Klary z oczu. Niczym męczennik, Franz opadł na niewygodny zydeł po niewłaściwej stronie biurka.

– A więc pani też jej szuka? – zapytał. Mówił spokojnie. Widać było jednak, że już dawno nauczył się trzymać emocje na wodzy. Lecz Inge się nie oparł. Widocznie miała dar przekonywania.

– Tak, ja tak. A pan? – Nie mogła powstrzymać sarkazmu. – Rozumiem, że u pana też się nie zjawiała?

– Nie – odparł i spojrzał na nią badawczo. – Od wtorku jej nie ma.

– I nie zdziwiło to pana?

– Nie.

„Nie”. Zabrzmiało tak dobitnie, że teraz i Klara miała ochotę usiąść. Coś musiało się między nimi wydarzyć.

– Jak to? – Za wszelką cenę chciała, by jej głos nadal brzmiał surowo.

– Proszę mi powiedzieć, co panią łączy z Inge? – zapytał, niemal odbierając jej prowadzenie przesłuchania. Klara uznała, że najlepszą taktyką będzie po prostu powiedzieć mu prawdę.

– Panna Hirsch uczy mojego syna gry na fortepianie.

– Ach, no tak. Klara Schulz. Mogłem się domyślić. Inge mówiła mi o pani – potwierdził. Z tonu jego głosu nie wynikało jednak, czy Inge mówiła o Klarze dobrze, czy też źle.

– A mnie mówiła o panu – powiedziała, triumfując. Sam zapędził się w pułapkę.

Franz spojrzał na nią z przerażeniem. Wstał i cicho podszedł do drzwi. Zamknął je niemal bezgłośnie. Nie musiał nic mówić. Klara już wiedziała.

- Co konkretnie o mnie mówiła? – Jego oddech mocno przyśpieszył.
- To, mniej więcej – odrzekła, wskazując na konspiracyjnie zamknięte drzwi.
- Czy ona... – Podeszedł do Klary tak blisko, że ją onieśmielił. – Czy mówiła o mnie dobrze?
- Aż nazbyt.
- Więc dlaczego uciekła? – Zadrżał.
- Tego Klara się nie spodziewała.
- Skąd pewność, że pana porzuciła? – zapytała wolno Klara. Ona także ściszyła głos. Postanowiła już się nad nim nie pastwić. Chyba faktycznie się zakochał. Może po raz pierwszy w życiu?
- Nie, proszę. Wolę tak myśleć, niż...
- Dlaczego pan do niej nie zajrzał? Dlaczego nie wysłał telegramu?
- Bo... my... – Głos uwiązł mu w gardle. – Wszystko jakoś tak się ułożyło, że... – westchnął. Jego oddech drżał. Był bardzo przejęty.
- Rozumiem – szepnęła. Czyli posunęli się dalej. Gospośia mogła stać pod drzwiami, więc należało zachować wyjątkową dyskrecję.
- Pomyślałem, że się rozmyśliła. I wołałem tak myśleć, bo to był błąd. Mój błąd.
- Był pan na nią zły?
- Nie, skądże! – Uniósł ręce. Zaraz potem złapał wiszący na szyi krzyż. – Ale gdybym mógł cofnąć czas, nigdy nie zniszczyłbym jej życia. I sobie też. Bo to właśnie zrobiłem.
- Dobra, dobra. – Klara chciała go jakoś usprawiedliwić. – Ona też nie jest bez winy, mam rację?
- Nie, nic pani nie rozumie. Odsunąłem ją od siebie, a potem uległem... – Franz musiał się wygadać. – Skapitulowałem, łamiąc własne zasady. Niech mi pani wierzy, że nie oskarżam o to jej, a jedynie siebie.
- Gdyby czuła się uwodziona, powiedziałyby mi o tym. A jednak sama w to brnęła. Nie ma co się łamać, trzeba działać. – Klara złagodniała. Sama chciałaby znów się tak zakochać. Współczuła mu i poniekąd zazdrościła.
- Zapłacę pani każde pieniądze za znalezienie jej całej i zdrowej. Nie musi tu wracać. Chcę po prostu wiedzieć, że wszystko z nią dobrze.
- Postaram się, niech mi pan wierzy. Ale najpierw ustalmy jedno. – Zanurzyła dłoń w torebce i dobyła szkiełeczki i ołówek. – Czy miała jakichś wrogów? Ktoś się jej naprzykrzał?
- Nie sądzę, nie. Ot, zwykła konkurencja w chórze – odparł wymijająco.
- Ta Anna, dobrze mówię? – Klara przypominała sobie zaproszenie do klubu, o którym opowiadała jej Inge.
- Jest niegroźna – zapewnił. W tym momencie syknął i zgiął się z bólu.

Jakby rana, którą zadała mu chórzystka, miała przeciwne zdanie.

– Coś panu dolega? – zaniepokoiła się Klara.

– Miałem wypadek w niedzielę. Ale to nic. Nie mogłem wytrzymać w szpitalu i wyszedłem leczyć się w domu – wyjaśnił.

– Kuracja w domu nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem – zauważyła, a jej własne dolegliwości z kolei przytaknęły, powodując nieprzyjemne pulsowanie w głowie. Przymknęła oczy, by przez chwilę nie widzieć otaczających ją kolorów.

– Na czym skończyliśmy? Nazwisko tej Anny?

– Osterholz. Anna Osterholz.

– Ktoś jeszcze?

– Nie, z nikim nie weszła w konflikt. Nawet dobrze się z nimi nie poznała. – Jego głos znów zadrżał, ale Klara wyczuła w nim nutkę gniewu. Naprawdę był przekonany, że jego kochanka go porzuciła.

– Nie zwierzała się panu z przeżyć poza kościołem?

– Dużo rozmawialiśmy, szczególnie w ostatni poniedziałek... – Spojrzał na nią niepewnie. Zrozumiała, że wtedy widział ją po raz ostatni. Niestety, nie stawało go to w specjalnie dobrym świetle. Przecież równie dobrze to on mógł być ostatnią osobą, która widziała Inge żywą. Jeżeli nie żyła. – Opowiadała mi o operze, o rodzinie. O niedoszłych mężach.

Ciekawe, ilu ich było? – pomyślała Klara. Na kartce ze szkicownika zanotowała: „byli kochankowie Inge”. Może warto ich sprawdzić?

– Niech mi pan spisz wszystkie nazwiska, które pan zapamiętał – poleciła, podając mu notes.

Franz posłusznie wykonał jej polecenie.

– Co jeszcze? – zapytała, odbierając od niego szkicownik.

– Że ma pani uroczego synka. – Uśmiechnął się. Te słowa wywołały w nim nowy przypływ żalu. – I że jest pani nieokrzesa. Oraz że lubi pani dyktować innym, co mają robić – dodał, ale bez satysfakcji.

– Mnie też za dobrze nie znała – skomentowała jego słowa, nie mogąc się doczekać, aż ją odnajdzie i powie, że dla Fritza jeździła za nią po całym Breslau. Że się o nią martwiła. I że powinno jej być głupio, bo zniknęła bez słowa, stawiając w trudnej sytuacji co najmniej trzy osoby.

– Odradzała jej pani, gdy mówiła o mnie? – Wstał i znowu syknął, łapiąc się za bok. Był od niej o wiele wyższy. Mimo to zadarła głowę i wbiła w niego butne spojrzenie.

– Oczywiście – przytaknęła.

– Faktycznie, źle panią oceniła – powiedział ze smutkiem, czym ostatecznie ją rozczulił. Był mądrym i dobrym człowiekiem.

– Ruszam, panie Willich. Znajdę ją. Obiecuję – zaręczyła.

– Dziękuję – wyszeptał.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? – Zignorowała jego podziękowanie, które nie miało dla niej większego znaczenia. Bo właśnie poczuła, że nadspodziewanie szybko pojawił się ów znak od losu. A teraz, by nie nadwerężyć zaufania Bernarda, musiała zadzwonić i wyjaśnić domownikom, dlaczego przyjedzie późno. Być może nawet bardzo późno.

Może to, co zrobiła, było mało taktowne, ale za to taktyczne. Po połączeniu z domem poprosiła do telefonu Fritza. Wyjaśniła mu, że na razie nie odnalazła panny Hirsch. Prosiła, żeby się nie martwił, ale ponieważ był już dużym chłopcem, zaznaczyła, że sprawa wygląda poważnie. Opisała mu zdawkowo swoją wizytę u niej w domu i na plebanii, nie wdając się w nieodpowiednie dla uszu dziewięciolatka szczegóły. A potem poprosiła go o cierpliwość, dodając, że nadal szuka jego nauczycielki i wróci do domu bardzo późno. Fritz przyjął wszystko z powagą. Wiedziała, że na nią liczy, choć zapewne teraz zmęczenie brało u niego górę nad zmartwieniami. Pamiętał też, jak jego matka leżała w szpitalu, ojciec rozpaczał, a lekarze przygotowywali go na najgorsze. Nie chciał, by wracała późno, bo o nią bał się najbardziej. Jednak rozumiał, że Klara robi coś dla niego, więc nie poprosił, by zrezygnowała, a jedynie o to, by wróciła do domu najwcześniej, jak to będzie możliwe.

– Pojadę w jeszcze jedno miejsce, a stamtąd prosto do domu – obiecała.

– Mogę na ciebie poczekać? – zapytał. On także taktycznie to rozegrał. Miał pretekst, by dłużej nie spać.

– Oczywiście! – Zdecydowanie przesłodziła to słowo. Miało być wypowiedziane bardzo entuzjastycznie i z wdzięcznością za troskę (choć wiedziała, o co mu w rzeczywistości chodzi), a sklepiło się jak melasa, przez co zabrzmiało sztucznie. Ale chłopcu taka odpowiedź pasowała. Oczywiście porozmawiała też z Gertą. Jej przedstawiła sprawę zgoła inaczej. Powiedziała gosposi o swoich podejrzeniach i poinformowała, że jedzie do Niepoldshof. Gdyby nie wróciła do dwunastej, Gerta miała zawiadomić Gabriela. Dodała też, żeby nieco uspokoić gosposię, która zaczęła popadać w jazgotliwy ton, że prawdopodobnie nic jej nie grozi. Mimo to poprosiła o czujność. Gosposia obiecała, że będzie trzymać rękę na pulsie.

Klara opuściła plebanię i ruszyła w podróż przez śnieżne góry. Im bliżej centrum, tym lepiej jej się szło. Latarnik dopełnił obowiązków, przez co spacer po nocnym Breslau wydał jej się znacznie przyjemniejszy. Gdzieniedzie rozżarzone latarenki, zawoalowane wieczorną mgłą, rozrzucały lunę na okoliczne budynki, tworząc niemalże baśniową atmosferę. Jak u braci Grimm. Gdyby jeszcze nie było tak zimno...

Klara dotarła do „Roteerdbeere” w niecałe dwadzieścia minut. Weszła do budynku, gdzie przywitał ją szatniarz w monoklu. Wręczyła mu napiwek, jakiego miał nie dostać w ciągu najbliższych miesięcy i pewnie dawno nie otrzymał.

– Szukam przyjaciółki – zagadnęła.

– Jest ich tam wiele. – Zaśmiał się i poruszył śmiesznie wąsem. – Do wyboru, do koloru. Tylko proszę pamiętać, że to nie dom schadzek – zaznaczył z podniesionym palcem wskazującym.

– Ach, nie! – zaprzeczyła i roześmiała się. – Szukam mojej przyjaciółki!

– Ojej! – Zdeprimował się szatniarz. – Nieporozumienie. – Też starał się roześmiać, ale stęknął tylko kilka razy.

– Zdarza się – uspokoiła go Klara. – Przecież się nie przedstawiła. Była tu w piątek. Ładniutka, blondynka, elegancko ubrana.

– Dziś jej nie widziałem – powiedział. Skojarzył, o kogo chodzi. Pewnie Inge musiała zrobić na nim wrażenie swoją urodą i manierami. Tym bardziej że kobiety były wśród widowni raczej w mniejszości.

– Naprawdę? – Klara udała zdziwioną (i lekko podpitą). – Poleciała mi to miejsce! Myślałam, że przesiaduje tu całymi dniami.

– O, ciekawe... – Szatniarz zmarszczył krzaczaste brwi. – A mnie się wydawało, że była zgorszona.

– Ona już taka jest – improwizowała Klara. Teraz już wiedziała, dlaczego szatniarz zapamiętał Inge. – Zimna i niedostępna. Ale to śpiewaczka. – Nachyliła się w jego stronę. – Jak wypije, to się rozgrzewa. – Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

– Wtedy piła tylko wodę. Wiem, bo kelner narzekał, że z tego stolika utargu nie będzie.

– A w sobotę? Co piła w sobotę? – podpuszczała go Klara.

– Później jej tu nie było.

– Może nie na pańskiej zmianie?

– Ja tu, proszę pani, jestem codziennie, poza wtorkiem. Wtedy mamy nieczynne. – Mężczyzna dumnie się wyprostował.

– No nic... Poczekać na nią. Niech kelner mnie nie zaniedbuje – zakomenderowała i porozumiewawczo mrugnęła do szatniarza.

– Przekażę! – zapewnił i obnażył w uśmiechu pożółkłe zęby.

Klara zajęła miejsce przy jednym z mniejszych stolików. Po chwili podszedł do niej starszy jegomość.

– Czy mogę się przysiąść? – zapytał przymilnie.

– Czekam na kogoś... – zbyła go Klara.

– Na mężczyznę czy kobietę? – Odmowa nie zrobiła na nim większego wrażenia.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Zdecydowała się jednak wykorzystać sytuację.

– Na kobietę. Blondynkę, szczupłą i słodką. Może pan ją tu widział? – Tymczasem wydobyła z torebki fotografię Inge. Mężczyzna przyjrzał się zdjęciu.

– Nie kojarzę. Ładna – ocenił.

- Wiem. – Klara „przytuliła” zdjęcie do serca.
- Nie przeszkadzam zatem. – Mężczyzna skłonił się i odszedł niepokieszony.

Plakat na drzwiach głosił, że występy zaczynają się dopiero o dziewiątej. Klara miała więc dwie godziny, by dobrze się wszystkim przyjrzeć. Tak też zrobiła. Bywalcy klubu byli dobrze ubrani, szeroko uśmiechnięci i wypachnieni. Wśród rzeszy mężczyzn znalazło się także kilka kobiet. Niektóre przyszły z partnerami, inne raczej w ich poszukiwaniu. Inge zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Teraz Klarze przyszło na myśl, że nie pasowała też do środowiska śpiewaków. Pewnie dlatego padła jego ofiarą.

Nagle do sceny podszedł jakiś mężczyzna. Klara od razu zwróciła na niego uwagę. Musiał być tu kimś ważnym, może nawet właścicielem. Dyskretnie załatwiał klubowe interesy, stojąc na uboczu, w cieniu. Miał surowy wyraz twarzy, mocno poorane zmarszczkami policzki. Obserwował. Nie mogła dopuścić do tego, by zauważył, że ona też go obserwuje. Kelner podszedł do niej jako pierwszej. Podał jej kartę.

- Polecam pstrąga nadziewanego sałatką warzywną z ryżem i... – zaczął.
- Na wieczór coś z samych warzyw – przerwała mu. – Może rzezoną sałatkę, ale bez pstrąga – zaznaczyła grzecznie.
- A co do picia dla szanownej pani?
- Koniak – palnęła odruchowo. – I butelkę wody – dodała, przekonana, że nie tknie alkoholu.

Kelner wyprężył się i skłonił głowę. Był bardzo młody i taki pocieszny. Odszedł szybkim krokiem, pewnie myśląc, że za nim patrzy.

Klara zaś wyciągnęła z torebki szkicownik i zaczęła odwzorowywać wnętrze lokalu na kartce, zaznaczając przy tym wszystkie drzwi i okna. Co chwila patrzyła jednak w stronę mężczyzny, który kręcił się po sali, wszystkiego doglądając. Zerknęła znad kartki, wodząc oczami po sali. Chciała uchwycić wszelkie szczegóły, które mogły być w jakiś sposób niepokojące. Plamy, zagięcia i wgniecenia, wyraźne lub zatuszowane rysy na ścianach, uszkodzenia podłogi czy wybite szybki w oknach. Niczego takiego jednak nie znalazła. Po jakimś czasie spostrzegła, że główny obiekt jej obserwacji dołączył do kobiety ze strusim piórem na głowie, o czarnych jak smoła oczach, tak przynajmniej wyglądały w tym intymnym, burdelowym świetle. Ich spotkanie naznaczone było zarówno flirtem, jak i kłótnią. Rozmyślała, na czym opiera się ta znajomość. On wyraźnie jej nie lubił, ona zaś kleiła się do niego i uśmiechała. A może tylko miał do niej pretensje o jakąś błahostkę? Pogodzą się jutro i to ona będzie go wodzić za nos? Zapiła i nie wyjdzie. Nawdychała się opium i śpi – myślała Klara. W którymś momencie złapała się na tym, że zbyt długo się w nich wpatruje, i to bez skrzępowania. Nie powinna była pozwalać sobie na taki brak czujności. Wróciła do szkicowania, uwieczniając tę scenkę na papierze. Światło jednak nie pozwalało na dokładne

sportretowanie twarzy jej uczestników. Widziała tylko głębsze bruzdy i ciemniejsze kształty na tle rozjaśnionej skóry. Udało jej się oddać ich gestykulację – uniesione w gniewie ręce kobiety, a jego opuszczone, jakby był znudzony. Kobieta opierała ciężar ciała na jednej nodze, przez co pod kusą, cienką sukienką wyraźnie rysował się kształt jej biodra. On, zupełnie łysy, gładko ogolony, ubrany był w czarny frak. Szczupły introwertyk, małomówny, ale i prostoliniorny. Ona musiała mieć wybuchową naturę. Wyglądała na taką, której nigdy nic się nie podoba. Jakiś czas później para zniknęła. Klara chwilę oglądała swoje dzieło, ale w końcu zaczęła się nudzić. Gdy nareszcie po długim oczekiwaniu konferansjer wszedł na scenę, to ona pierwsza zaczęła bić brawo, ciesząc się, że w końcu zobaczy, o co w tym wszystkim chodzi.

Na estradę wyszły artystki. Wszystkie miały długie białe sukienki, poza jedną, ubraną na czarno. Aktorki odśpiewały *Hymn do Bachusa* Offenbacha. Klara podziwiała głos odzianej w czarną płachtę śpiewaczki, nie wiedząc jeszcze, że za chwilę przyjdzie jej oglądać... taniec. Zaraz po komicznym hymnie dziewczyny odtańczyły kankana z tej samej operetki. Gdy tylko zadarły sukienki, publiczność zaczęła klaskać i wiwatować na ich cześć. Tancerki wyglądały zabawnie, bo ich spódnice były zbyt wąskie, by mogły zatańczyć, jak należy. Trochę się potykały, poza tym widać było, że żadna z nich nie robi tego w sposób profesjonalny. Publiczność wyła do ostatniej nuty, kiedy to dziewczęta przewracały się na siebie, same zanosząc się śmiechem, odsłaniając przy tym nagie uda i dziwną, wyciętą bieliznę.

W tym momencie jedyną osobą na sali, która się nie śmiała, była Klara. Nie dlatego jednak, że czuła się zgorzonna. Kolacja także jej nie zaszkodziła, a wręcz przeciwnie – wydała się jej znośna. Uraczyła się nawet kroplą koniaku, który w takich sytuacjach zwykle przynosił jej rozluźnienie. W normalnych okolicznościach wtórowałaby zgromadzonemu, bo występ nawet się jej podobał. Ale siedziała osłupiała, wpatrując się w niezdarne baletnice. Nie śmiała się, bo zrozumiała nagle coś, co stanowiło ostatni element układanki.

Chociaż początkowo zamierzała poczekać i zobaczyć, jak wygląda słynna Anna, nie mając zresztą pewności, że kobieta dziś wystąpi, w pośpiechu wepchnęła swój szkicownik i ołówek do torebki i wybiegła z sali wprost do szatni.

– Przepraszam – zagaiła szatniarza – jest tu może telefon?

– My nie udostępniamy aparatu. Rozumie pani, dyskrecja. – Przyłożył palec do ust i poruszył wąsem. – Ale za rogiem jest hotel. Proszę tam spróbować.

Klara wybiegła z lokalu. Po płaszc postanowiła wrócić za chwilę. Rozejrzała się nerwowo. W końcu zobaczyła niewielką restaurację, która właśnie żegnała ostatniego klienta. Pobiegnęła w tamtą stronę z wyciągniętą dłonią. Kelner stojący na progu od razu ją zauważył.

– Już zamykamy. – Rozłożył ręce.

– To zajmie chwilę! – krzyknęła. – Muszę skorzystać z telefonu.

– Naprawdę, zamknięte. – Kelner chciał wycofać się do wnętrza. Klara, która jeszcze w klubie przygotowała portfel, by zapłacić za możliwość połączenia z aparatu w „Roteerdbeere”, wyciągnęła ku niemu dłoń z banknotem.

– Zarobiłeś kiedyś tyle w pięć minut? – zapytała.

Kelner spojrzał na jej „propozycję”, potem omiół wzrokiem podwórze, a gdy uznał, że nikt go nie widzi, wpuścił Klarę do środka.

– Pięć minut – zaznaczył.

Wskazał Klarze aparat zawieszony na ścianie obok toalety. Ze względu na porę zaryzykowała najpierw telefon do domu Gabriela, sądząc, że dawno nie ma go w prezydium. Nie myliła się.

– Pan Gabriel śpi – oznajmił flegmatycznie lokaj.

– Świetnie, pan go obudzi i powie, że dzwoni Klara. Z rewelacjami!

– Czy to nie może poczekać do jutra? – zapytał. Zaczynał ją tak wkurzać, że jeszcze chwila, a obrzuciłaby go jakimś wyzwiskiem. Powstrzymała się jednak.

– A czy pan Gabriel jest szefem policji? – warknęła.

– Już go wołam – powiedział dystyngowanie lokaj.

Klara nerwowo zerkała na tykający w kącie zegar. Kelner był zdeterminowany. Zaraz podejdzie i każe jej się wynosić. Może uprzejmiej, niż sądziła, ale jednak.

– Halo? – Usłyszała w telefonie głos przyjaciela.

– Jak miło, że w końcu to ja ciebie budzę. Za te wszystkie telefony o siódmej rano! – Musiała mu wypomnieć. Nawet jeśli się jej śpieszyło.

Gabriel zarechotał schrypniętym głosem.

– Jakież to rewelacje dla mnie masz? – spytał.

– To nie są prostytutki – oświadczyła, a kelner, który miał ją rzekomo wyrzucić z lokalu, przystanął i nadstawił uszu.

– Zaraz, o czym mowa?

– O śledztwie. Ofiarami nie są prostytutki.

– A więc kto? – zdumiał się Gabriel.

– Tancerki z burleski. – Klara poczuła uderzenie w głowę. Z przejęcia podskoczył jej puls, a odstawione barbiturany znów o nią zawalczyły.

– Skąd wiesz? – wybełkotał.

– Wyjaśnię po drodze.

– Po drodze dokąd?

– Do Leerbeuthel! – odparła niefrasobliwie. – Skoro pracuję dla ciebie po nocach, mogę chyba liczyć na transport do domu? Czekam w Niepoldshof.

44 Hala Stulecia.

45 Przystanek przy Scheitniger Park, czyli parku Szczytnickim.

46 Ul. S. Wyszyńskiego.

47 Pl. Grunwaldzki.
48 Most Grunwaldzki.
49 Pl. Jana Pawła II.
50 Dworzec Wrocław Mikołajów.
51 Szczepin.

X

– Zaraz, zaraz... – Gabriel przyhamował z wrażenia. – Sugerujesz, że ten lokal to dom publiczny w sercu miasta?

– W żadnym wypadku! – zaprzeczyła stanowczo. Gabriel albo jej nie zrozumiał, albo jazda samochodem tak go pochłonęła, że nie słuchał. A opowiadała od dobrych dziesięciu minut. Już mu się to zdarzało.

– Skoro króluje w nim golizna, striptiz...

– Tak, ale to forma sztuki – wyjaśniła.

– Ładna mi sztuka. A każda prostytutka jest artystką? – Przekomarzał się z nią.

– Dobra, odłóż na bok swoje zdanie i posłuchaj uważnie. Kiedy te dziewczyny...

– Podczas tańca?

– Tak, podczas kankana podwinęły sukienki, odsłoniły pończochy, które już raz widziałam – na Dorocie Ostropolskiej. Widać kupują je hurtowo od jednego handlarza, żeby było taniej. W końcu przy takich występach garderoba się zużywa.

– Ale od tego samego dostawcy mógł kupować burdel, którego jeszcze nie namierzyliśmy – zaoponował Gabriel. – Tamten rodzaj sztuki też wymaga poświęceń.

– A umięśnione ciała? Brak typowych dla tamtego rodzaju „sztuki” otarć, przebarwień, obrażeń... One się nie prostytuowały. One tańczyły. – Uderzyła otwartymi dłońmi w kolana.

– A przyjaciółka, która zgłosiła się po pierwszą ofiarę? Twierdziła, że zna ją z ulicy.

– Nie wiem... – Klara zawahała się przez moment. Wtedy wpadł jej do głowy kolejny pomysł. – Jak nazywała się ta osoba? – zapytała.

– Nie pamiętam. Znajdę w raporcie.

– Anna Osterholz?

– Nie wiem, być może.

Wjechali na Fürsten Brücke[52]. Koło samochodu wpadło w szyny tramwajowe. Gabriel zwolnił i łagodnie wyprowadził auto z pułapki.

– A jak wyglądała? Może skojarzę ją z którąś z tancerek z klubu.

– Wehrner ci powie. Wtedy wszyscy myśleli, że to samobójstwo. Cieszyli się, że ktoś po nią przyszedł i odciążył państwo z kosztów pogrzebu. Tylko ja drażyłem w przeszłości.

– W przeszłości? – To było dla Klary coś nowego.

Gabriel zatrzymał auto i ciężko odetchnął.

– Badałem już podobną sprawę w Potsdam. Dziesięć lat temu – przypomniał.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo wtedy nikt mnie nie słuchał i wszystkie akta poszły z dymem. Ale dzisiaj przypuszczam, że to ten sam sprawca.

– To mi popsuło konkluzję. – Skrzywiła się.

– Dlaczego?

– Bo jestem przekonana, że moją przyjaciółkę zwabiono do tego klubu. Ale nawet jeśli okazałoby się, że tę pierwszą dziewczynę odebrała Anna Osterholz czy którakolwiek z artystek z „Roteerdbeere”, to ze względu na wiek żadna z nich zupełnie nie pasuje mi do zabójstw sprzed dekady. Nie wiem, jak wygląda sama Osterholz, ale z opowieści Inge wynika, że jest młoda.

– Na razie ją zostawmy i ogólnie poobserwujmy klub. – Gabriel odwrócił się od Klary i ziewnął przeciągle.

– Od razu zajęłabym się tą naganiaczką. – Machnęła ręką, wyrażając swoją pogardę dla Anny.

– Nie możesz. Mówiłaś, że rzekomo proponowała twojej znajomej pracę. To jeszcze nie przestępstwo.

– A jeśli ktoś naśladuje schemat sprzed lat? – upierała się Klara.

– To go dorwiemy. Przynajmniej mamy od czego zacząć.

Oboje walczyli z sennością. Zbyt wiele wydarzyło się naraz, by to teraz logicznie ułożyć. Potrzebowali odpoczynku.

– Najpierw ją znajdziemy, dobrze? Znajdziemy Inge. – Klara odwróciła się do Gabriela. To był jej główny cel. Pomogła mu i teraz sama oczekiwała pomocy. – To wszystko, co wiem. – Podała mu swój szkicownik wypełniony zapiskami i rysunkami.

Gabriel nie miał zamiaru przepuszczać okazji. Położył rękę na jej dłoni i lekko ścisnął. Wiedział, że tym razem ten gest jest na miejscu.

– Zaczniemy o świcie, w prezydium. Potem po ciebie wpadnę.

Nathaniel dotarł do dusznego mieszkania wczesnym rankiem. Położył się na łóżku i rozmyślał. Mróz odpuścił, a i jemu też trochę przeszło. Warto było czekać dziesięć lat na powrót do gry. Choć jemu nieco się już znudziła. Za to ona... Ona była nienasycona! Znów się o to pokłócili. Wyszła obrażona i pewnie wróci dopiero wieczorem. Możliwe, że się nie zobaczą. Miał jej dość. Może powinien się jej pozbyć? Tylko jak, skoro zna go na wylot? Wie o nim wszystko, bo powierzył jej najgłębsze sekrety. Poza tym zawsze była wobec niego lojalna. Miała okazję go wydać, lecz tego nie zrobiła. Ale stała się nieznośna. Nie wiedział, czy długo da radę tak funkcjonować. Był zmęczony i pragnął spokoju. Źle się czuł. To przez opiekuna. Nadzorcę. Jego też miał dość. Teraz pragnął jedynie, by zima się skończyła.

Zgodnie z obietnicą Gabriel zjawił się następnego dnia, ale dopiero o dwunastej. Za to w wielkim stylu. Bo gdy w samo południe do spokojnej dzielnicy wjeżdżają trzy automobile, z czego dwa oznaczone jako policyjne, i podjeżdżają pod czyjś dom, nie ma sąsiada, który nie uległby magii sensacji. Klara wyszła z domu i wsiadła do forda dyrektora Hübschnera, cicho chichocząc.

– Wygląda, jakbyście aresztowali carskiego szpiega – rzuciła i odmachnęła stojącemu na progu domu Fritzowi.

– Trzeba przyznać, że bywasz równie niebezpieczna – powiedział Gabriel i zmrużył oczy.

– To komplement? – rzuciła kokieteryjnie.

– Ty z pewnością uznasz to za komplement, prawda? – Pytanie było retoryczne. Gabriel miał co prawda na myśli jej zdolność do okręcania sobie ludzi wokół palca, a ona z pewnością to rozumiała. Ale z masochistyczną przyjemnością pozwalała, by robiła to także teraz, z nim. Tym bardziej że to ona sprawiła, że śledztwo posunęło się naprzód. Przypadkowo czy nie, ale teraz w końcu mieli punkt odniesienia.

– Mam same złe wieści – zaczął.

– Więc nie dajesz mi wyboru – westchnęła i zacisnęła pięści. – Mów.

– Po pierwsze, o świcie skontaktowaliśmy się z jej rodziną w Leipzig.

– Czyli nie ma jej tam – domyśliła się.

– Nie, niestety. Oni także się zaniepokoiili, bo znikanie nie leży w naturze Inge Hirsch.

Gabriel wręczył Klarze notatnik, który mu dała poprzedniego wieczora.

– Przyjrzelśmy się nazwiskom, które wynotował ksiądz – referował. – Kilka z tych osób udało nam się namierzyć. Ale moi ludzie odwiedzili je dziś rano i na razie nie ma w stosunku do nich żadnych podejrzeń.

– A sam Franz Willich?

– Żeby sprawdzić jego przeszłość, musimy dotrzeć do dokumentów kościelnych. A z tym nie jest tak łatwo.

– Ale próbujecie? – spytała.

– Tak, to jasne – odparł karcąco. W końcu to było jego śledztwo. – Do tego Wehrner nie widział tej kobiety, która odebrała pierwszą ofiarę. Ciało wydali medycy. Będziemy ich przesłuchiwać jutro. Przyjdziesz?

– Tak. – Pokiwała głową. – A my? – zapytała. – Gdzie zaczynamy?

– Rozdzieliłem ludzi. Wykonałaś wczoraj dobrą robotę – przyznał. – Ale jeśli mamy do czynienia z... no wiesz...

– Tak. – Nie chciała, by kończył myśl. „Z mordercami spod mostów”.

– Musimy objechać ponad sto pięćdziesiąt miejsc.

– Uff – sapnęła Klara. Zapowiadał się naprawdę długi dzień.

– Pominęliśmy małe i nieuczęszczane kładki, mniejsze mosty, pod którymi

trudno byłoby popełnić zbrodnię, i wytypowaliśmy te, pod którymi naszym zdaniem mogłoby leżeć ciało.

– Całe szczęście, że nie musimy zaglądać pod każdy mostek. A zatem nie traćmy czasu, tylko ruszajmy od razu! – Klara zaakceptowała sobotni plan. – Od czego zaczniemy? Fürsten Brücke?

– Prawdziwy z ciebie detektyw – zakpił. Właśnie ten most był pierwszy na jego liście.

Ogółem po Breslau jeździło pięć patroli. Gabriel nie mógł zaangażować w poszukiwania Inge więcej sił. Nie był pewien, czy kobieta padła ofiarą przestępstwa, choć faktycznie do takiego wniosku mogły prowadzić okoliczności: niezjedzone śniadanie, otwarta korespondencja, niezasłane łóżko, brak butów wyjściowych, ale pełna szafa – to wszystko w kontekście ostatnich wydarzeń w mieście nie przedstawiało sprawy w korzystnym świetle. Nie chciał jednak narażać się władzom miasta i zbyt wiele inwestować. W końcu chodziło o dyrygentkę chóru, a nie o kogoś z urzędu.

Po Fürsten Brücke ich zespół w składzie: Schulz, Hübschner, Sanz i Taschke, pojechał jeszcze na mosty: Paß[53], Kaiser, Lessing[54], Sand[55], Universitäts[56] i Königs[57]. Na miejscu okazało się, że pod żadnym z nich nie mogą pracować. Śnieg pokrywał niepewny, kruchy lód, podmyty przez ożywioną wyższą temperaturą wodę rzeki. Pod każdym oczami wyobraźni, z uwagi na prowadzoną sprawę, widzieli tylko dogodne lub nieco mniej dogodne warunki do ukrycia zwłok. Taschke, sokole oko Gabriela – a przynajmniej szef miał nadzieję, że jego odkrycie spod Mauritius Brücke nie było tylko przypadkiem, ale prawdziwym talentem – parę razy wszedł na lodową pokrywę, ryzykując własne życie. Jeszcze mu się chciało. Policjanci z długoletnim stażem woleli oglądać jego wyczyny z bezpiecznej odległości. Niczego jednak nie znalazł. Pracowali już kilka godzin, a niewiele udało im się zobaczyć. Mieli nadzieję, że pozostałe patrole wykonują swoje obowiązki równie sumiennie. Objechali jeszcze kilka mniejszych mostków i kładek, aż zaczęło się ściemniać.

– Wszystkich nie zdążymy dziś sprawdzić. – Gabriel w końcu musiał powiedzieć to na głos. Nic nie jadł, a głód wyzwał w nim irytację.

– Wiem – przyznała Klara. Nawet udało się jej go zaskoczyć. Był pewien, że zaprotestuje.

– Zaczniemy znów jutro. Teraz pojedziemy do prezydium i zobaczymy, co zrobili pozostali – zdecydował.

– Masz rację, jedźmy. – Spuściła głowę i pomaszerowała za nim.

Szarość szybko zmieniła się w ciemność, zupełnie jak poprzedniego dnia, gdy Klara odwiedzała Bunzlauer Straße. Dziś była mniej zdenerwowana. Fakt, że nie odnaleziono ciała Inge, dawał przynajmniej nadzieję, że po prostu nie ma jej pod żadnym z mostów. Te najbardziej „atrakcyjne” z punktu widzenia morderców,

którzy chcieliby, aby było o nich głośno, zdążyli już odwiedzić. Fakt, że zabójcy wybierali właśnie takie miejsca, stanowił element kamuflażu. Nierzadko ofiary samobójstw decydowały się na miejsca dobrze widoczne, być może w nadziei, że zostaną uratowane, lub po prostu, by zademonstrować światu, do czego musiały się przezeń posunąć. Dlatego teoria o samobójstwie wydawała się tak logiczna. Do chwili, gdy pojawił się Taschke, który odmienił bieg śledztwa.

Sunęli nieśpiesznie w milczeniu. Każde z nich myślało o czymś innym. Gabriel przede wszystkim o jedzeniu, Klara o synu, któremu będzie musiała powiedzieć, że nie znalazła panny Hirsch, Wehrner zasepił się, wodząc oczami po ludziach przyglądających się ich pięknemu autu, a Taschke przysnął i pochrapywał. Dotarli w końcu na miejsce. Gabriel jak zawsze podjechał samochodem pod samo wejście, najeżdżając dwoma kołami na chodnik. Jego ford ciężko stęknął, a Taschke się obudził. Gdyby Gabrielowi dano taką możliwość, parkowałby automobil w swoim gabinecie, ale niestety, czasy obszernych wież z pochylnią wzorowanych na sewilskiej Giraldzie skończyły się i szef musiał wchodzić po schodach. Tym razem jednak nawet do nich nie dotarł.

Z wejścia do przydzium wypadło dwóch policjantów, których Gabriel przydzielił do jednego z patroli.

– Szybko, panie dyrektorze. Jedziemy na Scheibensteg[58] – wydyszał.

– A gdzie to jest? – Gabriel w sekundę zapomniał o głodzie.

Klara zmrużyła oczy. Coś jej świtało.

– Czy to nie w pobliżu browaru Kipkego?

Gabriel spojrział na nią dobrotliwie.

– No co? – zapytała. – Akurat jego piwo przypadło Bernardowi do gustu. Ze wszystkich browarów w Breslau znam tylko ten jeden.

– I tak nic mi to nie mówi – zwrócił się do policjanta Gabriel.

– To u zbiegu koryt Odry. Pojedzie pan za nami – powiedział policjant i nie czekając na przyzwolenie, pognął z tym drugim do służbowego auta.

– Dlaczego tam jedziemy? – zapytał Gabriel, bo przecież nie padło słowo „ofiara”.

– Oby okazało się, że to tylko kupa starych szmat – powiedziała Klara i nie pierwszy raz tego dnia zmięła w dłoniach materiał sukni.

Im bardziej się zbliżali, tym większy czuła niepokój.

– Nie denerwuj się. – Gabriel dostrzegł jej przestרח.

– To jest blisko jej mieszkania – zauważyła.

– Nie tak znów blisko – sprostował. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że most, do którego zmierzali, rzeczywiście dzieliła od domu Inge niewielka odległość.

Wjechali w Scheibensteg, gdzie stały już dwa wozy policyjne. Z auta przed nimi wysiadł funkcjonariusz.

– Dyrektorze, proszę zaparkować tutaj. Prosili nas, żeby doświetlić –

powiedział do Gabriela i pobiegł z powrotem do samochodu.

– Nie jest dobrze – zaczęła panikować Klara. – Wszyscy tu są.

– Spokojnie, nie wszyscy – pocieszał ją, lecz tak naprawdę brakowało tylko jednego samochodu. Sam wiedział już, że policjanci nie przyjechaliby tutaj, gdyby nie mieli dobrego powodu. – Brałeś pod uwagę to miejsce? – Klara była bardzo spięta.

– Chyba nawet nie zaznaczyłem go na mapie – przyznał.

– Nie zaznaczyłeś – potwierdził Sanz i pokazał na „most” w tle. Była to typowa przeprawa kolejowa. Coś zupełnie poza obszarem ich zainteresowania.

Gabriel zatrzymał samochód i wysiadł, zapomniawszy otworzyć drzwi Klarze. Zrobił to Wehrner. Tymczasem dyrektor podbiegł do policjantów rozmawiających z jakimiś mężczyznami.

– Szefie, panowie pracują przy Städtische Elektrizitätswerke[59]. To oni nas powiadomili.

– Powiadomili o czym? – Gabriel przekrzywił głowę.

Klara wysiadła z samochodu. Czowała, jak ogarnia ją niemoc, zarówno ze zmęczenia, jak i z wymieszanego z nim strachu. Miała wrażenie, że jej nogi zapadają się w watę. Albo są z niej zrobione. Ledwo się na nich trzymała. Zobaczyła Gabriela idącego w stronę mostu. Zmusiła się do truchtu. Ruszyła za nim, by nie pozostać w tyle.

Na miejscu znalazł się piąty samochód, który oświetlał znalezisko. Na gęstym śniegu zalegającym na brzegu rzeki, owszem, pod mostem, jednak nie na samej rzece, która w tym miejscu płynęła, ktoś wydeptał ślady.

– Mój pies tu przybiegł. Czasem robię obchód po okolicy. Czają się tu różni tacy i podkradają nam to i owo – relacjonował jeden z robotników. – Woda jest tu ciepła, rzadko zamarza. Pies lubi popływać, nawet zimą. Więc myślałem, że mu się zebrało. Poszedłem. Idę. Po kolana w śniegu, za psem. Patrzę, a on coś wacha. I grzebie w tym śniegu, i grzebie... Jak zobaczyłem materiał, to się cofnąłem. A wtedy, pan widzi... – Wskazał na swoje własne ślady. W każdym z odcisków buta znajdowała się niewielka kałuża krwi. – Zaczęły nabierać – kontynuował myśl. Był bardzo przejęty. – Co się odsunąłem, to wyciągałem but z bagna!

– Proszę się uspokoić – poradził mu Gabriel. – Bardzo nam pan pomógł. Zaraz ktoś się panem zajmie. – Kiwnął na jednego z policjantów i pstryknął w szyję palcami. Funkcjonariusz wziął mężczyznę pod rękę i zaprowadził do samochodu.

Słabe światła ze stojących nieopodal aut, chociaż marnie, to jednak wystarczająco oświetlały koszarne znalezisko. Gabriel z policjantami zbliżyli się do rozgrzebanego kopca. Ich ślady natychmiast podeszły krwią. Za nimi podążyła także Klara. Kręciło się jej w głowie.

– Jakbym mdlała, to niech mnie pan łapie – poprosiła przezornie idącego tuż

za nią Sanza.

– Może pani na mnie liczyć – odparł, wiedząc, co się święci.

Dołączyli do policjantów.

– Klaro, czy znasz tę osobę? – zapytał Gabriel. Ale ona go nie słyszała. Jego głos dochodził jakby z oddali. Starła się wyłączyć wszystkie zmysły z wyjątkiem wzroku, ale ten ją zawodził. Widziała posklejane krwią blond włosy, niegdyś jasne, teraz niemal białe oczy, świetlistą cerę, na tle śniegu poszarzałą, i tę smukłą szyję, przez której środek przechodziła paskudna, ogromna rana. Ale w półmroku nie widziała w tej kobiecie Inge. Starła się ją rozpoznać, ale po prostu nie wiedziała, kim jest.

– Czy pani mnie słyszy? – dobiegł do niej głos Wehrnera.

– W porządku? – zapytał Gabriel.

Klara milczała. Drżącą dłonią sięgnęła do torebki, w której wciąż miała zdjęcie zabrane z domu śpiewaczki. Podała je Gabrielowi. Potem odwróciła się, przeszła dwa kroki i straciła przytomność, wpadając w ramiona przygotowanego na to Sanza.

– Zawsze trudniej patrzeć na kogoś znajomego – powiedziała, tłumacząc się z omdlenia. Siedziała w otwartym samochodzie, przykryta kocem, pijąc gorącą herbatę dostarczoną tu przez rodziny robotników ze Städtische Elektrizitätswerke. Wszyscy chcieli jakoś dopomóc, jednocześnie mając dobry powód, by przyjść i popatrzeć. Ale dziś Gabriel nie miał do nich pretensji. Okazali się bardzo pożyteczni i uczynni.

– Strasznie mi przykro – szepnął. Przykucnął przy samochodzie i czekał, aż Klara się uspokoi.

– Mnie też – odparła i wytarła nos. – Nie znałam jej dobrze. Ale i tak czuję, że ją zawiodłam.

– Z tego, co mi mówiłaś, jak ją przestrzegałaś, sama się o to prosiła.

– Przestań. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Chcesz mnie pocieszyć, a mówisz bzdury – zbeształa go. – Zawiodłam ją, syna i tego zakochanego księdza.

– Nie chciałbym być w jego skórze... – Gabriel przyłożył dłoń do ust. – Pomyśli, że to przez niego.

– A jeśli to faktycznie przez niego? – Zastygła nad kubkiem herbaty. – Jeśli ta kobieta... ta Anna... była zazdrosna nie tyle o Inge, ile o księdza?

– Klaro, nie powtarzaj się. Na to nie masz żadnych dowodów – ostudził jej domysły.

– A co, jeśli znajdę?

– Uważaj! – Wstał, żeby ocenić sytuację. Wciąż czekali na patologa, po którego pojechał jeden z policyjnych wozów. – Jeśli się na coś uprzesz, możesz kogoś skrzywdzić.

– Pamiętasz, jak twierdziłeś, że to nie są samobójstwa? Wtedy też miałeś

przeczcucie. Zobacz, gdzie nas ono zawiodło. Będę ostrożna, ale bezlitosna. – Upiła trochę herbaty, która już od jakiegoś czasu wcale jej nie rozgrzewała. – Od teraz to także moje śledztwo – dodała zdecydowanym tonem.

Niedziela w każdym domu przebiegała odmiennie. Niemieckie rodziny o poranku zasiadały do śniadania. Jedni skromnego, inni wielodaniowego, nierzadko ciągnącego się do obiadu. Czasem, jeśli pogoda nie sprzyjała spacerom, czytali gazety lub książki. Byli i tacy, którzy zaczynali pić już w południe. Inni wychodzili z domu, by odetchnąć świeżym powietrzem i zjeść obiad w restauracji. Niektórzy zdążyli odwiedzić zbór jeszcze przed obiadem, inni zaś w ogóle, nawet po obiedzie nie mieli zamiaru tam zaglądać. Pora obiadowa była dobrą okazją do większych przyjacielskich biesiad. W tygodniu przeważnie nie było na to czasu, ale w niedzielę – to co innego. Niedzielną sielanka mogła skończyć się późno w nocy, a obiad przechodził płynnie w kolację, podczas której raczono się dobrymi trunkami i żartowano. Jeden dzień wolnego po sześciu dniach pracy. Choć niektórych oczywiście w ogóle to nie dotyczyło. Większość ludzi jednak w taki czy inny sposób pracowała, zarabiając na przeżycie lub rozwijając fortunę.

Tę niedzielę Klara Schulz spędziła w kostnicy. Zobaczyła się z przyjaciółmi, owszem. Ale nad zwłokami kobiety – nauczycielki swego syna. Inge leżała pod prześcieradłem, gotowa na ostatnie spotkanie z Klarą. Klara też była gotowa. Widziała ją wczoraj, stąpała po jej krwi. Już w domu dostrzegła, że ma ją na butach. Szorowała je po ciemku, nie angażując w to Gerty i cicho pochlipując. Nie chciała mieszać w to nikogo z domowników. Tego ranka usiadła w salonie i poprosiła do siebie Fritza.

– Synku – zaczęła, nie wiedząc, jak potoczy się ta rozmowa. – Znalazłam pannę Hirsch – oznajmiła i głos jej się załamał.

Fritz szeroko otworzył oczy. Chciał coś powiedzieć, może nawet się uśmiechnął. Ale kiedy spojrzał na twarz matki, zmarkotniał. Zmarszczył bródkę.

– Umarła, tak?

– Tak, niestety, kochanie – powiedziała Klara i przygarnęła go do siebie. Znów poczuła opór z jego strony. Serce biło jej jak oszalałe. W końcu jednak Fritz zmiękł i pozwolił się przytulić. – Naprawdę się starałam – wyrzuciła z siebie, a żal ścisnął jej gardło. Nie chodziło o Inge, a przynajmniej nie do końca. Chodziło o niego. O jego samopoczucie. Traktował Inge jak dobrego ducha, który tchnął życie w jego matkę. Nauczycielka była miła, wyrozumiała i zaangażowana. Ładna... może nawet pokochał ją w swój chłopięcy sposób. Uczyła go muzyki, nowej umiejętności, której nie posiadłby bez jej pomocy. Była symbolem przemiany. A teraz miała już nigdy nie wrócić. Klara bała się, jak jej wrażliwy syn to przyjmie.

– Dziękuję, że jej szukałaś – powiedział i wtulił się w nią. Zazwyczaj był taki oficjalny, a teraz znów stał się jej małym, kochanym synkiem. Strasznie mu

współczuła. Dałaby wszystko, by móc cofnąć czas do tej feralnej środy, choć przecież i wtedy by jej nie pomogła. Musiała sama sobie wytłumaczyć, że nie była w stanie nic zrobić. Ale na razie obwiniała się przede wszystkim o to, że wtrąciła się do jej spraw. Może Inge zrobiła jej na złość i ściągnęła na siebie nieszczęście?

Klara dotarła do kostnicy w południe. Wszyscy już na nią czekali. Inge też.

Michael odsłonił prześcieradło. Klara odruchowo odwróciła głowę.

– Wszystko dobrze? – zaniepokoił się Gabriel.

– Tak, po prostu mi ciężko – odrzekła.

– Możemy zacząć? – zapytał Michael.

– Tak, zacznijmy – powiedziała i zmusiła się, by znów popatrzeć.

Michael przygotował raport. Był bardzo staranny i skrupulatny. A nie o każdym patologu można było to powiedzieć. Zawsze w gładkim, białym fartuchu. Jakby jego pacjentów w ogóle to interesowało. Ale z pewnością miało to znaczenie dla niego samego. Za każdym razem obchodził się ze zmarłym z szacunkiem i godnością, czego często brakowało zwykłym lekarzom.

– Obrażeń nie zadała sobie sama. – Zmarszczył czoło. Zazwyczaj jego niezbyt bogata mimika ograniczała się do kurtuazyjnego uśmiechu lub gniewnego grymasu ust. Ale kiedy reagował w taki sposób, oznaczało to, że był przejęty.

Białą skórę Inge znaczyły potężne rany. Ktoś ciął na oślep, bez większego zastanowienia. Chciał zadać jej ból. Chciał, by cierpiała, zanim poderżnął jej gardło. Miała zmasakrowaną twarz, szyję oraz wewnętrzne strony dłoni i przedramion. Broniła się, lecz niewiele mogła uczynić. Widać było, że w chwili napadu miała na sobie płaszcz, bo okaleczenia kończyły się w miejscach, w których zaczynały się rękawy.

– Ktoś, kto to zrobił, musiał jej nienawidzić – wykrztusiła Klara. Ujęła dłoń zmarłej i pogłaskała.

– To morderstwo zupełnie nie przypomina poprzednich – skonstatował Gabriel. – Wszystko jest inne, chociaż z pewnością... do pewnego stopnia podobne.

– No właśnie. Mamy most, który nie jest mostem. Tym razem jest to jednak ewidentne morderstwo, nie sposób pomylić go z samobójstwem. Nie ma ciała na rzece, bo woda w tym miejscu poniosłaby je w dal. No i wreszcie moja znajoma nie była ani prostytutką, ani tancerką – podsumowała Klara.

– Nie stawiałbym na naszych morderców. Raczej na kogoś, kto postanowił zrzucić na nich podejrzenia – zauważył Gabriel.

– Nie jestem pewna. – Klara pokręciła głową. – Tak jak wtedy, tak i teraz ktoś przysypał ciało śniegiem. Może znów powinęła im się noga?

– Ale to jest zupełnie inny *modus operandi*. Ktoś kaleczył ją zawzięcie, na oślep, w jakimś zapamiętaniu. Tamte morderstwa są, można by rzec, klinicznie czyste. Tu panuje chaos. – Gabriel odszedł na kilka kroków, by odetchnąć od tego

straszego obrazu. – Poza tym, jak sama powiedziałaś, panna Hirsch nie miała nic wspólnego...

– I tu się mylisz, bo jednak była w tym klubie. Musimy ustalić, czy tamte dziewczyny mogły w nim pracować – wtrąciła Klara.

– Tak, ale dyskretnie, sama wiesz. Gdyby twoje podejrzenia okazały się prawdziwe, moglibyśmy wystraszyć sprawców – zaznaczył.

– Poza tym – przerwał im Michael – brakuje mi tu jeszcze jednego szczegółu. Jeśli to ci sami mordercy, miałyby na nadgarstkach ślady krępowania.

– No właśnie! Opuściła dom dobrowolnie. – Gabriel lubił, gdy jego tezy się sprawdzały.

– Jeśli faktycznie tak było, co ją do tego skłoniło? – myślała głośno Klara. – Dlaczego zdążyła włożyć buty, a nie zamknęła drzwi?

– Może coś ją przestraszyło? – podsunął Gabriel.

– Tak sądzę. Ale nie w domu. Może dostała depeszę?

– Niczego przy niej nie znaleźliśmy. U niej w domu także.

– A więc posłaniec niosący przerażające wieści? – zastanawiała się Klara.

– Tak też sądziłem. Chyba że ktoś zastraszył ją bronią. Pistoletem? – Gabriel wrócił do stołu.

– Czy wtedy by jej raczej nie zastrzelił? – zaoponowała.

– Sama powiedziałaś, że to akt nienawiści – upomniał ją Gabriel.

– Ale przecież można kogoś zranić pistoletem, i to dotkliwie, zanim się go ostatecznie pozbawi życia – zauważyła.

– To musiała być sprawa osobista – mruknął Michael.

– A skąd taka konkluzja? – zdumiała się Klara.

– Michael może mieć rację – potwierdził Gabriel. – Kilka razy konsultowaliśmy się z Dieterem. Sam nas o to prosił. Odkąd w jego szpitalu nie ma zbyt wielu pacjentów do przewlekłego leczenia, prowadzi obserwacje. Badania, jak sam mówi.

– Zawsze powtarza, że morderstwa z użyciem noża mają osobisty charakter. Podobnie jak uduszenia – dodał Michael.

– Osobisty? – Klara po raz kolejny wzięła pod uwagę wątek niedoszłego męża z opery. – I to wyklucza pistolet?

– Żeby zabić kogoś nożem, musisz podejść blisko. – Dla podkreślenia swoich słów Gabriel przybliżył się do Klary. – Patrzysz w oczy i czujesz oddech konającego. Zanurzasz dłonie w jego krwi...

– Wystarczy, zrozumiałam – przerwała mu Klara. Nie chciała wiedzieć nic więcej. Miała wrażenie, że Inge jej słucha i ma żal, że jej w porę nie uratowała. – Kiedy przyjdzie ten medyk, który wydał ciało?

– Powinien za chwilę tu być. Na razie moi ludzie rozmawiają z nim w gabinecie Michała – odrzekł.

– Pójdę do niego. Dajcie znać, jeśli znajdziecie coś ponad to, co widzę – powiedziała i wyszła z sali sekcyjnej. Poprawiła na ramionach płaszcz, którego nie zdjęła ze względu na panującą w kostnicy temperaturę. W pokoju Eckerta czekała na nią niedopita kawa. Może jeszcze ciepła? Przyśpieszyła kroku.

Spod drzwi usłyszała rozmowę z medykiem.

– Przepraszam, bardzo się denerwuję – mówił.

– Spokojnie, jeszcze raz. To jakie miała te oczy? – pytał policjant.

– Takie, normalne... Ciemne, tak ciemne.

– Skośne, małe, krowie? – deprimował się funkcjonariusz.

– Takie, no... Sam już nie wiem.

Klara weszła do gabinetu bez pukania i zmierzyła wzrokiem policjantów stojących nad rozdygotanym medykiem.

– Jak wam idzie, panowie? – Znow przyjęła chłodny ton.

– Radzimy sobie, proszę pani. – Policjant także nie miał zamiaru się z nią cackać. To jeden z tych, którzy jeszcze za Fengla mawiali, że baba w policji przynosi pecha, zupełnie jak baba na statku. Z tą różnicą, że tamtą zawsze można utopić i nikt się nie zorientuje, a tu, jak to bywa w policji...

– To dlaczego ten pan tak bardzo się denerwuje? – Wstawiła się za przesłuchiwanym.

– Wiem, że to ważne, może nawet tak bardzo, że z przejęcia kompletnie nic nie pamiętam – bąknął medyk.

– Pomogę panu – zaoferowała się Klara i usiadła obok niego.

– Jak już mówiłem, radzimy sobie. – Policjant zaczął się denerwować.

– A ja panom nie będę przeszkadzać. – Klara nawet na niego nie spojrzała.

Wyciągnęła z torebki szkicownik i ołówek. – Zaczniemy od początku. Figurę pewnie już pan opisał. A mnie zależy na portrecie. Może więc zaczniemy od czegoś innego. Proszę zamknąć oczy i przypomnieć sobie, jaki miała głos.

– Przyjemny – odparł od razu. Kiedy nie widział policjantów, był znacznie spokojniejszy.

– A wyraz twarzy? Była smutna? Płakała?

– Nie, wydawała się obojętna.

– Buzię miała...

– Nieładną... Podniszczoną – stwierdził medyk i otworzył oczy. – Miała takie dwie zmarszczki. Tutaj... – Pokazał na czoło. – I tu. – Przejechał palcami od nozdrzy w dół. – Takie bruzdy.

Klara od razu je naniosła na naszkicowany wcześniej owal twarzy.

– Twarz bardziej pociągła. – Pokazał na jej szkic.

Klara poprawiła kreski.

– Dobrze?

– Tak, tak jakoś. I łatwiej mi będzie, jak dorysuje pani włosy. Upięte dość

wysoko w kok.

Klara wykonała jego polecenie.

Przez kolejne półtorej godziny Klara szkicowała, co chwila nanosząc poprawki. Medyk faktycznie nie był szczególnie dobrym współpracownikiem, ale po pewnym czasie z jego niejasnych wskazówek zaczęła się wyłaniać twarz. Gabriel i Michael zdążyli już wrócić. Szef odprawił swoich ludzi i sam sporządzał notatki. Eckert kręcił się trochę, ale w końcu zasiadł we własnym fotelu i przysnął na chwilę. Na dworze znów prószyło. Klara czuła już opór w dłoni. Ale wiedziała, że musi skończyć portret. Największy problem medyk miał z oczami, w których ciągle coś mu nie pasowało. W końcu jednak udało się im rozszyfrować i to.

– A te oczy to miała czarne jak węgiel – powiedział na końcu. – Puste. Wyglądały, jakby wchłaniały światło. I wie pani, co mnie uderzyło? – zapytał już całkiem rozluźniony.

– Tak? – Klara wpatrywała się w swój szkic jak zaklęta.

– Że jak na prostytutkę bardzo ładnie się wypowiadała. Była bezczelna, ale słownictwo miała bogate i...

– Bo to nie prostytutka – przerwała mu Klara. – To kobieta, którą widziałam w klubie.

– Na scenie? – zainteresował się Gabriel.

– Nie, wcześniej. Rozmawiała z kimś... Z mężczyzną. Tak naprawdę to on zwrócił moją uwagę. Być może potem też występowała. Miała na głowie opaskę ze strusim piórem... Ale nie doczekałam do tego momentu. Czy podała nazwisko? – zapytała Klara.

– Tak. Victoria L. Charlotte... – odparł Gabriel, patrząc w notatki.

– Jak nasza księżna, przyszła panna młoda? – Klara zaśmiała się ironicznie. – Skłamała, że zna ofiarę z ulicy. Więc i tu nie musiała mówić prawdy.

– A ja myślałem, że to dlatego, iż nie pracuje w żadnym domu publicznym i boi się, że na nią doniosę. A mnie zależało tylko, żeby ktoś pochował tę dziewczynę. Mówiła, że zna ją jedynie z widzenia, nigdy nie rozmawiała. Wszystko wskazywało na to, że parają się nierządem w nielegalnych warunkach – tłumaczył się medyk.

– Spokojnie, dzięki panu wiemy mniej więcej, jak wygląda – powiedziała Klara.

– Może powinniśmy jej złożyć wizytę w klubie? – zasugerował Gabriel.

– Zdecydowanie – przytaknęła Klara.

– Mamy jeszcze kilka godzin do otwarcia. Odwiozę cię do domu – zaproponował.

Klara wdrapała się na piętro, do sypialni. Była wykończona. Musiała się zdrzemnąć, by trochę odpocząć przed wieczorną pracą. Ale gdy tylko zaczęła ściągać grubą, zimową suknię, ktoś zadzwonił do drzwi. Usłyszała na dole głos

Dietera. Ucieszyła się, że przyjechał, nawet jeśli z niezapowiedzianą wizytą. Zapewne posprzeczał się z żoną. Ale i to jej nie przeszkadzało. Bernard wyjechał na kilka dni, więc mogli swobodnie... no cóż, prawie swobodnie, porozmawiać. Poprawiła suknię, potem włosy i nie czekając na Gertę, zeszła do holu.

– Dzień dobry – przywitała go zalotnie.

– Cóż za odmiana – zauważył Dieter z zadowoleniem. – Przyniosłem ci trochę prasy. Zainteresowana?

– Tak, z chęcią przejrzę. – Odebrała od niego stosik gazet. – Gerto, zaparz, proszę, kawę – poleciła gosposi. Gdy tylko ta zniknęła za drzwiami do kuchni, a Klara upewniła się, że dzieci bawią się na górze, pocałowała Dietera w policzek i spojrzała na niego spod rzęs. Bez słowa ruszyła do salonu, a on podążył za nią jak ciągnięty na niewidzialnej smyczy.

Zamiast jednak flirtować, Klara podzieliła się z doktorem opowieścią o swoim śledztwie. Ze wszystkimi najbardziej krwawymi szczegółami, co oczywiście na lekarzu wrażenia nie zrobiło, ale na jakiś czas odebrało mu ochotę na umizgi.

– To, co mówisz, z mojego punktu widzenia przedstawia się jeszcze inaczej – odezwał się po wysłuchaniu historii Inge.

– Co masz na myśli? – Nie czekając, Klara sięgnęła po notes. Zakryła białą kartką zaciętą twarz tancerki, którą naszkicowała.

– To może być jeden z morderców – powiedział. – Tym razem zapolował w pojedynkę.

– To zabójstwo faktycznie jest trochę inne. – Musiała to przyznać, choć nie chciała tego robić w towarzystwie Gabriela. – Przecież jeśli coś już się sprawdza, to po co to zmieniać?

– Klaro... – Dieter szeroko otworzył oczy.

– Przepraszam, staram się po prostu rozumować jak oni – tłumaczyła się.

– Więc... – Dieter zastanowił się. – Może w tej parze jest tylko jedna osoba odpowiedzialna za pozbawianie życia. Prawdopodobnie nie ta, która odebrała je twojej znajomej. Skoro już wspomniałaś o sprawdzonych schematach, a zgodnie ze słowami Gabriela to wyglądało na osobistą zbrodnię, ten drugi, dotąd odpowiedzialny za strategię, nie wie o zabójstwie z Scheibensteg.

– Czyli ta osoba chciała pozbyć się Inge *a conto* ich wspólnych dokonań?

– Tak. Nie wykluczałbym tego. Jedno z nich zagrało nieuczciwie.

– Czy to mogła być kobieta? – zapytała Klara, znów przewracając stronę...

– Cóż... tak, to możliwe. Musisz jednak wiedzieć jedno. – Dieter raczył się kawą, jak zawsze budując napięcie w ich rozmowach. Czerpał chyba z tego jakąś radość. – Kobiety, które zabijają, robią to w specyficzny sposób. Albo posiłkują się partnerem, co w mojej ocenie czyni je w równym stopniu winnymi, choć nie zawsze tak uważa sędzia. Ale szczególnie z angielskiej, a także z rodzimej historii

wiemy, że ich ulubionym sposobem na pozbawianie życia jest trucizna. Cicha, dyskretna i czysta. Poza tym niewymagająca użycia siły. Kobiety często mordują z przyczyn praktycznych. Dla pieniędzy. Dla wygody. Jeśli tego akurat zabójstwa dokonała kobieta, musiała być albo bardzo silna, albo potwornie zdeterminowana. Nie wiem dlaczego, ale wtedy ludzie dostają podwójnej mocy. W każdym razie jak ich złapiecie, chętnie z nimi porozmawiam. – Odchylił się i przytknął dłoń do brody.

– Mam nadzieję, że już niedługo – powiedziała Klara.

– Ja też. – Machnął ręką. – Zmieńmy temat.

Po dwóch godzinach Dieter wyszedł, a Klara została sama z przemyśleniami. Przeszła się po domu, rozprostowała kości, zajrzała do kuchni, skąd unosił się dość intrygujący zapach. Gerta wspominała, że na obiad będzie coś z dalszych stron świata. Sama woń już sugerowała, że domownicy mogą spodziewać się czegoś nowego, przywiezionego z Berlina, a rodem z Indii. Zajrzała na górę, do Fritza i Marie, którzy pod okiem Christiana roznosili bawialnię w strzepy. W tej akurat chwili syn Klary coś malował. Swoją drogą nieźle mu to wychodziło. Chwilę z nim rozmawiała, pozwalając córce, by ciągnęła ją za włosy i rękawy. Potem Klara wróciła do salonu i poczuła pustkę. Nie wierzyła, że przeglądanie dokumentacji po raz kolejny wniesie coś do jej śledztwa. Po prostu musiała czekać na przyjazd Gabriela. A tego bardzo nie lubiła. Gdy brała leki, czekanie stało się jej codziennością. Ale odkąd z nimi skończyła, było inaczej. Dla zabicia czasu zaczęła przeglądać gazety. Dieter przyniósł jej całą stertę, więc uznała, że w końcu ma co robić. Schemat był zawsze taki sam. Każda gazeta sygnalizowała kilka tematów na głównej stronie. Klara wybierała spośród nich jeden czy dwa, które naprawdę ją interesowały. Przeglądała je wewnątrz wydania, po czym sięgała po następny dziennik. Niektóre wychodziły trzy razy w ciągu dnia, więc informacji do przestudiowania było całe mnóstwo. Prasa coraz szumniej rozpisywała się o konflikcie między Bułgarią a Imperium Osmańskim. Klara zawsze bała się takich informacji. Uważała, że wojna nigdy nie toczy się daleko. Bo wojna jak zaraza błyskawicznie się rozprzestrzeniała i w końcu mogła trafić do Niemiec. A to byłoby straszne.

Poza sprawami *stricte* politycznymi, w tym ślubem Wiktorii Pruskiej, o którym rozpisywała się każda gazeta, chociaż droga do maja, szczególnie gdy wyjrzało się za okno, wydawała się niemożliwie długa, prasa zamieszczała reklamy. Domy mody, producenci kosmetyków i żywności czy restauracje przekrzykiwały się wzajemnie. Naturalnie pojawiały się wciąż reklamy prądu, bo wielu mieszkańców Breslau bało się nowoczesności, paląc w domach świece i lampy naftowe. Wiele firm używało rymowanych treści, często zabawnych. Reklamodawcy prowadzili różne interesy. Produkowali rowery, buty, piwo, silniki do aut. Coraz chętniej ogłaszały się Opel czy Mercedes, bo popyt na automobile

rósł. Tyle samo co samych reklam było w gazetach ogłoszeń. Klara celowo je omijała. Nie miała na razie zamiaru szukać Fritzowi nowego nauczyciela. Do nekrologów także jej nie ciągnęło, więc po przejrzeniu najnowszych trendów w modzie, polityce czy technice zmieniała gazetę. Gdy w pewnym momencie wpadło jej w ręce popołudniowe wydanie „Schlesische Zeitung” z poprzedniej niedzieli, po prostu oniemiała.

Chórzystka ugodziła księdza nożem. Ksiądz nie wnosi oskarżenia – głosił tytuł.

Klara szybko przewertowała strony gazety. Artykuł rozpościerał się na dwie szpalty, co czyniło go jednym z większych w tym numerze. Połowę stanowiły zdjęcia. Klara zmarszczyła czoło tak mocno, że zabolą ją skóra. Gazeta opisywała zajście spod kościoła Świętego Mikołaja, którego świadkiem była Inge. Gazeta niewiele o niej pisała. Pochwalono ją za szybkość reakcji. O księdzu wspomniano tylko tyle, że jego życiu nic nie grozi. Kapłan miał wspinałomyślnie stwierdzić, że napastniczka Anna Osterholz miała problemy z nerwami. No cóż, miała, w końcu to ona wcześniej kierowała chórem i musiała nie znosić Inge i Franza za to, że się sprzysięgli przeciwko niej. Klara nie mogła jedynie pojąć, dlaczego ksiądz nic nie wspomniał o zajściu. Czy był aż takim durniem? A może sam miał coś na sumieniu? Tego Klara jeszcze nie wiedziała. Za to była pewna jednego. Ze zdjęcia wykonanego przed aresztem śledczym patrzyła na nią Anna Osterholz, ta sama osoba, której portret autorstwa Klary spoczywał obok nieprzeczytanych gazet.

U Franza Klara, Gabriel i Wehrner wylądowali pod wieczór. Musieli odczekać swoje, by móc z nim porozmawiać. Ksiądz celebrował mszę, na której pojawiło się wyjątkowo wielu wiernych. Niemiała gospodyni poinformowała ich, że to pierwsza msza od wypadku i wszyscy chcą sprawdzić, jak on się czuje. Klara wiedziała, że zepsuje mu nastrój, gdy powiadomi go o śmierci Inge. Jak dotąd poinformowali jedynie rodzinę zmarłej, skrzętnie ukrywając szczegóły morderstwa przed prasą, która od razu wywęszyła temat. Oficjalnie był to wypadek, którego przyczyny nie są znane policji. A do wyjaśnienia żadne informacje nie zostaną podane. Ale Franz powinien wiedzieć. A przynajmniej tak się wydawało Klarze. Jednak gdy wszedł do zakrystii, gdzie czekali na niego policjanci i detektyw, którego już poznał, wydawał się w o wiele lepszym stanie, niż gdy widziała się z nim ostatnio. A minęły tylko trzy dni...

– Pani detektyw? – zdziwił się.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o Annie Osterholz? – Jej pytanie było jak grom. Naelektryzowało powietrze w niewielkim pomieszczeniu.

– Wspomniałem pani o ich niesnaskach – wyjaśnił spokojnie Franz.

– A o waszych niesnaskach? – Poklepała się w bok.

Ksiądz zdjął stulę i zawiesił ją na oparciu krzesła.

– Nie chcę, by osoba, która się nawróciła, miała kłopoty z powodu dziecinnej

zazdrości – odparł.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Panie Willich. – Gabriel postąpił krok do przodu. – Inge Hirsch nie żyje – powiedział z powagą. – Została zamordowana.

Franz zamarł. Zachwiał się i osunął na krzesło. Sanz podszedł do niego.

– Lekarza? – zapytał.

– Nie, nie... – Franz przetarł czoło, które momentalnie zrosiło się zimnym potem.

– Nadal uważa pan, że to był tylko dziecinny zatarg? – Klara przestawała panować nad nerwami.

Gabriel dyskretnie ścisnął jej łokieć.

– O Boże! – Franz jej nie słuchał. – Boże, dlaczego? – Ukrył twarz w dłoniach.

Sanz dobrotliwie poklepał go po plecach.

– Gdzie znajdziemy Annę Osterholz? – zapytał Gabriel.

– Ona mieszka... Mieszka nad klubem... w którym występuje – odparł drżącym głosem Franz, tracąc oddech z przejęcia.

– Dlaczego nie wniósł pan przeciwko niej oskarżenia? – upierała się Klara.

– Bo znów trafiłaby do więzienia – odparł Franz.

– Znów? – podchwyciła Klara.

– Już kiedyś odsiadywała wyrok – potwierdził ksiądz.

– Czyli recydywistka? No pięknie! – Klara wyrwała się z uścisku Gabriela.

– Wiem, że pani nie może tego zrozumieć. – Franz zdobył się na stanowczość. – Dla pani Inge także była kimś ważnym. Dla mnie stawała się wyjątkowa. – Żal sprawił, że znów na chwilę zaniemówił. – Ale nawet pani nie wie, ile mamy ze sobą wspólnego... Święta Klara także pochodziła z Asyżu, jak Franciszek. Oboje mieli wiele współczucia i wyrozumiałości dla grzeszników.

– Potrafiłby pan wybaczyć Annie śmierć Inge? – naciskała Klara.

– Klaro, powinniśmy już pójść – upomniał ją Gabriel.

Klara obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Nie jestem święta – zwróciła się do księdza. – I póty nie odpuszczę, póki odpowiedzialny za jej śmierć zbrodniarz nie trafi pod topór. – Zarzuciła płaszcz i wyszła z zakrystii. Potrzebowała ochłonać. Po kilku minutach zjawili się także Wehrner i Gabriel.

– Klaro, powstrzymaj emocje. Jesteśmy już całkiem blisko – poprosił Hübschner, gdy znaleźli się na uboczu.

– Przepraszam, ale jak dorwę tę Osterholz...

– Wcale się do niej nie wybieramy – ostudził jej zapał.

– Dlaczego? Na co czekamy? – oburzyła się.

– Na tego drugiego – odparł Sanz, rozumiejąc taktykę, którą podjął szef.

– Nie chcemy go spłoszyć, prawda? Czy liczy się dla ciebie tylko Inge, a rodziny pozostałych ofiar mają się zamartwiać do końca życia? – Gabriel chciał wpłynąć na jej ambicje.

– Jak niby masz zamiar to zrobić?

– Najpierw dowiedzmy się, za co siedziała Anna Osterholz.

Z samego rana Klara udała się do prezydium. Policjanci, w pełnej gotowości, uwijali się z papierkową robotą. Gabriel poddał trop, że jeśli jakimś cudem, co było wprost nieprawdopodobne, Anna Osterholz miała coś wspólnego z zabójstwami z Potsdam, muszą szukać właśnie tam. Ostatecznie namierzenie jej wyroku wcale nie trwało długo. Zaaferowany Taschke wpadł do biura z odręcznymi notatkami.

– Wygląda na to, że naszej podejrzanej udało się oszukać kilka osób. Zgadnijcie, co mam na myśli? – zapytał, zadowolony z siebie. Zmęczona Klara, zaspany Gabriel i jak zawsze stoicko spokojny Sanz popatrzyli na niego w taki sposób, że o zgadywankach nie było mowy. – No dobrze. Więc zacznijmy od początku. Osterholz ma w Potsdam męża i dzieci.

– Zaraz... To ile ona ma lat? – zapytał Gabriel, spoglądając na jej prasowe zdjęcie sprzed aresztu.

– Trzydzieści osiem – oznajmił Taschke i rzucił swoje notatki na stół. Zawsze chciał to zrobić. Był z siebie taki dumny.

– Trzydzieści osiem! – Gabriel nie mógł się nadziwić. – Bliscy nie utrzymują z nią kontaktów, bo siedziała, mam rację? – domyślił się Gabriel.

– Mniej więcej. Ponieważ nie siedziała za drobne przewiny, jak wmówiła księdzu, ale za współudział w morderstwie. I to dziesięć lat temu!

– Mamy zdziurę! – Klara klasnęła w dłonie, a Taschke jakby się zarumienił. Gabriel pokręcił tylko konspiracyjnie głową, dając mu do zrozumienia, żeby się tym nie przejmował.

– I wypuszczono ją? – zapytał zdumiony Sanz.

– Sprawa była dość niejasna. Od razu widać było, że osoba tej postury nie mogłaby dokonać zbrodni, o którą ją oskarżono. Ale nie wydała partnera i zapewniała, że to ona jest morderczynią.

– Poszła siedzieć za ukochanego. Ot, romantyzm... – rzucił zniesmaczony Gabriel. – W porządku. Tylko jak dostaniemy się do tego drugiego lub tej drugiej? Bo teraz sam już nie wiem, z kim mamy do czynienia...

– Musimy ją obserwować. – Klara wstała, jakby już wybierała się do klubu.

Gabriel pociągnął ją za rękę i posadził na krześle. Popatrzyła na niego oburzona.

– Zgadza się – zaczął wolno Gabriel, studząc jej zapał – ale dobrze byłoby wiedzieć, kim jest osoba z drugiej strony. Choćby poznać jej płęć, na przykład.

– I tu wkraczam ja – odezwał się Taschke.

– Co tam masz? – zapytał pobłażliwie Sanz.

– Kontakt do kobiety, która dzieliła z Anną celę – oznajmił triumfalnie. Wykonał kawał dobrej roboty, wiedział to.

– Świetnie! Ma telefon? – Gabriel ożywił się na tę wieść.

– Nadal przebywa w więzieniu...

– To jeszcze lepiej. Jest cały czas dostępna! – ucieszył się Gabriel.

– I tu jest pewien problem... – zawahał się Taschke.

– Jakiż to? – zdumiał się Gabriel.

– Kazała przekazać władzom więzienia, że będzie rozmawiać tylko z kobietą.

– Tak? – Klara uniosła wysoko brwi. – A to żaden problem. – Znów wstała i zakasała rękawy. – Prowadź! – zarządziła.

Zima utrudniała międzymiastowe rozmowy telefoniczne. Gdy po wielu próbach udało się nawiązać kontakt z więzieniem w Potsdam, w słuchawce trzeszczało i strzelało, a zniekształcone głosy brzmiały jak z zaświatów. Naczelnik więzienia wyraził zgodę na rozmowę z osadzoną. Więźniarka zapewne sama nie wierzyła, że w prezydium znajdzie się kobieta, której policjanci udzielą głosu. A jednak się myliła.

– Dzień dobry, nazywam się Klara Schulz i chciałabym porozmawiać o Annie... – zaczęła Klara, lecz rozmówczyni szybko jej przerwała.

– Nie sil się, złociutka. Pracujesz w policji? Czasy się zmieniają, a ja tu siedzę... Beznadzieja – weszła jej w słowo, a jej chropowaty, nieprzyjemny głos nie zapowiadał miłej rozmowy. – Chcesz wiedzieć coś o tej Osterholz?

– Tak, w jej sprawie dzwonię. – Klara miętoszyła w palcach kabel od słuchawki.

– Siedziała ze mną przez dziesięć lat. Wcześniej też się w coś wkopała. Tu nawet jak cię puszczą, to jakimś cudem znów wracasz. Siła przyzwyczajenia. Z więzienia nigdy tak do końca się nie wychodzi, wiesz?

– Teraz już tak. – Klara próbowała wczuć się w jej styl rozmowy, ale przychodziło jej to z trudem. – Za co osadzono Annę? – zapytała.

– Przecież wiesz. Dlatego dzwonisz.

– Za współudział w morderstwie. Dwa razy?

– Nie, tylko za drugim. Za pierwszym to były jakieś kradzieże. Gdzieś się z kimś tłukła. To niezłe ziółko, wiesz?

Dźwięk w telefonie charczał, a Klara musiała usłyszeć każde słowo. Mocno przyciskała okrągłą słuchawkę, zatykając przy tym drugie ucho.

– Może mówiła pani w celi o kimś...

– Może? – zapytała wymijająco rozmówczyni.

– Czy zechce mi pani to przekazać?

– Może? – pogrywała z nią osadzona.

– Proszę pani – zaczęła łagodnie Klara. – Mamy tu serię zabójstw, w których

mogą brać udział dwie osoby. Jedną z nich niemal na pewno jest Anna Osterholz. Jesteśmy przekonani, że osoba, która jej towarzyszy, to ta sama, za którą siedziała...

– Nie powiem ci na pewno, czy za kogokolwiek siedziała – przerwała jej kobieta.

– Nie rozumiem... – Klara miała wrażenie, że rozmówczyni z niej kpi.

– Ja też nie rozumiałam. W końcu ona cały czas mówiła, że nikt jej nie pomagał, a w celi gadała inaczej...

– Niechże pani mówi jaśniej. – Klara powoli traciła cierpliwość.

– Bo widzisz, często opowiadała o tym Nathanielu...

– Nathanielu... – powtórzyła Klara, by policjanci mogli zapisać imię.

– Ale czy można uwierzyć, że to człowiek, który za dnia śpi, a w nocy poluje? Jak wilkołak? Że zabija tylko zimą, wtedy, kiedy jego opiekun śpi? Że zmusza te kobitki, żeby same się cięły, wmawiając im, że tak będzie dla nich lepiej? Że mówi im: „wiesz, że umrzesz?” i każe im się zabić, gdy się z tym pogodzą? Podobno robi to, bo nimi gardzi. Jej też nie cierpiał. A ona go kochała. Ale on to ktoś, kto nie ma żadnych uczuć, takie puste naczynie, wiesz? Ale czy to możliwe, że w ogóle taki ktoś istnieje?

– Faktycznie brzmi dziwacznie... – Klara złapała się za głowę, nie zważając na hałas wpadający w jej zatkanie dotąd ucho. Ta reakcja była silniejsza od niej.

– Podobno znają się od dziecka.

– Ale Anna miała męża? – upewniła się Klara.

– Nadal gdzieś ma. Tyle że go zostawiła dla niego. Żeby się nim opiekować, jak mówiła. Najpierw chciała o nim zapomnieć i wyszła za męża, a potem do niego wróciła i wybrała taką ścieżkę. Ale ja ci nie powiem, złociutka. Nie powiem ci, że ten cały Nathaniel to prawda. Bo dla mnie to ona go sobie wymyśliła.

– A jeśli stwierdzę, że mamy dowody na to, iż w Breslau zabójców jest dwóch?

– Jeśli mi tak powiesz – kontynuowała osadzona – to ja ci powiem, że ten facet to jakiś dziwny typ. Chyba że ma jakąś dziwną pracę. Wiesz... Dozorca? Pracuje w nocnym klubie? Macie tam jakieś kluby?

– Mamy! – Klara niemal podskoczyła na te słowa.

– To ja bym tam szukała. Kończę, bo moje „wielkie nic” na mnie czeka – powiedziała kobieta i głośno ziewnęła. – Jak to się rozłącza, wiesz? – zwróciła się do pracownika więzienia w Potsdam. Chwilę później telefonistka poinformowała, że rozmowa została przerwana.

– To musi być mężczyzna! – zawołała Klara. – I chyba nawet wiem który – dodała uszczęśliwiona.

– Musimy myśleć jak oni – powiedział Gabriel, zamykając drzwi do sali, w której jak co poniedziałek zbierał wszystkich ludzi. – Gdyby Anna wabiła dla

Nathaniela aktorki z klubu, reszta zorientowałaby się, że coś jest nie tak. Dlatego zakładamy, że dziewczyny jeszcze tam nie pracują, że dopiero zgłaszają się na przesłuchanie, z którego już nie wracają do domów. Oni atakują tylko te samotne, więc nikt ich potem nie szuka. Być może Anna starała się zwabić tak Inge, oferując jej pracę. Mówię logicznie? – zapytał. – Nadążacie?

W odpowiedzi policjanci i Klara, która jako jedyna siedziała, a nie stała jak reszta, pokiwali głowami. Po sali przeszedł szmer, z którego wynikało, że to, co mówi Gabriel, jest jak najbardziej logiczne.

– Inge, choć nie pochodziła z Breslau, mogła być z nim kojarzona. Chór opery, publiczność opery, chór kościelny, parafianie, pracodawcy, których dzieci uczyła... Anna Osterholz miała zatarg z Inge, więc postanowiła się jej pozbyć, na wszelki wypadek działając tak, jak dotąd, gdy robili to wspólnie. Zabójstwo pod mostem miało odciągnąć naszą uwagę od ich konfliktu, szczególnie że przecież nie podaliśmy do wiadomości publicznej faktu, iż mamy do czynienia z parą morderców. Nawet dziennikarze wciąż sądzą, że chodzi o samobójstwa prostytutek. I gdyby Taschke nie znalazł tych wszystkich śladów pod Mauritius Brücke, pewnie my też nadal byśmy tak sądzili. Aż do chwili, w której znaleźliśmy Inge, ewidentnie zakłutą w akcie nienawistnego szału. Ten cały Nathaniel lubi czyste zabójstwa. Dlatego wybiera ofiary nierozpoznawalne, bez rodzin czy przyjaciół. Nie zabiłby kogoś, o kim pisano by w prasie z imienia i nazwiska i po kogo zaraz zgłosiłaby się rodzina – dopowiedziała Klara.

– Jeśli Anna powiedziała mu o swojej „solówce”, mógł już uciec – zasugerował ktoś z sali.

– Trzeba mimo wszystko spróbować. Pamiętajmy jednak, że jeśli nie znajdziemy Nathaniela, wywinie się nam, bo Osterholz go nie wyda – stwierdził Sanz.

– Musimy więc postąpić tak: znaleźć kobietę, która zechce odegrać rolę tancerki, pozwolić jej zwabić się w pułapkę i w odpowiednim momencie aresztować zabójców. Pamiętajmy, że nauczona wydarzeniami z przeszłości para nie morduje w innym miejscu, nie przenosi zwłok. Robi to pod mostem, pod osłoną nocy. Nasza podstawiona ofiara będzie w gruncie rzeczy w miarę bezpieczna, choć narażona na... niedogodności. – Gabriel nie znalazł odpowiedniego słowa. Po sali znów przeszedł pomruk. Zgoła inny od poprzedniego.

– Czy to nie wydaje ci się amoralne, szefie? – wtrącił Sanz. Gabriel nie konsultował z nim tego pomysłu. – Możemy narazić tę osobę na utratę życia.

– Dlatego musimy znaleźć kogoś o silnej osobowości, kto może być już w podobnej sytuacji. W Berlinie pracuje kilka kobiet. Mają te same obowiązki co my – odparł Gabriel.

– Lepiej byłoby, gdybyśmy znali tę osobę, ufali jej – zaznaczył Sanz. – Nigdy nie wiadomo, co robi kobieta, której zaproponowano współpracę

z wymiarem sprawiedliwości. – Zaśmiał się, a kilku policjantów gromko mu zawtórowało.

– Ja pójdę – zgłosiła się nagle Klara, ale usłyszał ją tylko Gabriel.

– Nie – odmówił cicho, ale stanowczo, jakby chciał zdusić tę propozycję w zarodku.

– Co „nie”? – zapytał wciąż rozbawiony Sanz, który jakimś cudem wyłowił jego głos spośród rechotu kolegów.

– Ja chcę pójść – powiedziała Klara znacznie głośniej. Na sali zapadła absolutna cisza.

Sanz przestał się śmiać i wbił wzrok w Klarę.

– Nie mogę ci na to pozwolić. Choćby ze względu na twojego ojca – zaprotestował.

– Ale to mnie szukacie. Jestem silna, otarłam się o śmierć i możecie mi zaufać. Będziemy tracić czas na szukanie kogoś innego i pozwolimy umrzeć kolejnej osobie? Musimy pamiętać, że zima niedługo odpuści, a wtedy Nathaniel zapadnie się pod ziemię. I nawet jeśli będziemy mieć podejrzanych, nie znajdziemy przeciwko nim dowodów. Musimy złapać ich na gorącym uczynku. Pójdę tam i wam to ułatwię.

– Absolutnie się nie zgadzam! – krzyknął na nią Gabriel.

Klara gwałtownie wstała, złapała go za rękę i przy wszystkich wyciągnęła z sali zebrań. Zamknęła drzwi, wzięła go pod ramię i odprowadziła na bezpieczną odległość.

– Czy mi się wydaje, czy to był twój pomysł, abym pomogła ci w śledztwie? – zapytała z wyrzutem. – Namawiałeś mnie do tego tak usilnie, że w końcu złamałam daną sobie przysięgę.

– Tak, ale nie miałem zamiaru cię zabić! – wykrzyknął teatralnym szeptem.

– Jeśli narazisz kogoś innego, będziesz mieć mniejsze wyrzuty sumienia? – zdziwiła się.

– Nie... Nie wiem! – emocjonował się Hübschner. – Nie mogę pozwolić, by stała ci się krzywda – wyjaśnił łagodniej. Nagle stał się bezsilny wobec własnych uczuć do niej. – Już raz prawie... – nie dokończył.

– Nie pozwolę znów się podejść, bo ty będziesz przy mnie. – Obdarzyła go ciepłym uśmiechem, raczej matczynym niż zalotnym. Mimo to podszedł do niej. Ujął palcami jej podbródek i delikatnie uniósł. Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Nie wierzę, że tego chcesz – stwierdził cicho.

– Niczego tak bardzo nie pragnę, jak dowiedzieć się, dlaczego nauczycielka mojego dziecka poniosła tak okrutną śmierć. – Była bardzo zdeterminowana.

Gabriel westchnął.

– Będę zaraz za tobą. Będę czuwał. Nawet jeśli wkroczę za wcześnie, wolę stracić podejrzanych niż ciebie – powiedział. Takiego go jeszcze nie znała.

W pracy był stanowczy, pyskаты, szybko wpadał w furję, gdy coś szło nie po jego myśli. Wtedy jednak, gdy te cechy byłyby požądane, w życiu prywatnym, rodzinnym, stawał się obojętny, bierny. Nie obchodziły go sprawy przyziemne. Dlatego nie miał zbyt wielu przyjaciół, bo przyjaźń traktował właśnie jak mało ważną przyziemność. Z tego samego powodu stracił narzeczoną. A tu, teraz był taki... inny. Zaangażowany. Chyba tego najbardziej brakowało jej w życiu. Zaangażowania ze strony mężczyzny. Bernard angażował się w dom i jego utrzymanie. Nie był wylewny uczuciowo, nawet wobec dzieci. Angus zaś angażował się od przypadku, jak zawsze. Gdyby tak połączyć ich trzech w jednego mężczyznę, wyszedłby ideał. Ale cóż...

– Złapiemy ich, zobaczysz – zapewniła go.

Wrócili do sali, gdzie rozgorzała wrzawa. Należało wszystko zaplanować. Musieli działać szybko, zanim którekolwiek z morderców zorientuje się, że policja depcze im po piętach. Czekali ich misterne i niebezpieczne zadanie.

Podczas gdy całe prezydium układało misterny plan, Nathaniel spał. A ona próbowała go obudzić. Zaczęła w sobotę. Ale nic to nie dało. To samo w niedzielę i od rana w poniedziałek. Ale Nathaniel nie miał zamiaru jej ulegać. Bała się, że tak już będzie zawsze. Że pozostanie w tym letargu, nie wiadomo na jak długo.

Pod wieczór Klara w towarzystwie policjantów z Prezydium Policji Breslau wykonała telefon do klubu. W słuchawce odezwał się mężczyzna. Z czasem jego sposób mówienia od razu skojarzył się jej z domniemanym właścicielem, którego widziała w towarzystwie Anny Osterholz. Była niemal przekonana, że po drugiej stronie stoi ów człowiek, choć naturalnie nie miała co do tego pewności.

– Telefonuję z takim pytaniem – zaczęła, a Sanz i Gabriel, zupełnie jakby się zmówili, zaczęli pokazywać na swoje języki, wypowiadając bezgłośnie słowo „akcent”. Klara skinęła głową i od razu postarała się, by jej niemiecki zabrzmiał bardziej wschodnio. – Czy poszukujecie tancerek do „Roteerdbeere”?

– Owszem, cały czas. Aktualnie szukamy kogoś do striptizu – odpowiedział, jakby chodziło o zakup słoniny.

– Ach, tak... – zachnęła się i przyłożyła dłoń do ust. Wolą, żeby nie doszedł do niego jej głośny, przyspieszony oddech.

– Chciałaby pani spróbować? To nic trudnego. Wie pani, o czym mowa?

– Tak, wiem... Mogę spróbować.

– Da się na tym zarobić – zachęcał ją na swój beznamiętny sposób.

– Wierzę...

– A przecież o to pani chodzi – namawiał.

– Tak, chyba ma pan rację – odpowiedziała z wahaniem. Jej drżący głos zdawał się potwierdzać to, w jakiej rzekomo znalazła się sytuacji.

– Przesłuchania prowadzimy we wtorki, gdy klub jest zamknięty. Ma pani czas jutro? – zapytał, a w jego głosie pobrzmiwało coś na kształt zadowolenia.

Choć może tylko się jej zdawało?

– Dobrze, przyjadę! – Klara z kolei starała się powstrzymać radość. Nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo. – O której powinnam się zgłosić?

– Proszę zajrzeć po dwudziestej – powiedział. – Ktoś się panią zajmie.

Klara wróciła do domu zadowolona z siebie. Do tego zdążyła na kolację, z czego była bardzo rada, bo praca w prezydium przez cały dzień sprawiła, że zapomniała o tym, jak bardzo zgłodniała. Teraz, gdy usłyszała stukanie naczyń w kuchni, przypomniała sobie o potrzebach własnego organizmu.

– Czy mój mąż się odzywał? – zapytała Gertę, gdy tylko weszła do kuchni.

– Dzwonił dziś rano, by zapytać o dzieci – odparła Gerta i splonęła. Bernard nie zapytał o Klarę, a ona właśnie ją o tym poinformowała.

– Dobrze, cieszę się – stwierdziła Klara, ignorując obojętność Bernarda.

– Czy pani jutro także wychodzi? – zapytała nieśmiało Gerta.

– Dopiero wieczorem.

– W sprawie tej nauczycielki? – dopytywała się gospoia.

– Owszem. Powinno się coś wyjaśnić. – Klara cichcem wyjęła spod serwetki ukrojoną piętke chleba i schowała za plecami. Ten nawyk pozostał jej jeszcze z dzieciństwa, kiedy to matka dąsała się, gdy Klara wyjadała składniki przyszłego obiadu. Musiała je więc przed nią kryć. I mimo że to był jej dom i jej chleb, wciąż tak robiła.

– Oby się wyjaśniło. Biedna kobieta... – Gerta pokręciła głową z tą swoją zatroskaną miną.

– Gerto, mam prośbę. Jeśli nie mówiłaś jeszcze panu Bernardowi, że pomagam policji, to... na razie nie mów. – Klara usiadła na zydelku, który zazwyczaj zajmowała Gerta. – Sama chcę mu o tym opowiedzieć – wyjaśniła, chociaż oczywiście było, że jeśli prosi o dyskrecję, to pakuje się w kłopoty.

Gerta spojrzała na nią ukradkiem.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała po chwili niewygodnego milczenia. – Ale wróci pani do domu, by sama przekazać wieści panu? – zapytała dwuznacznie.

Klara jasno odczytała jej lęk.

– Wrócę, cała i zdrowa. Nie martw się.

– Jutro. Zrobimy to jutro. Ale po raz ostatni – zapowiedział Nathaniel, przeciągając się na zapoconym łóżku.

– Nie śpisz? – spytała. – Powiedziałeś „ostatni”? – dodała.

– Tak. Jestem już zmęczony. – Wstał i podszedł do okna. Odsunął zasłonę i spojrzał na Niepoldshof, o tej porze rozświetlony jedynie jasnością padającą z okien otwartych lokali.

– A czym ty jesteś taki zmęczony? – oburzyła się.

– Nie zaczynaj...

– Jesteś sobą. Tym się zmęczyłeś?

- Tak! Dokładnie tak. Mam dość siebie – rzucił.
- Nie możesz mnie zostawić. – Wpadła w histeryczny ton.
- A ty mnie zmusić, bym został. Wiesz o tym – stwierdził. Miał rację.

Przewagę także.

– Nie boisz się, że tym razem cię wydam? – Otarła łzę. Była taka dziecinna i niedojrzała.

– I co im powiesz? Że doprowadziłem do kilku samobójstw? Nie ma prawa, które by mnie za to skazało. Za to twoja lista przewinień jest długa.

Od razu pomyślała o tej feralnej niedzieli przed kościołem. Czasem po prostu nie mogła się powstrzymać.

– Nie strasz mnie. Są miejsca gorsze niż więzienie. Wiesz, bo byliśmy tam razem. – Podbiła stawkę.

– Chcesz, żebym jutro tu był? – zapytał, puszczając mimo uszu jej słowa.

– Tak, Nathanielu. Chcę, byś tu był.

– Więc się nie odzywaj. Dopóki ci na to nie pozwolę – zarządził.

Tego wieczoru nie mówiła już nic, posłusznie czekając na jego przyzwolenie. Wiedziała, że jeśli chce znów to zrobić i nie popełnić tylu błędów co przy tej śpiewaczce, musi być mu posłuszna.

52 Most Szczytnicki.

53 Most Zwierzyniecki.

54 Most Pokoju.

55 Most Piaskowy.

56 Most Uniwersytecki.

57 Most Sikorskiego.

58 Ul. Portowa.

59 Zespół Elektrociepłowni Wrocławskich KOGENERACJA S.A.

XI

Klara nieśmiało zapukała w zamknięte na głucho drzwi. Po chwili zrobiła to po raz kolejny i zaczęła wątpić w powodzenie planu. Ale po kilku minutach usłyszała kroki. W szparze dojrzała postać dużego mężczyzny z wąsem, przypominającego typowego atletę.

– Ja w sprawie pracy. – Czują, jak puls rozrywa jej żyły. Zawsze szła na żywioł i nigdy się przy tym nie denerwowała. Tu, kiedy zbudowała strategię, a z każdej strony miała otaczać ją policja, omal nie zemdląła ze strachu.

Mężczyzna bez słowa szerzej otworzył drzwi i wpuścił Klarę do środka. Wewnątrz (wbrew jej oczekiwaniom) panował ruch. Aktorki miały próbę. Pianista zdawał się najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Otoczony półnagimi artystkami, tryskał energią i nie szczędził żartów. Choć zachowaniem przypominał trochę homoseksualistę. A może właśnie w tym tkwił jego sekret? Dlatego w jego towarzystwie dziewczyny czuły się tak swobodnie?

– Proszę tu zaczekać – nakazał wielkolud i poszedł na górę. Klara siedziała w kącie sali, a właściwie na zewnątrz, kątem oka śledząc to, co się dzieje na scenie. Pomiędzy dziewczynami kręciła się też ekipa porządkowa. Mężczyźni naprawiali drobne usterki, powstałe przy normalnym użytkowaniu lokalu, w którym piwo lało się hektolitrami.

Klara miała szansę się rozejrzeć. Ostatnim razem w klubie było ciemno. Dziś paliły się wszystkie światła. Na wszystkich ścianach wisiały ciężkie, pluszowe kotary, które skutecznie wytłumiały dźwięk. To wyjaśniało, dlaczego Klara nie słyszała na zewnątrz dźwięków odbywającej się w klubie próby, choć w środku było naprawdę głośno. Hałas ją męczył. Już po chwili poczuła wzbierającą irytację. Nie wiadomo z jakiego powodu oprócz chóru ćwiczącego na scenie w drugiej części sali grał jeszcze patefon. Dwa różne źródła dźwięku. I najwyraźniej jedno nie przeszkadzało drugiemu, bo dziewczyny zupełnie nie zwracały uwagi na płynące z głębi sali dźwięki *Lucrezii Borgii* Donizettiego.

Klara spojrzała w górę i zobaczyła schodzącego do niej atletę. Za nim, w pióropuszu na głowie i zwiewnej sukience, podążała Anna Osterholz. Właśnie w tym momencie Klara zaniepokoiła się, czy kobieta jej nie rozpozna. Czy przypadkiem nie miała do czynienia z kimś równie spostrzegawczym jak ona sama, kto wypatrzył ją tu w piątek i już wiedział, że to może być podstęp? Klara starała się coś w sobie zmienić. Mimikę, gestykulację, włożyła nieco krótszą i bardziej wydekoltowaną suknię. Ale już po pierwszym spojrzeniu Anny wiedziała, że kobieta nie dba o to, kim jest ta podstarzała girlaska. Ważne było raczej, że w ogóle

tam przyszła.

– Witaj... Jak cię zwą? – zapytała przymilnie.

– Klara. – Detektyw wstała i dygnęła. Ustalili, że będzie używać panińskiego nazwiska i prawdziwego imienia, żeby się nie mylić.

– Droga Klaro, napijesz się ze mną? – Anna pstryknęła palcami, a atleta powędrował do baru.

– Może... poproszę...

– Usiądź – poleciła Anna i zajęła miejsce naprzeciwko niej. – To nasze najgorsze miejsca – wyjaśniła, gdy Klara odruchowo znów powiodła wzrokiem w stronę sceny. – Stąd niemal nic nie widać. Ale za stół przy scenie trzeba słono zapłacić. A ty pewnie oczekujesz, że za pokazywanie tego, co masz najcenniejsze, sporo zarobisz. Prawda?

– Tak, na to liczę. – Klara zarumieniła się i miała nadzieję, że Anna nie zobaczy tego w mroku. Zapomniała już o akcencie. Zresztą to nie miało żadnego znaczenia. W klubie było wiele kobiet różnego pochodzenia. Łączyła je scena, na której bez skrępowania pokazywały wdzięki, otrzymując za to hojne wynagrodzenie.

– Nie wstydź się. To też sztuka – powiedziała łagodnie Anna.

A jednak. Zauważyła ten rumieniec.

– Co dokładnie miałabym robić? – Klara nie mogła się doczekać, aż dryblas przyniesie coś do picia. Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak się denerwowała. Miała nadzieję, że to nie on jest Nathanielem. Ze szczupłym właścicielem klubu łatwiej byłoby sobie poradzić.

– Poczekaj. Śpieszysz się? – Anna uśmiechała się do niej kokieteryjnie. – A poza tym to zależy od ciebie. W czym jesteś dobra? Tańczysz, śpiewasz? Masz za sobą karierę aktorską? Czyżby nie doceniono twojego talentu?

– Jestem aktorką – powiedziała Klara, co zresztą w tym momencie było prawdą. – Uczyłam się tańca w młodości. Często tańczyłam na scenie. Ale... – straciła wątek. Na szczęście wkroczył siłacz i postawił przed paniami dwie lampki szampana.

– Ale? – zachęciła ją Anna.

Klara czuła, że pogubi się w ustaleniach, które przyjęła z policjantami. Wolałyby opowiedzieć o sobie, choć w jej życiu niewiele wydarzeń można było porównać do gry na scenie teatru. Może do chodzenia po linie i do tresury dzikich zwierząt w jakimś cyrku, ale na pewno nie do Goethego czy Szekspira. Wolała polegać na opowieściach kogoś, kto sam przeżył „zdjęcie z afisza”.

– Za bardzo się tremowałam – wybąkała, wspominając słowa Inge.

– A więc trema? – zainteresowała się Anna.

– Zapominałam tekstu – skwapliwie dodała Klara. – Kręciło mi się w głowie, gdy miałam się odezwać. Któregoś razu pomyślałam, że jeśli mam występować na

scenie, to bez słów. Ale co to za aktorka, która miałaby się nie odzywać? – szyla dalej.

– Tu, jeśli nie śpiewasz, raczej nie masz głosu na scenie. Nie prowadzimy deklamacji. Ale możesz ten fakt nadrobić w inny sposób. – Anna mrugnęła do niej i zanurzyła wskazujący palec w szampanie. – Co jeszcze?

– Sprawy... osobiste. – Klara udała zakłopotanie.

– Kochliwa z ciebie dziewczyna? – Anna wyjęła dłoń z szampanki i lubieżnie oblizwała palec.

Klarę zmroziło. Czyżby Anna ją uwodziła? Jeśli tak, to w sposób, który na panią Schulz działał raczej odwrotnie.

– Można to tak ująć. – Starła się ignorować jej zaloty, by nie zdradzić się z odrazą, jaką do niej czuła. A uczucie to narastało w niej z każdą minutą.

– Lubisz mężczyzn? – zapytała Anna.

– Lubię towarzystwo – odparła wymijająco. Wiedziała, że od tej rozmowy zależy niemal wszystko.

– Sporo ich tu przychodzi. Ale i kobiety się zdarzają. Z nimi też trzeba umieć rozmawiać. Szczególnie po występach, gdy zamykamy klub. Rozumiesz?

– Nie do końca... – Klara rozumiała aż nadto, ale wołała to usłyszeć.

– To nie dom uciech. Jeśli tak pomyślałaś – wybac. Ale po występach nasze dziewczyny siedzą z gośćmi. Są wśród nich ludzie zagubieni i smutni, którym nic tak nie pomoże jak dobra rozmowa. A jeśli cokolwiek więcej się z takiej rozmowy rozwinie, to zawsze za obopólną zgodą i nie dla zysku. Dla niecierpliwych kochanków mamy pokoiki na górze. Chcesz zobaczyć?

– Nie wiem, czy chcę być czyjąkolwiek kochanką... – zaprotestowała Klara, co wydawało się jej dobrym, a przynajmniej naturalnym posunięciem.

– Jak już powiedziałam, za obopólną zgodą. Ale nigdy nie wiesz, kiedy trafisz na miłość życia. – Anna uśmiechnęła się i dopiero teraz Klara dojrzała, mimo półmroku, jak mocny był jej makijaż.

– No dobrze... Obejrzyjmy te pokoje – odparła z wahaniem Klara, po czym odważnie wstała z krzesła.

– Ładna jesteś. Będziesz mieć powodzenie. – Anna wzięła ją za rękę i poprowadziła w górę schodów.

Szły dwa piętra, gdzie muzyka płynąca z dołu stała się brzęczącym w oddali pomrukiem, przerywanym od czasu do czasu salwą śmiechu w wykonaniu wysokich, mocnych głosów. W połowie schodów przed wejściem do mieszkanek, do którego zmierzały, Anna zatrzymała się i oparła Klarę o ścianę. Była od niej niemal o głowę niższa, ale silna jak tur. Klara przymknęła oczy, próbując powstrzymać odruch wymiotny. Anna bez słowa rozpięła kilka guzików jej bluzki, a następnie przesunęła palcem po jej piersi.

– Musisz ładnie wyglądać. Nie ja sama decyduję tu o angażu – powiedziała

do pani Schulz.

Teraz Klara naprawdę zrozumiała, że nie jest gotowa na to, co miało nastąpić. Myślała tylko o tym, że jeśli pokój jest wytłumiony tak samo jak klub, to nawet Gabriel nie usłyszy jej wołania. Nie widziała go w środku. Nie wiedziała, gdzie jest. Nie miała pojęcia, czy udało mu się wejść do klubu przed nią, o czym ją wielokrotnie zapewniał. A teraz była w potrzasku, jak zawsze na własne życzenie. Choć tym razem przynajmniej nie omieszkała o swoich planach poinformować wszystkich policjantów w prezydium.

– Chodź – powiedziała Anna i znów złapała Klarę za rękę. Pociągnęła ją za sobą. Chcąc nie chcąc, Klara stawiała opór. Bardzo chciała ufać Gabrielowi, ale w tej sytuacji to nie było łatwe. Działo się z nią coś, nad czym nie miała żadnej kontroli. Jak wtedy, gdy przestała brać barbiturany, a jej głowa nie mogła tego zrozumieć, tak teraz jej ciało poddawało się czemuś, czemu się sprzeciwiała. Podczas gdy zdrowy rozsądek krzyczał, by uciekała, poczucie obowiązku pchało ją naprzód. Odpuściła i podążyła za Anną w górę schodów, do ciężkich drzwi.

Kobieta przekręciła klucz w zamku i wpuściła Klarę do środka. W powietrzu dało się wyczuć zapach stęchlizny. Mieszkanie było ciepłe, może nawet duszne. Gdy tylko weszły do środka, Anna po raz kolejny przyciągnęła Klarę do siebie. Wyjęła spinki z jej włosów i pozwoliła kosmykom opaść na ramiona. Drobną dłonią pogładziła ją po twarzy. Stała za jej plecami i lekko popchnęła ją w stronę salonu, z którego sączyło się światło.

– Nie krępuj się – zachęciła ją, a chwilę później uszczypnęła Klarę w pośladki. Detektyw przeszła kilka kroków, po czym usłyszała, że Anna zamknęła drzwi na klucz.

Znalazła się w salonie. Żółta żarówka oprawiona w przepalony abażur rzucała spod sufitu mdłe światło. Było go zdecydowanie za mało, przez co Klara poczuła nagły dyskomfort. Zawsze w takich warunkach bolała ją głowa. Spojrzała na fotel w rogu pokoju. Siedział w nim mężczyzna. Przy nim na krzywym stoliku stała butelka wina, a obok niej samotny kieliszek.

Gabriel, który dotąd wbijał gwoździe w nadwerżony parapet jednego z klubowych okien, uznał, że pora zacząć działać. Klara zniknęła kilka minut temu. Widział, że była zdezorientowana. Nie mógł dłużej czekać. Jak dotąd nie podnosił głowy zbyt wysoko, by go nie rozpoznano. W końcu jego zdjęcie ukazywało się w prasie przynajmniej raz na dwa miesiące. Teraz jednak wyprostował się i spojrzał porozumiewawczo na swoich ludzi, którzy od paru godzin myli sprzęty barowe, podłogi, dokręcali śruby w krzesłach i szorowali toalety. Czterech z nich przerwało swoje zajęcia i dyskretnie opuściło lokal. Na schodach nadziali się na atletę. Stał przed nim w pięciu.

– Tam nie wolno, panowie – zaprotestował siłacz.

– Nam wolno wchodzić wszędzie – oznajmił Gabriel i pomachał mu przed

nosem dokumentami.

Osiłek ciężko westchnął i odsunął się, robiąc im przejście.

Klara stała jak sparaliżowana, wpatrując się w Nathaniela. Nie dlatego, że jego oczy budziły mroczne skojarzenia. Puste jak dwie dziury, nie odbijały światła, ale je chłonęły. Zupełnie jak oczy Anny. Również nie dlatego, że miała do czynienia z mordercą, który potrafił zmusić swoje ofiary do zadania sobie śmiertelnych ran. I wreszcie także nie dlatego, że nie był to właściciel klubu, z którym widziała Annę i z którym wczoraj mogła rozmawiać przez telefon. Patrzyła na niego i miała wątpliwości. Czy własny umysł mógł płatać jej figle? A może to był wpływ barbituranów?

– Franz? – zapytała, a imię księdza z trudem przeszło jej przez gardło.

– Franz śpi – odpowiedział Nathaniel. Miał inny głos. Nie, to nie z nim rozmawiała wczoraj przez telefon, poznałaby. Ale mimo wszystko mówił jakoś inaczej niż ksiądz, którego niedawno odwiedziła.

– Znasz go? – Anna odsunęła się od Klary. Nie wystraszyła się, wręcz przeciwnie. Rozbawił ją ten fakt.

– Panie Willich? – ponowiła Klara. – Co pan wyprawia?

Ale Nathaniel wpatrywał się w nią tak, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd może ją znać. Zmrużył nawet swoje czarne ślepia, choć Klara pamiętała, że Franz Willich ma jasne, błyszczące oczy.

– Znasz go? – powtórzył pytanie Nathaniel. Mówił o księdzu w trzeciej osobie.

– Nie rozumiem... – Klara odruchowo zaczęła się wycofywać.

– Ty... byłaś ostatnio u niego. Szukałaś Inge Hirsch? Ale ona umarła... – mówił Nathaniel. Jego głos zmatowiał, jakby bronił się przed emocjami.

– Jak to: szukała Inge Hirsch? – Anna zwróciła się do Nathaniela.

– O ciebie też pytała – powiedział obojętnie, jakby to wszystko wokół w ogóle go nie dotyczyło.

– Kim ty jesteś? – zapytała Anna, teraz już zdenerwowana.

Usłyszeli mocne uderzenie w drzwi. Potem kolejne.

– Widzisz, do czego cię to zawiodło? – Nathaniel zwrócił się do Anny i spokojnie wyciągnął się w fotelu. Kobieta zaczęła rozglądać się za nożem, który zawsze leżał przygotowany. O dziwo, nie zauważyła, że Nathaniel zabrał go ze sobą.

– Co robisz? – krzyknęła przy akompaniamencie wyważanych drzwi.

– Jestem zmęczony – stwierdził beznamiętnie.

W tym momencie do środka wtargnęła policja.

W sali przesłuchań w prezydium Klara, wciśnięta w kąt, resztką sił powstrzymywała się, by nie zaatakować Anny. Miała ochotę wbić jej palce w oczy i wciskać aż do oporu.

– Jak mam się do pani zwracać, Anno? Pani Osterholz czy panno Willich? W końcu mąż się pani wyrzekł, a brat... Brat zajął jego miejsce. – Gabriel chrząknął. Dawno nie miał tak paskudnej sprawy. Ale czuł się podwójnie zadowolony. W końcu właśnie rozwiązywał sprawę sprzed lat, którą dawno zamknęto. Mógł otworzyć ją na nowo i poszukać rodzin zaginionych, by pomóc im odzyskać spokój.

– To nie tak, naiwny chłopczyku – zwróciła się do Gabriela z pogardą w głosie Anna.

– Więc może mi pani o tym opowie? – zapytał niewzruszony Gabriel.

– Nathaniela i mnie łączą zainteresowania. Nie łóżko – wyjaśniła rzeczowo.

– Sypiam z właścicielem klubu. I z kobietami, które zatrudnia. To mi wystarczy.

– Zainteresowania... Ciekawe hobby – skomentowała Klara przez zaciśnięte zęby.

– To nie hobby, lecz styl życia. Wręcz misja – oznajmiła Anna.

– Misja to coś dobrego, a nie zabijanie dla przyjemności.

– Większość z nich sama się zabiła, pamiętaj – zaznaczyła Anna.

– Nie wszystkie – zauważyła Klara.

– Ach, no tak... Ty na pewno chcesz wiedzieć, co się stało z Inge? – Osterholz odezwała się bezpośrednio do Klary. Sprawiało jej to ogromną satysfakcję.

– Wiem, co się z nią stało... Znaleźliśmy ją – oznajmiła Klara.

– Nie masz pojęcia... – zaprzeczyła Anna. – Ale ci opowiem.

Inge tuliła się do śpiącego Franza. Sama jednak nie mogła usnąć. Wyrzuty sumienia wyparły poczucie spełnienia. Zaczęła odczuwać niepokój. Co teraz będzie? Co powie on, gdy się obudzi? Cicho wstała i poszła do kuchni. Zaparzyła kawę, usiadła na krześle i jak to ona, postawiła kubek przed sobą, położyła dłonie na stole i rozpoczęła podróż przez burzę myśli. Franz obudził się po półgodzinie. Stał w drzwiach. Nie miał koszuli, jedynie spodnie. Patrzył na nią. Milczał.

– Jak się czujesz? – zapytała, nie mogąc znieść ciszy.

Podszedł do niej i usiadł obok. Objął ją w pól i przyciągnął do siebie. Pocałował przeciągle i przyłożył swoje czoło do jej czoła.

– Nie wiem... – odparł szczerze. – Dziwnie.

– Przepraszam – powiedziała. Spodziewała się innej odpowiedzi.

– To ja przepraszam, nie chciałem cię urazić. Chodzi mi o to, że muszę sobie to wszystko poukładać.

– To znaczy?

– Trudno powiedzieć teraz, gdy przyszedł ktoś, kto wyrócił ci wszystko do góry nogami... Albo przywrócę temu... – postukał się w skroń – ...dawny porządek, albo spodoba mi się ten stan i będę chodził po suficie. – Zaśmiał się bezgłośnie, wciąż patrząc jej w oczy z bardzo bliska.

– Nie zostawiaj mnie teraz. – Przymknęła powieki.

Musnął wargami jej usta.

– Nie mam zamiaru. – Znów to zrobił, a ona gorliwie odwzajemniła pocałunek. – Ale nie każ mi się deklarować, przynajmniej na razie.

– Chcę wiedzieć, gdzie jestem – naciskała. Jej samej ta sytuacja zdawała się trudniejsza niż z punktu widzenia księdza z wieloletnią posługą na koncie i jarzmem celibatu. Bo to przecież jarzmo, nie przyjemność.

– Jesteś tu. – Przyłożył jej dłoń do swojego serca. – I tutaj. – Przeniósł tę dłoń na swoje czoło. – Chcesz wiedzieć, o czym teraz myślę? – Prowadzona przez niego dłoń Inge dotknęła tego miejsca, które celibat objął szczególnym nadzorem. – Tak? – zapytał.

– Tak – odparła. Zakręciło się jej w głowie. Franz zaniósł ją do sypialni. I znów się kochali.

Po południu po namiętym poranku i cichym, ukradkowym rozstaniu z księdzem przygotowywała nuty na próbę. Zastanawiała się, jak to przetrwa. Franz bardzo się jej podobał. Wiedziała to od początku. Namiętność tak się w niej spotęgowała, że nad nią nie panowała. Zalecała się do niego, rozpracowywała go, a teraz, kiedy już dopięła swego, zobaczyła, że zabrnęła w ślepy zaułek. Jak mogła sądzić, że ksiądz tak z dnia na dzień zrezygnuje z posługi? Miałby zostać jej utrzymankiem, dzień w dzień wypominając, że sama tego chciała? Nie, on taki nie był. Ale czy na pewno? Marzyła o mężczyźnie jego pokroju. Silnym, charyzmatycznym, pełnym wiary. No, może nie w tym sensie... Chodziło jej o wiarę w siebie. A Franz w siebie wierzył. Był najlepszą osobą, jaką spotkała w życiu. Nie mogła się więc spodziewać, że ten chodzący ideał ot tak po prostu rzuci wszystko to, na co pracował. To byłoby niezgodne z jego naturą.

Jak będą się spotykać, jeśli on nie zechce odejść z posługi? Bo przecież nie na plebanii. W końcu któryś z jej wścibskich sąsiadów zorientuje się, że odwiedza ją ksiądz. Chyba że będzie przychodził w nocy. A wtedy? Co z gosposią? Jeśli tylko zdecydowałby się na odejście z Kościoła... Ale... czy będzie się jej wtedy tak bardzo podobał bez tej sutanny? Czy zakazany owoc nie jest najśłodszy? Spowszednieje jej, stanie się gruby i marudny, a ona do końca życia będzie sobie pluć w brodę, że sprowadziła go na manowce.

Wreszcie dała za wygraną. Co będzie, to będzie. Dostała rano pocztę, z której wynikało, że być może przybędzie jej następny bogaty uczeń. Nie mogła pozwolić, by wykończyło ją kolejne niefortunnie ułożone uczucie. Musiała zadbać o siebie bez względu na ich relacje w przyszłości. Pocieszała ją tylko myśl, że teraz oboje mają sekret. Że oboje w tym tkwią.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Pomyślała, że to on wrócił. Zerwała się natychmiast, w biegu poprawiając kok. Ale ku jej zdumieniu w wejściu stała Anna. Rimmel[60], którym tancerka czerniła rzęsy, spłynął jej na policzki. Inge

zastanawiała się, czy to przez szalejącą na dworze śnieżycę, czy może od płaczu.

– Inge – jęknęła kobieta, a po jej policzkach popłynęły łzy. A jednak płakała.

– Czego chcesz? – zapytała śpiewaczka. Gardziła nią. Nie miała zamiaru tego kryć.

– Musisz pójść ze mną. Chodzi o Franza! – rzuciła Anna i przyłożyła dłoń do ust.

Inge zaniepokoiła się. Anna nie udawała.

– Co się stało? – zapytała. – Co mu zrobiłaś?! – dodała, pewna, że to znów jej wina.

– Tym razem to nie ja, przysięgam! Musisz mi pomóc...

– Wyjaśnij mi chociaż! – zażądała przerażona Inge i od razu zaczęła wkładać buty.

– Nie ma czasu, pośpiesz się! – ponaglała ją Anna.

Inge zarzuciła płaszcz i wybiegły razem na ulicę. Bała się, że księdzu przytrafiło się coś złego.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zapytała Inge.

– Spotkałam go, gdy szłam do kościoła. Sprzątam tam czasem – łkała Anna.

– Powiedział, że musi coś załatwić. Był jak nie on... Zapytałam, o co chodzi. Powiedział, że stracił wiarę... – Dławiła się od płaczu. – I że nie ma dla niego nadziei.

Inge pobladła.

– Gdzie on teraz jest? – zapytała.

– Poszedł nad rzekę. Jestem pewna...

– Nad jaką rzekę? – Niepokój Inge rósł z każdym słowem Anny. Mimo że nic z tego nie rozumiała.

– On ci nie powiedział ważnej rzeczy, moja droga. – Przystanęła i spojrzała na Inge umęczonym wzrokiem. – Franz to mój brat.

Inge szeroko otworzyła oczy. Informacja sprzed sekundy była po prostu niewiarygodna. Ale wiele wyjaśniała. Jak choćby to, że nie wniósł oskarżenia. Chciał chronić siostrę, do której wolał się nie przyznawać ze względu na jej przeszłość. Dlatego dał jej pracę. Dlatego ona była o niego zazdrosna!

– Nie wiem, co powiedzieć – wydukała.

– Nic nie mów, po prostu mi pomóż, bo wiem, że Franz chce sobie coś zrobić! – jęczała Anna.

– Zatem pośpieszmy się!

Brnęły przez zaspę śniegu. Tramwaje nie kursowały, przez co ich droga niemiłosiernie się dłużyła. Podróż w zawierusze była trudna i męcząca. Mimo to obie gnały, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Anna wspomniała zdawkowo, że Franz miewał już próby samobójcze. Zawsze wiązały się one z rzeką. Cel, do którego zmierzały, znajdował się w pobliżu Städtische Elektrizitätswerke, gdzie

woda rzadko zamarzała. A jeśli już, to lód był cienki i łatwo pękał. Inge biegła pierwsza, gnana myślą o uratowaniu ukochanego. Tym bardziej że to wszystko mogło mieć związek z nią.

Po półgodzinie dotarły na miejsce. Zziębnięte i ociekające potem.

– Poszukajmy go – zarządziła Anna. – Ty pójdz w tę stronę, a ja w drugą, dobrze?

– Zgoda – odparła Inge i szybko odeszła we wskazanym przez Annę kierunku. Przebijała się przez zaspy. Nad rzeką śnieżycą stała się po prostu nieznosna. Inge zapomniała rękawiczek. Po chwili zdała sobie sprawę, że z przejścia chyba nie zamknęła drzwi do domu. Nie szkodzi. Wolałaby dać się okraść, niż go stracić. W pewnym momencie wydawało się jej, że w szaleńczo wirujących płatkach zgubiła drogę. Niczego już nie widziała, ani rzeki, ani ulicy, która została gdzieś w tle, a mętne kształty kominów Städtische Elektrizitätswerke ledwo przezierają przez tę białą burzę. Jedyne punktem odniesienia pozostał wiadukt kolejowy nad rzeką. Spanikowała i postanowiła zawrócić. Wolała nie błąkać się sama nad wodą. Podążyła w stronę, jak mniemała, ulicy. Wtem na jej drodze stanęła Anna.

– Znalazłaś go? – zapytała Inge.

Ale Anna nie odpowiadała. Była teraz zupełnie inna. Już nie płakała. Jej oczy zamieniły się w dwie czarne jak otchłań dziury.

– Spałaś z nim? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Anno... – jęknęła Inge. Czuła się taka bezsilna. Musiała go odnaleźć, a nie odpowiadać na prywatne pytania. – A co to ma do rzeczy? Musimy go znaleźć!

– A więc spałaś... – Anna pokręciła głową. Zaczęła przerażać Inge.

– Szukajmy Franza – zaakcentowała każde słowo.

– Ja wiem, gdzie on jest – powiedziała Anna.

– Jak to?

– Jest na plebanii. Szykuje się do mszy – odrzekła spokojnie. – Ale rano był chyba u ciebie?

Inge poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Bezsilność narastała. Zaczynało jej brakować tchu.

– Uwiodłaś mojego brata... A on jest mój. Tylko mój. Rozumiesz? – Anna wyciągnęła z kieszeni płaszcz nóż. Ostrze czaiło się w śnieżycy, niebezpieczne i odbierające rozum.

– To był błąd, przyznaję. – Inge wyciągnęła dłonie w stronę napastniczki, próbując ją uspokoić. Wtedy Anna zadała ostrzegawcze cięcie. – Aach – syknęła Inge. – Co robisz? Opamiętaj się!

– A ty nie mogłaś się opamiętać? – Anna machnęła parę razy nożem tuż przed twarzą Inge, znów zmuszając kobietę do wyciągnięcia dłoni w obronny geście.

– Twój brat i tak mnie nie chce. Odejdę z kościoła i nigdy mnie nie zobaczysz. Tylko przestań, błagam!

Anna nie słuchała. Natarła na bezbronną Inge. Cięła jej dłonie, które śpiewaczka z każdą bolesną raną coraz bardziej zbliżała do twarzy. W końcu poczuła zimne mrowienie na policzku.

– Pomocy!!! – krzyknęła ile sił w piersiach, lecz właśnie wtedy Anna zamachnęła się z całej siły i zadała jej potężny cios w krtani. Cóż za ironia losu. Gardło było jej najcenniejszym skarbem. To głos ofiarował jej najwięcej rozterek i uniesień. Całe życie przeszło jej przed oczami. Złapała się za szyję. Czowała ciepłą krew przeciekającą jej przez palce. Nie mogła nabrać oddechu. Gorąca maź zalewała jej płuca, napływała do przetyku i ściekała na śnieg. Panicznie próbowała złapać powietrze, lecz nie była w stanie. Tonęła. Duszyła się, dławiła. Połykała krew, czując w ustach jej metaliczny smak. Anna nie odpuszczała. Jej czarne jak smoła oczy otwierały się przed Inge niczym wrota mroku, który ją coraz bardziej pochłaniał. Już nie czuła bólu, a jedynie zimne mrowienie, które od czasu do czasu przesywało jej twarz. Broniła się jeszcze przez kilka minut, próbując odepchnąć Annę. Ale mimowolnie odpływała. Padła na kolana, wciąż uciskając szyję. Zobaczyła plamy na śniegu. Irracjonalnie przypomniały jej róże, które dostawała po koncertach. W Görlitz. Dlaczego tam nie została? Anna przewróciła ją na plecy, tnąc jej twarz na oślep. W końcu Inge poddała się otchłani. W jakimś niewytłumaczalnym majaku ujrzała siebie na scenie, nagradzaną burzą braw, obsypywaną kwiatami. Nie czuła strachu. Była szczęśliwa.

– I jak ci się podoba? – zapytała Anna, patrząc na roztrzęsioną Klarę. Policyjny skryba wynotował każdy szczegół tej historii. Anna wiedziała, że to jej koniec. Stało się, powiedziała wszystko. Choćby nawet trudno było udowodnić jej związek z morderstwami, których dokonała wspólnie z Nathanielem, to w przypadku Inge jej udział z pewnością zostałby udowodniony. Przecież właśnie dlatego do niej trafili, że ją podejrzewali.

Klara słuchała w ciszy. Siedziała w rogu pokoju, trzęsąc się z wściekłości. Woliała milczeć, niż powiedzieć coś, co postawiłoby ją w złym świetle. Chociaż przez jej głowę przechodziły różne słowa i myśli. Od wyzwisk kierowanych w stronę Anny, po scenę, w której wbija jej pióro w oko. Ale powstrzymywała się resztką sił.

– Co może nam pani powiedzieć o tancerkach, które zginęły pod mostami? – zapytał Gabriel.

– To były ludzkie śmiecie, jak ta twoja śpiewaczka.

– Dorota Ostropolska? – dopytywał Hübschner, ignorując fakt, że Anna uczepiła się Klary.

– Dorothea... Przyszła na przesłuchanie jak ty. – Anna nie odrywała wzroku od detektyw. – One wszystkie były takie same. W drogich kieckach odkupionych

od znudzonych nimi bogatych, przeżytych panius i podpisanych, na wypadek gdyby spodobały się którejs z koleżanek. – Zamilkła na sekundę. Zaśmiała się. – Czemu się nie zorientowałam? Od początku nie wyglądałaś na artystkę...

– Łatwy cel? O to chodziło? Kobiety w potrzebie, których wyrzekł się cały świat? – dopytywał się policjant.

Anna westchnęła się z pogardą.

– Nie był taki łatwy. Wiesz, ile trzeba było je urabiać, żeby podcięły sobie żyły? – zadrwiła.

– A Inge? Nie dała się urobić? – zapytała Klara.

– Nathaniel niepotrzebnie za bardzo uwierzył w tego klechę, którym się stał. Rozkochiwał w sobie parafianki, ale tylko jedna była na tyle bezczelna, by go uwieść. Zasługiwała na śmierć bardziej niż reszta. – Znów zaadresowała słowa do Klary. Nienawidziła jej za to, że została przez nią zdemaskowana.

– Uważaj sobie – odezwał się Taschke. – Kobiety też bijemy – zagroził.

– Nie boję się was – odrzekła butnie. – Bicia też. Nie takie rzeczy mnie w życiu spotkały.

– A kata? Jego też się nie boisz? – zapytała w końcu Klara. – Ciekawe, czy tocząca się głowa coś jeszcze widzi? Mam nadzieję, że tak, bo tego ci właśnie życzę. – Wstała i wyszła. Na tym polegała jej przewaga. Mogła w każdej chwili wyjść. Ale historii Inge chciała wysłuchać do końca. Nie miała zamiaru pokazać Annie, jak bardzo nią ona wstrząsnęła. Nie da jej tej satysfakcji.

Odetchnęła i zapatrzyła się w okno. Z zamyślenia wyrwał ją Aangus, który wypadł z sąsiedniej sali, gdzie przesłuchiowano Nathaniela. Był absolutnie zachwycony.

– Ten człowiek to prawdziwy fenomen! – powiedział do Klary i pocałował ją prosto w usta.

– Serio? – zapytała z odrazą do jego euforii.

– Chodź i sama zobacz!

Weszli do sali. Już od progu Klara poczuła się dziwnie. W pełnym świetle, o które w prezydium bardzo dbano, gdyż sprawiało, że przesłuchiwani czuli się nadzy, siedział ksiądz. Ten sam, któremu jeszcze parę dni temu szczerze współczuła. Co do którego miała wyrzuty sumienia, stawiając go na równi z własnym synem. To był przecież on. A jednak nie do końca...

– Proszę jeszcze raz się przedstawić – poprosił Sanz, który wziął na siebie przesłuchanie kapłana. Sam siedział równie oniemiały jak Aangus, wpatrzony w przesłuchiwanego jak w obraz jakiegoś mistrza.

– Nathaniel... – powiedział, nie patrząc na nich. Był nieobecny, jakby przybył do tego świata przed chwilą i na chwilę.

– Nathaniel i coś dalej?

– Nie.

– Kim jest Franz Willich? – Angus usiadł naprzeciwko niego po cichu, jakby nie chciał go spłoszyć. Klara zajęła miejsce obok.

– Już mówiłem, to mój... opiekun. Choć sam wolę mówić o nim nadzorca.

– Gdzie jest teraz Franz Willich? – Dieter pod stołem chwycił dłoń Klary. Był przejęty. Trafił mu się fascynujący pacjent. A przynajmniej miał nadzieję, że dostanie go w swoje ręce.

– Śpi – odrzekł Nathaniel.

– Czy możemy go obudzić?

– Nie w tej chwili. – Ksiądz wbił czarne oczy w Klarę. Ale nie patrzył na nią, tylko jakby przez nią. Zupełnie jak gdyby miał możliwość zobaczyć to, co ma w środku. Jej myśli, wspomnienia. Lub po prostu mózg.

– Może pan kontynuować swoją historię? – poprosił Angus.

– A na czym skończyłem? – zapytał Nathaniel i uśmiechnął się. A ów uśmiech wyrażał taką samą pustkę jak jego wzrok.

Po tym jak Nathaniel zabił gęś, poczuł się spełniony. Nigdy wcześniej nie doznał takiej satysfakcji. Aby zmyć z siebie krew (co zrobił z żalem), umył się w rzece i wrócił do domu. Na podwórzu zobaczył wóz. Znał go, należał do brata matki, wuja Horsta. Chłopiec stanął jak wryty. Jego radość została zmacona, a satysfakcja zniknęła w takim samym bólu i cierpieniu, jak znika odrąbana kończyzna. Powoli podszedł do ściany domu i zaczął podsłuchiwać. Matka rozmawiała z bratem.

– Nie chcesz aby za dużo? – pytał gniewnie.

– To moja własność, nie twoja. Kiedy udostępniam ci swoją własność, płacisz, ile ja zechcę – odparła. Jej słowa były zimne i bezczelne.

– Twoja podstępna córka uwiodła mnie, a teraz muszę płacić za schadzki – burknął, licząc pieniądze.

Nathaniel obiegł dom i wśliznął się do niego tylnym wejściem. Na palcach przeszedł przez sień, wdrapał się po schodach i zapukał do drzwi pokoju.

– Anno – szepnął. – Mogę wejść?

W odpowiedzi usłyszał tylko ciche chlipanie. Otworzył drzwi zamasyście, bo tylko wtedy nie skrzypiały i matka nie wiedziała, że są razem. Nie pozwalała im na to. Mówiła, że to grzech, by brat i siostra tulili się do siebie.

– Już nie mogę – jęknęła cicho. Na pościeli zobaczył krew. I nie tylko krew... Wiedział, co to za plamy, choć matka nie pozwalała mu o nie pytać. Tak było zawsze, gdy Annę odwiedzał wuj Horst. – Chcę umrzeć – załkała dziewczynka.

– Pamiętasz, jak ratowałeś mnie od śmierci w rzece? Ja też nie pozwolę ci umrzeć – oznajmił. – Mogę ci pomóc pozbyć się problemu, ale ty musisz pomóc mnie.

– Ale jak? – zapytała, nie mogąc zdławić płaczu.

– Teraz już wiem jak.

Nathaniel poprzysiągł, że utnie matce ręce, jeśli ta go dotknie. A Horstowi to, co sprawiało ból Annie. Nie mógł się nadziwić, jak osoba tak okrutna i brudna jak ich matka mogła codziennie przed snem czytać im Biblię?

„Jeśli ktoś będzie miał syna nieposłusznego i krnąbrnego, nie słuchającego upomnień ojca ani matki, tak że nawet po upomnieniach jest im nieposłuszny, ojciec i matka pochwycą go, zaprowadzą do bramy, do starszych miasta i powiedzą starszym miasta: «Oto nasz syn jest nieposłuszny i krnąbrny, nie słucha naszego upomnienia, oddaje się rozpuście i pijaństwu». Wtedy mężowie tego miasta będą kamienowali go, aż umrze”[61].

– Tak, tak, Nathanielu. Mam prawo do ciebie, a więc i prawo zrobić z tobą wszystko – mawiała.

– Ale ja nie piję – tłumaczył, bojąc się zasnąć. Nie rozumiał, o co chodzi w Biblii, tym bardziej że czytała tylko przerażające rzeczy, którymi odpowiednio manipulowała, by go zastraszyć.

– Ale masz lubieżne myśli – syczała i kładła rękę na jego genitaliach. – Będę pilnować, by nie nawiedzały cię w łóżku – mówiła. W te noce już nie spał. Bał się, że przyśni mu się coś, przez co matka go ukarze. Choć ona twierdziła, że mu pomaga. Brzydził się nią, tak samo jak jej bratem.

Dręczyła go tak kilka razy w tygodniu. Annę zaś sprzedawała, bo wuj Horst dobrze za nią płacił. Chociaż za każdym razem próbował się jeszcze targować.

Anna i Nathaniel siadywali czasem razem nad rzeką, gdy akurat matka nie goniła ich do pracy. Żalili się sobie. Marzyli, że razem uciekną. On zostanie lekarzem, a ona wyjdzie za księcia. Prawda jednak okazała się trudniejsza, a przyszłość przyniosła jeszcze więcej problemów.

Po kolejnej wizycie Horsta Anna zachorowała. Nie mogła się ruszać i wyla z bólu. Nathaniel nie wiedział, jak jej pomóc.

– Błagam, zróbmy coś. Wezwijmy lekarza! – prosił matkę. Bał się, że siostra umrze, a on zostanie całkiem sam.

– „Jeżeli kobieta doznaje upływu krwi przez wiele dni poza czasem swojej nieczystości miesięcznej albo jeżeli doznaje upływu krwi trwającego dłużej niż jej nieczystość miesięczna, to będzie nieczysta przez wszystkie dni nieczystego upływu krwi, tak jak podczas nieczystości miesięcznej”.

– Mamo, ona cierpi! – krzyczał.

– „Każde łóżko, na którym się położy podczas swojego upływu, będzie dla niej takie, jak łóżko podczas jej miesięcznej nieczystości. Każdy przedmiot, na którym usiądzie, będzie nieczysty, jak gdyby to była nieczystość miesięczna”[62].

– Proszę, choć raz bądź człowiekiem... – Nathaniel padł na kolana i głośno zapłakał, jak nigdy dotąd. Bał się i już od dawna tłumił w sobie wszystkie emocje. Śmiech, żal i złość. Stawał się pusty. Czasem nie rozpoznawał się we własnym

odbiciu, gdy co rano pochylał się nad wiadrem z wodą.

– Nie możemy jej pomóc, gdyż jest nieczysta. Nie możemy narazić obcych ludzi na jej nieczystość – skrzeczała matka.

– Jest nieczysta przez niego. Przez twego brata! – wrzasnęła.

Jej ciężka ręka spadła na jego policzek. Poczuł pieczenie i ból.

– Nie masz prawa tak mówić o wuju. To dobry człowiek. Z rodziną trzeba się dzielić – wysyczała.

– Nie chcę już słuchać Biblii.

Znów go uderzyła, jeszcze mocniej. Zacisnął zęby i odwrócił się od niej. Jeszcze tego samego wieczoru postanowił zadbać o przyszłość swoją i siostry.

Po trzech dniach Anna w końcu wstała. Nathaniel codziennie starał się ją myć i zmieniać pościel, bo dziewczynka nie miała siły pójść do wygódki. Wsparta na jego ramieniu usłyszała od niego słowa otuchy, które na zawsze miały zapaść jej w pamięć.

– Gdy Horst znów tu przyjedzie, będziemy wolni. Obiecuję – powiedział.

Przez dwa tygodnie Nathaniel stał na posterunku, wypatrując zdezelowanego wozu wuja. W końcu się go doczekał.

– Anno! – wrzeszczała matka. – Idź do pokoju!

Roztrzęsiona dziewczynka potulnie zajęła miejsce na trzeszczącym łóżku, zniszczonym przez tłustego Horsta i jego praktyki. Usłyszała, że wóz podjechał pod dom. A potem szuranie jego butów na zwirowej ścieżce.

– Jak tam moja siostrzenica? – zapytał rozradowany.

– Ostatnio chorowała przez ciebie. Miałam prania co niemiara – powiedziała matka z pretensją.

– Może mnie trochę poniosło – wyjaśnił beztróska.

– Nie szarżuj, bo jak ją zabijesz, to nie znajdziesz nikogo tak łaskawego jak ja, kto pozwoli ci na takie rzeczy z dziesięciolatką.

Horst wszedł do domu. Znajome skrzypienie podłogi. Stęknienie trzeciego schodka, potem siódmego. Ciche pukanie do drzwi. Anna przeżywała to dwa razy w miesiącu. Każdy z tych odgłosów był jak odliczanie. Trzy... dwa... jeden... A na końcu pokazywał się w drzwiach. Potem starała się nie czuć. Nie myśleć. Skupiała się na rzece i rozmowach z bratem. Jej bohaterem.

– Aniu? – powiedział lubieżnie, przestępując próg jej pokoju. Jeszcze nie zamknął drzwi, a już rozpinął spodnie. – Musisz mi pomóc – powiedział. Zupełnie jak matka, która za wszelką cenę chciała pomóc Nathanielowi, gdy miał wzwód.

– Proszę, nie – szepnęła Anna, a jej oczy, gardło i nos od razu wypełniły się łzami.

– Nie zostawisz mnie w potrzebie, prawda? – zapytał. Podniecały go te słowne tortury.

– Odejdź, dla własnego dobra... – wymamrotała.

Horst przystanął.

– Grozisz mi? – zaśmiał się. Natarł na dziewczynkę. Złapał ją za włosy, siłą położył na łóżku i zaczął szarpać się ze spodniami. Zanim jednak zdążył ją skrzywdzić, zastygł. Jego twarz sparaliżował grymas bólu i strachu. Zza jego cielska wyłonił się Nathaniel, który od kilkunastu minut leżał pod łóżkiem. Wyszedł spod mebla i wielki nóż, którym wcześniej rozplątał gęś, wbił z rozmachem w kark wuja. Horst próbował złapać rękojeść i wyciągnąć ostrze. Wyglądał, jakby wypił o kilka głębszych za dużo i nie był w stanie zdjąć koszuli. Niedbale machał rękami, z zastygłym wyrazem twarzy. W końcu upadł na kolana, aż wreszcie całkiem się przewrócił. Teraz dopiero Nathaniel zobaczył, że gdy zadał mu cios, sam skaleczył się w dłoń. Rana była paskudna, głęboka. Ale nie czuł bólu. Satysfakcja przyćmiła ludzkie słabości. Uwolnił siostrę od oprawcy. Wyciągnął nóż z ciała wuja i wytarł go w pościel. Odciął kawałek prześcieradła i owinął nim rękę.

– Pomóż mi – poprosił siostrę. Bez słowa wyjaśnienia dopadł do umierającego wuja i z pomocą Anny przewrócił go na plecy, aby ten szybciej się wykrwawił. Zsunął mu spodnie na tyle, by obnażyć genitalia. Podał jej nóż.

– Zrób to. Zobaczysz, że ci ulży – zapewnił.

– Nie umiem...

– Potrafisz. Każdy to potrafi – zachęcał.

Anna uklękła nad Horstem. Patrzyła na niego przez chwilę. Nie był już w stanie mówić, ani się ruszać, choć nadal żył. Wciąż widziała w nim obleśnego oprawcę zadającego jej fizyczne i psychiczne cierpienie, mimo że teraz był bezbronny. W końcu się przemogła. Złapała za jego prącie i odcięła je przy nasadzie. Z gardła Horsta dobył się charkot. A więc wciąż czuł ból. Anna ujęła członek w dwa palce i pokazała wujowi. Potem bez słowa wepchnęła mu go go gardła.

Rodzeństwo cicho opuściło pokój. Matka miała zwyczaj wychodzić, gdy jej brat używał sobie na Annie. Zawsze znajdowała sobie jakieś zajęcie. Tym razem rozwieszała pranie na sznurach za domem. Korzystała z upalnego lata, bo zimą nic nie chciało schnąć, a o praniu w rzece nie było mowy. Ściągała suche rzeczy i składała do wiklinowego kosza. Na ich miejsce wieszala świeżo wyprane ubrania, pościel i obrusy, firany i bieliznę. Prała, co mogła. Szybko. Zbierała zapasy na zimę. Przeklętą zimę, której nienawidziła z całego serca.

Zimą ludzie mrą – mawiała. Jakież to było wówczas prorocze...

Przestąpiła krok w stronę kolejnego prześcieradła. Zdjęła je ze sznura mocnym pociągnięciem. Jakież było jej zdumienie, gdy zobaczyła za nim syna. Nathaniel zamachnął się nożem, podcinając jej gardło. Cięcie było jednak za płytkie. Matka zalała się krwią, ale wciąż stała. Spojrzała na zalane czerwienią dłonie, co ją rozsierdziło. Nie miała zamiaru się poddać, jak kilka minut temu jej

brat. Była o wiele lotniejsza i szybsza.

Odwróciła się i pobiegła w stronę rzeki. Nathaniel i Anna podążyli za nią. Chłopiec nie śpieszył się. Wiedział, że matka prędzej czy później osłabnie. Z upływu krwi, w żarze letniego południa w końcu przewróciła się, jak przewidywał. Próbowwała dźwignąć ciało z ziemi, ale słabnące kończyny odmawiały jej posłuszeństwa. Usiadła, ciężko sapiąc.

Dzieci stanęły nad nią. Widziała tylko ich sylwetki, mrużąc oczy w ostrym słońcu. Nathaniel zacisnął rękę na trzonku noża. Tym razem nie chciał się skaleczyć. Pochylił się nad matką. Uniósł rękę, ale zatrzymał ją w połowie drogi do jej twarzy.

– Nie umiesz... – wybełkotała metalicznie. Ale w tym bełkocie dźwięczała satysfakcja.

Nathaniel zamachnął się, patrząc matce w znieruchomiałe ze strachu oczy, po czym znów zatrzymał rękę. Faktycznie. Nie mógł jej zabić. Gardził nią. Z całego serca. Ale tego zrobić nie mógł. Pewnie dlatego zadał jej tak płytkie cięcie.

– Ja umiem. – Usłyszał głos za plecami. – To faktycznie nie takie trudne – powiedziała Anna. Łagodnie wyjęła ostrze z jego dłoni. Podeszła do matki i z całą zajadłością wyładowała na niej nagromadzony gniew. Za wszystkie razy, gdy sprzedawała ją wujowi. Za ojca, który przez nią odszedł. Za Nathaniela, którego krzywdziła tak samo jak ją. Cięła w amoku, na oślep, zadając coraz to nowe obrażenia. Skupiła się na twarzy. Chciała jak najbardziej ją zniekształcić, zdeformować. Okaleczyć, by nie przypominała już matki. Gdy skończyła się nad nią pastwić, odstaąpiła od jej bezwładnego ciała. Nathaniel spojrział na rodzicielkę po raz ostatni. Była zalana krwią, a na jej ustach pękały krwawe bąble. Trzykrotnie podcięte przez Annę gardło ukazywało tchawicę. Jej groteskowo odrzucona głowa, w połowie odjęta od reszty ciała, przypominała głowę lalki, którą Anna podarła kiedyś po wizycie wuja. Był to zresztą prezent od niego. Nathaniel zrozumiał, że siostra chciała to zrobić od dawna.

Klara płakała. Los tych dzieci był tak okrutny, że nie umiała opisać go żadnymi ze znanych jej słów. Bo określenie „potworny” było zdecydowanie za słabe.

– Pani płacze? – zapytał Nathaniel. Jego twarz była jakby odrętwiała. Mimo to żywo zainteresował się jej reakcją.

– Mielście z siostrą straszne życie... – powiedziała, nie próbując powstrzymać łez.

– Straszne... – powtórzył, jakby nie znał tego słowa lub nie pamiętał, co ono oznacza.

– A co z Franzem? Czy możemy go już obudzić? – zniecierpliwził się Aangus. Chciał pokazać Klarze, na czym polega fenomen Willicha. Ale on miał

jeszcze coś do powiedzenia.

– O nim za chwilę – stwierdził.

* * *

Nathaniel stał przed drzwiami domu sióstr zakonnych. Oficjalnie nie przyjmowano w nim sierot, ale wiele lat temu zakonnice uczyniły wyjątek. Niezwykle dzieci, które stanęły pod ich drzwiami, znały Biblię jak niewielu księży. Cytowały ją z pamięci, były potulne i karne, więc siostry pozwoliły im u siebie zamieszkać, zlecając im prace domowe, a z czasem powierzając pieniądze na sprawunki. Nathaniel nie pamiętał swego pierwszego spotkania z wiarą. Wychował się w domu z pokolenia na pokolenie katolickim, choć z pewnością generacja jego matki była co najmniej wypaczona, a Biblii używała jako narzędzia do krzywdzenia innych. Mimo to chłopiec nie znał niczego innego. Pierwszy azyl, o którym pomyślał, znajdował się w katolickim klasztorze. Chciał zapewnić siostrze bezpieczeństwo. Anna na jakiś czas zamknęła się w sobie. Nie mówiła dużo, dlatego nie wiadomo było, o czym myśli. Strach i wspomnienia paraliżowały ją na tyle skutecznie, że zupełnie stracił z nią kontakt. Odzyskał go pewnej nocy i to, co usłyszał, odebrało mu mowę.

Nieopodal parafii Świętego Norberta w Magdeburgu, tuż przed mszą, Anna złapała go dyskretnie za rękę.

– Tęsknię – powiedziała cicho.

– Do niej? – zapytał zdumiony. U sióstr było im dobrze. Nikt ich nie lżył, nie bił... i nie gwałcił. Za codzienną pracę dostawali stawę. Mieli gdzie spać. Cytowanie Starego Testamentu, zazwyczaj poprzedzające ból i cierpienie, zmieniło się we wspólne modlitwy o neutralnym emocjonalnie, zdrowym zabarwieniu. Oboje chodzili czysti i uczesani. Dano im odświętne stroje, które jednak wkładali tylko na mszę. Anna śpiewała w kościelnym chórze, a jej głos rozkwitał i zachwycał wiernych, gdy pozwalano jej wykonywać partie solowe. Owszem, musieli pracować, ale żyło im się dobrze. Więc Annie nie mogło chodzić o matkę.

– Do tego – powiedziała i przyklękła w wejściu do kościoła.

Po mszy, gdy w świątyni rozbrzmiewały organy, a ludzie tłumnie wychodzili na dziedziniec, spojrzął na nią porozumiewawczo.

– Ja też – odparł. – Ale to grzech i więcej go nie popełnię.

Ich drogi się rozeszły, gdy Nathaniel wyjechał. Stracił kontakt z siostrą. Po wielu latach i przyjętych święceniach kapłańskich, kiedy stał przed bramą domu sióstr z nowym powołaniem, a nawet nowym imieniem, chciał się czegoś o niej dowiedzieć. Okazało się, że wyszła za mąż. Postanowił ją odwiedzić. I to był jego największy błąd.

– Jak do tego doszło? – ponaglał go Sanz. – Jak doszliście do wniosku, że będziecie to robić wspólnie?

– Podczas naszego spotkania po latach okazało się, że nie jest szczęśliwa. A miała być. Nie po to pozbyliśmy się matki i wuja, by cierpiała – wyjaśnił Nathaniel.

– Dlaczego była nieszczęśliwa?

Mężczyzna zaśmiał się, choć jego oczy pozostały martwe. Wyglądał jak nieudolnie wykonana kukła.

– Bo poznała smak krwi. Bo się od niej uzależniła. Wciąż miała w pamięci ból, którego doświadczyła, i nadal chciała się za niego mścić. Nie mogła znów zabić matki, więc skupiła się na innych kobietach. Bardzo uważnie je dobierała, kierując się naszym wspólnym bezpieczeństwem, ale i przeczuciem. Nie myliła się co do nich. Nie były nic warte. Krew... – rozmarzył się, wracając w myślach do gęsi, którą puścił z prądem rzeki. – Tego smaku nie da się zapomnieć. Ale ja obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie zabiję.

– Nie dotrzymał pan słowa – zauważył Dieter.

– Przeciwnie... – Nathaniel przeniósł na niego wzrok. – Dotrzymałem. Nigdy więcej nikogo nie zabiłem.

Łóżko parowało od potu, choć na dworze było piekielnie zimno. Nathaniel, a właściwie Franz, obudził się, żywiąc odrazę do swojego ciała. Nie powinno mu podpowiadać podobnych obrazów. Żałował, że odnalazł Annę tu, w Potsdam, i że jej wysłuchał. Znów go do tego namawiała. Mówiła, że świat pełen jest nierządnic, które zasłaniają się Biblią, a czynią inaczej, niż powinny według słów Pisma. Widziała je na każdym kroku. Na ulicach szukały szybkiego zarobku, w niedzielę grały przykładne katoliczki. Nawet w teatrze, w którym dostała swoją pierwszą rolę. Tam było ich najwięcej. Swoją rozwiązłość, ale i wrogość, zazdrość, tłumaczyły artystycznym polotem. Kazały nazywać się artystkami, a były zwykłymi ladacznicami. Ona określała je gorzej, lecz to słowo nie przechodziło mu przez gardło. Na co dzień podczas prób dawały upust swoim niskim potrzebom, tłumacząc je charakterem pracy. W niedzielę odwiedzały zbory i kościoły, wyśpiewując z chóru pieśni ku chwale Pana. Obłudne i wstrętne.

Franz przyłapał się na tym, iż sam tak o nich myśli. Ale nie mógł rozliczać ludzi z ich grzechów poza obrębem konfesjonału. Nie powinien ich oceniać, a już z pewnością zabijać. A ona właśnie tego chciała. Od dziecka wpajano mu zasady wiary. Mówiono o przebaczeniu i miłosierdziu. A potem robiono te wszystkie rzeczy, o których za wszelką cenę chciał zapomnieć. Chciał wybaczać i kochać wszystkich ludzi, lecz to, co zapamiętał z rodzinnego domu, pozostawało w sprzeczności z nową drogą, którą obrał. Z drogą czystości duchowej. Nie mógł na to pozwolić. Szatana można było przegnać i to właśnie postanowił zrobić.

Tej nocy Franz odkrył, że Nathaniela da się kontrolować. Modlił się gorliwie, a jego myśli rozplynęły się po zakamarkach umysłu. Nie wiedział wtedy jeszcze, że Nathaniel znajdzie sposób, by mu umykać. Choćby na chwilę uciekać

do mrocznych fantazji, które miały się wkrótce spełnić.

Klara zasłuchiwała się w opowieść Nathaniela. Jego przeszłość wiele tłumaczyła. Walczył z nią, lecz jego chory umysł nie pozwalał mu zapomnieć. Jakaś część zdeformowanej psychiki nakazywała mu nadal oczyszczać świat z obłudnic. Okrutna, chociaż w jego mniemaniu logiczna, może nawet pożyteczna misja. Skoro już zaczął, musiał ją dokończyć.

– Jestem darem bożym[63] – powiedział Nathaniel, jakby czytał w jej myślach. – Dostałem to imię na chrzcie. Zobowiązujące, prawda?

– Kiedy wymknął się pan Franzowi po raz pierwszy?

– W Potsdam, siedemnaście lat temu. Przyjechałem do siostry z Magdeburga. Franz odwiedzał ją regularnie, próbując nawrócić. Jeździłem z nim i nie odzywałem się. Ale wtedy po raz pierwszy go uśpiłem i poszedłem z nią. Wynajęła pokój w tanim zajeździe. Przyproceedziła do mnie śpiewaczkę. Miała duże oczy i kaczy nos. I długą szyję, pamiętam. Anna kochała się z nią, a ja patrzyłem. Lubię to. – Mówił tak beznamiętnie, że trudno było w to uwierzyć. – Zginęła w tym samym pokoju, do którego ją zwabiliśmy.

– Siedemnaście? – zdumiał się Sanz.

– Uznano to za samobójstwo. Słusznie zresztą. Ja nigdy nikogo nie zabiłem – podkreślił raz jeszcze Nathaniel. – Czasem trudno uwierzyć, czego dokonuje człowiek, gdy się boi. Co jest w stanie zrobić, by się wyzwolić. Poddaje się, skamle i płaszczy. Myśli, że jeśli odpowiednio płytko zatopi nóż we własnym ciele, a potem uda zmarłego, przeżyje. Ale żadna z nich nie przeżyła. Każda ze strachu cięła głęboko. Mówiłem im dokładnie, co mają robić. Nie miałem zamiaru zadawać im cierpień. To robiła ona. Moja siostra, którą po czasie przestałem kochać. Ja tylko chciałem, by one przestały oddychać. To wszystko.

– Dlatego tętnice? – zapytał Sanz.

– Szybko i prawie bezboleśnie. Nie tak jak z gęsią. Dla mnie liczyło się tylko to, co zrobię z nimi, gdy już umrą. Wtedy są takie niewinne.

– Dlatego układał je pan w różnych pozycjach? – dopytywał się Dieter.

– Krew jest oczyszczająca. Gdy rozprułem gęś, zrozumiałem, dlaczego wnętrzości chroni tyle warstw. To była krew brudna, cuchnąca. Ale jedno małe nacięcie głównej arterii uwalnia krew czystą, ciepłą. Każda zmiana pozycji to szansa na wypompowanie jej w całości. Trzeba czasem wiele czasu, by wylać ją z ciała. Ale każda z cennych minut jest warta poświęcenia. Wrażenie, gdy się dotyka krwi parującej na zimnym lodzie czy śniegu, jest nie do opisanie. Trzeba tego doświadczyć, by wiedzieć, w czym rzecz.

– Nie wątpię – mruknął Sanz, a Dieter rzucił mu karcące spojrzenie. Każdy nieodpowiedni komentarz mógł przerwać ten misterny wywód i zamknąć drogę do prawdy.

– Moja matka nienawidziła zimy. – Nathaniel zignorował mężczyznę. –

Mówiła, że śnieg przykrywa brud tego świata. Miałem jej słowa w głowie, gdy rozpocząłem swą misję na nowo, niemal dekadę później.

– Skąd ta przerwa? Czy Franz dowiedział się o pańskiej działalności? – Dieter przyjął retorykę Nathaniela. Dawała przesłuchiwanemu poczucie bezpieczeństwa.

– Nie, nie... – Nathaniel jakby się zafrasował. – Siostra wdała się w sprzeczkę w teatrze. W bójce, która wynikała z faktu, że jedna ze śpiewaczek oskarżyła Annę o kradzież, moja lekkomyślna siostra wybiła jej oko. Poszła za to na kilka lat do więzienia. Jej rodzina zostawiła ją w potrzebie. Mąż kupił unieważnienie małżeństwa i sprawił, że zapomniały o niej dzieci. Ja też chciałem zapomnieć. Dlatego poddałem się Franzowi i jego tokowi myślenia. Ale ona znów mnie znalazła. I tak zaczęliśmy od nowa w Potsdam.

– Jak doszło do ponownego aresztowania Anny Osterholz? – Klara postanowiła wyjaśnić ten wątek.

– Siostra nie umie planować... Działa impulsywnie, przez co pakuje się w kłopoty. Co prawda nigdy nie napomknęła o mnie policji, dzięki czemu nie zostałem nawet wzięty pod uwagę jako współodpowiedzialny za śmierć tej kobiety. Lekarz nie mógł też jednoznacznie stwierdzić, czy sama się zabiła, czy ktoś jej w tym pomógł. Ostatecznie Annę zwolniono po kilku latach, które odsiedziała za współudział w morderstwie, uznanym w końcu za samobójstwo. Pomogłem jej wyjść na wolność. W kościele poznaje się różnych ludzi, od żebraków po książy. Tamto doświadczenie nauczyło mnie, że nie należy pewnych rzeczy robić w domu, tylko poza nim. Nawet jeśli później porzuca się ciało w głębokim śniegu. Zima zakrywa wszystko, pani detektyw – znów zacytował matkę. – Ale nie w pokoju z dywanem... – dodał.

– Dlatego mosty?

– Mosty to jeszcze co innego. – Pochylił się w jej stronę. – Mosty są przejściami. Łączą dwa brzegi rzeki. Jak życie doczesne i wieczne. Pomiędzy nimi jest śmierć. Pusta i zimna. Zamarznięta rzeka i śnieg, pod mostem. Wieczne zniewolenie. Brak przynależności do któregośkolwiek ze światów. – Odchylił się i położył dłonie na stole. – Tam właśnie powinny się znaleźć obłudnice, które jak moja matka siały zamęt i kłamstwo. Jestem darem bożym – powtórzył po raz kolejny zupełnie poważnie. – Wiem, gdzie ich miejsce.

– Panie Willich... – zaczęła ostrożnie Klara. – A Inge Hirsch?

W pokoju zapadła cisza. Za oknem znów prószył śnieg. Wirujące płatki spadały na parapet, bezgłośnie, z niewymuszoną gracją. Przypominały wirujące w *Jeziorze łabędzim* baletnice, miękko opadając na sceniczną taflę wody. Nathaniel przymknął oczy.

– To już zmartwienie Franza – stwierdził obojętnie.

– Czy możemy z nim porozmawiać? – zapytała Klara.

– Nie – odparł zimno. – Po raz pierwszy od lat nie ma nade mną kontroli.

– Czy wie pan, co stało się z Inge?

– Nie interesuje mnie to – warknął.

– Została zamordowana. Za ścianą pańska siostra w mojej obecności opowiedziała, jak pozbawiła ją życia. – Teraz Klara pochyliła się w jego stronę. – Zabiła ją tak samo jak kiedyś pańską matkę.

– Kłamiesz – syknął. Wyglądem przypominał węża lekko balansującego przed decydującym atakiem.

– Anna Osterholz pół godziny temu opowiedziała mi historię...

– Zamknij się. – Starał się przerwać Klarze. Spojrzał nawet na Dietera, który wcześniej kontrolował przesłuchanie. Lekarz jednak nie reagował, chcąc zobaczyć, co się wydarzy. Klara kontynuowała, przekrzykując się z Nathanielem.

– ...jak zaciągnęła Inge Hirsch nad rzekę przy Scheibensteg, sugerując, że chce pan sobie odebrać życie...

– Zamknij się, do cholery!! – Nathaniel podniósł się na krześle. Sanz postąpił krok naprzód, ale Nathaniel się nie cofnął.

– Następnie podcięła jej gardło i zadała kilkadziesiąt ran ciętych twarzy, dłoni i przedramion – kontynuowała podniesionym głosem Klara. – Czy miał pan w tym jakiś udział? – Niemal wykrzyczała to pytanie. Serce mocno jej waliło. Dłonie drżały z przejęcia. A on skulił się, jakby osłaniał ciało przed biblijnymi kamieniami. Zakrył ramionami głowę, którą położył na stole. Trwało to może minutę, może dwie. Gdy się podniósł, jego oczy znów były jasne, znajome i błyszczące od łez.

– Tak mi przykro, pani Schulz... – wyznał.

– Mnie też, panie Willich – powiedziała ze współczuciem. – Naprawdę mi przykro.

Tańczący na knocie świecy płomień rzucał światło na twarz Klary. Pragnęła intymności. Jasne światło w sali przesłuchań i to dziwne poczucie nagości bardzo ją zmęczyło. Chciała o nim na chwilę zapomnieć. Zapomnieć o dramacie tych dwojga ludzi, którzy w swoim szaleństwie pociągnęli w otchłań niewinne ofiary. Dieter przyjechał z nią i zgodził się jeszcze chwilę zostać. Właściwie wcale by nie wychodził, gdyby nie musiał.

– Co się teraz z nimi stanie? – zapytała go po długim milczeniu.

– Nim zajmę się ja – odparł sennie. Już wcześniej wtulił się w jej biust i odpłynął w to miejsce między snem a jawą.

– Skąd wiesz?

– Zadbam o to. Jego przypadek jest wprost zjawiskowy. – Ożywił się na wspomnienie Nathaniela. – Widziałeś, jak jego oczy zmieniają kolor? Sędzia nie uzna tego za opętanie tylko dzięki mojej diagnozie. Badanie go może wnieść wiele dobrego w rozwój medycyny.

– Ale jak to...nazwać? – zdziwiła się. Ona także nigdy nie widziała podobnego zjawiska. W jednej chwili oczy Nathaniela stały się oczami Franza. Jakby dwie osoby zamieszkiwały jedno ciało.

– Nie wiem... – odparł Aangus. – Kiedyś o tym słyszałem, choć opowieść tego lekarza brzmiała jak jedna z powieści Jules'a Verne'a. Ale to, co zobaczyłem, sprawiło, że uwierzyłem. To naprawdę niesamowite! Jak... rozdwojenie[64]... Nathaniel musi pozostać w szpitalu, żeby żaden kościelny szaman nie uznał go za nawiedzonego. W końcu mamy dwudziesty wiek. Pora porzucić zabobony i zainwestować w naukę – mówił, coraz bardziej podniecony.

– A ona?

– Z nią... – Chrząknął, zbity z tropu. – Cóż, będzie trudniej.

– Dlaczego? Ją także skrzywdzono – oburzyła się, choć wcześniej chciała jej wydrapać oczy. – Zapewne także cierpi na jakieś zaburzenie.

– Być może jakimś cudem sąd weźmie to pod uwagę i uzna za okoliczność łagodzącą, choć na to bym nie liczył. Bo kto to udowodni? Jej obłąkany brat? Nie ma dowodów na to, że zabili matkę, a co dopiero, że ta stręczyła Annę wujowi.

– I co to oznacza?

– Przecież wiesz. Oznacza topór.

– Z początku też jej tego życzyłam – przyznała. – Ale po wysłuchaniu historii Nathaniela uważam, że Anna nie zasługuje na śmierć. Owszem, powinno się ją odizolować, ale nie zabijać. Jej życie wypaczono w okrutny sposób...

– Tak jak i twoje – przerwał jej.

– Mnie nikt nie gwałcił, gdy byłam małą dziewczynką – broniła swojej tezy, wiedząc, do czego zmierza Dieter. – Poza tym ja także szukałam zemsty za śmierć matki. O mało nie oddałam za nią życia.

– W tym rzecz – powiedział. – Ty omal nie umarłaś, lecz nie za zemstę, a za prawdę. A Anna w ramach irracjonalnie pojętej wendety skrzywdziła wiele osób. Takich kobiet jak ona jest więcej. Ale nie wszystkie są zabójczyniami.

– W takim razie Nathaniel także powinien ponieść karę – stwierdziła.

– Rzecz w tym, że on nikogo nie zabił...

– Ale... sprawił, że... – Klara nie wiedziała, jak dalej bronić swojej teorii.

– Nie da się tego udowodnić. Anna jest na przegranej pozycji. Nawet gdyby zeznała w sądzie przeciwko bratu, czego nie zrobi, sędzia uznałby ten fakt za próbę obarczenia winą Nathaniela. Taką historię musiałaby opowiedzieć jego niedoszła ofiara. Jedyńą, jaką znam, jesteś ty. I nie masz w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia.

– Dlaczego, mając takie dzieciństwo, zeszła na drogę jeszcze gorszą niż ta, którą podążała ją matka? – dziwiła się.

– Bo tylko to znała. Bo tak ją wychowano. Powtarzała wzór, który otrzymała w domu. Może nawet chciała się zmienić, ale nie znała sposobu. Zupełnie jak jej

brat. Brnęli w to, co już znali. I tak skończyli...

– Ale to niesprawiedliwe... – Pokręciła nerwowo głową.

– Tak to już jest, Klaro. – Pocałował ją w szyję. Potem rozpiął kilka guzików jej kołnierza i ułożył z pocałunków ścieżkę wiodącą ku jej piersiom. – Muszę iść – wyszeptał znad jej dekoltu.

– Wiem... – Pogłaskała go po włosach.

Pożegnała go i zamknęła za nim drzwi. Kiedy została sama, nieco się rozbudziła. Podreptała do kuchni, wciąż wczuwając się w kojący zmysły klimat, jaki nadawała salonowi ta jedna samotna świeca. Nalała sobie lampkę koniaku i usiadła w ulubionym fotelu. Nie chciała jeszcze kłaść się spać. Bała się, że wyśni coś koszmarnego.

Ostatecznie sen dopadł ją tam, gdzie usiadła. Obudził ją dopiero zimny podmuch, jakby przeciąg, który przeszył jej ciało. Świeca dopaliła się i zgasła. Klara wstała z fotela. Nie miała zamiaru rozbudzać się, próbując nadaremnie rozpałić w kominku. Postanowiła pójść na górę i nieco się zdrzemnąć po tym ciężkim dniu.

Gdy postawiła stopę na pierwszym schodku, znów przeszedł ją zimny dreszcz. Ktoś stał za drzwiami wejściowymi do jej domu. O siódmej rano. Ów intruz posunął się nawet o krok dalej i zapukał, mając na tyle przyzwoitości, by nie dzwonić. Gerta, która miała pokój w innej części domu, wstała zapewne godzinę temu i krzątała się na parterze. Klara była już jednak przy wejściu, więc sama postanowiła sprawdzić, kto śmie zakłócać mir domowy o tak wczesnej porze.

– Kto tam? – zapytała półgłosem.

– Mam pilny telegram do pani Schulz – odpowiedział głos z drugiej strony.

Klara uchyliła drzwi, a światło wschodzącego słońca, które przez nie wpadło, zakłuło ją w oczy.

– Telegram? – zdziwiła się.

– Proszę. – Poślaniec wręczył jej depezę i podejrzenie szybko się odwrócił, zostawiając ją na progu. – Do widzenia! – krzyknął z daleka.

Klara zamknęła drzwi i przeszła do salonu. Czuła się dziwnie. Bolał ją kark, a jej ciałem wstrząsały dreszcze. Usiadła w fotelu. Spojrzała na przesyłkę. Chwilę później wybiegła z salonu, ledwo powłócząc nogami. Wpadła do kuchni, zalewając się łzami.

– Gerto... – wykrztusiła i osunęła się na kolana. Przerazona gospościa rzuciła się, by pomóc jej wstać.

– Co się stało? – dopytywała, gdy Klarą wstrząsały spazmy płaczu.

– Czytaj... – Pokazała telegram i znów zaniósła się płaczem. – To Bernard...

– Coś się stało? – zapytała Gerta, ledwo żywa ze strachu.

– Był wypadek... Na torach kolejowych... Auto... Bernard... Nie żyje...

Gerta objęła rozpaczającą Klarę, wciąż nie wierząc w to, co słyszy. Gdy

zaczęło do niej docierać, co się stało, na dole zebrali się już wszyscy domownicy. Fritz, który wcześniej wyjął z rąk matki i samodzielnie przeczytał depeszę, przyłgął do Klary, próbując znieść tę ciężką prawdę jak mężczyzna. Chlipał cicho, wspominając trudny sen, który miał tej nocy, a jego ciepłe łzy wsiąkały w jej suknię. Sen o ojcu, który żegna się z nim na zawsze, prosząc, by opiekował się matką. Marie, wyczuwając unoszący się w powietrzu żal, płakała w ramionach Christiana. Ten zimny poranek dziewiętnastego lutego tysiąc dziewięćset trzynastego roku zmienił na zawsze życie rodziny Schulzów.

60 Słowem „rimmel” określano mieszkankę węglowo-wodną służącą do czernienia rzęs. Pochodzi ono od nazwiska wynalazcy tego specyfiku, przedsiębiorcy Eugène’a Rimmla, który zaprezentował swój produkt w 1880 r.

61 Stary Testament, Księga Powtórzonego Prawa, 21:18.

62 Stary Testament, Księga Kapłańska, 15:25.

63 Imię Nathaniel w wolnym tłumaczeniu z języka hebrajskiego oznacza „Bóg dał”.

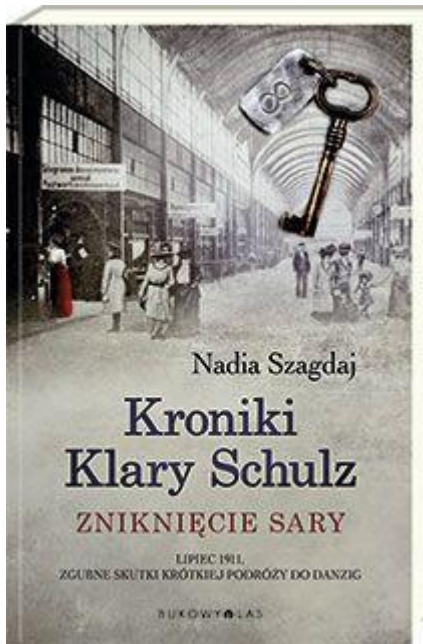
64 Termin „zaburzenie dysocjacyjne osobowości” (zwane popularnie rozdwojeniem jaźni) został przez medycynę wprowadzony w latach 70. XX w.



Nadia Szagdaj

Kroniki Klary Schulz. Sprawa Pechowca

Breslau, rok 1910. Podczas spektaklu w operze ginie znany baryton. Choć jego śmierć na początku wydaje się nieszczęśliwym wypadkiem, szybko okazuje się, że jest precyzyjnie zaplanowanym spektakularnym morderstwem. Zbieg okoliczności sprawia, że na miejscu przestępstwa jako pierwsza pojawia się początkująca detektyw Klara Schulz. Działając na prywatne zlecenie, które otrzymuje od bliskiego przyjaciela śpiewaka, młoda kobieta powoli odkrywa kulisy tego i kolejnych tajemniczych morderstw. Podążając ich tropem, trafia do świata znudzonych, żądnych wrażeń szaleńców, sprytnie zacierających za sobą ślady i mylących nieporadną w trudnym śledztwie pruską policję.



Nadia Szagdaj

Kroniki Klary Schulz. Zniknięcie Sary

Klara Schulz, mężatka, matka i prywatny detektyw, lekkomyślnie udaje się w daleką podróż. Jednak fotograf, który zaprosił ją na sesję portretową do swojej pracowni w Danzigu, nie zjawia się na dworcu. Piękne słówka wypełniające jego list okazały się zasadzką. Rozczarowana i upokorzona Klara postanawia rozpocząć w Danzigu prywatne śledztwo.

Tymczasem w Bresalu znikają dwie młode kobiety. Pozornie nic nie łączy tych wypadków. Jedna z dziewcząt jest Romką, druga zaś córką szanowanego lekarza, przełożonego męża Klary, Bernarda. Rodzina zaginionej Sary całą nadzieję na rozwiązanie zagadki pokłada w detektywie Schulz. Tylko że gdy Klara wraca z Danzigu, nie jest już sobą...

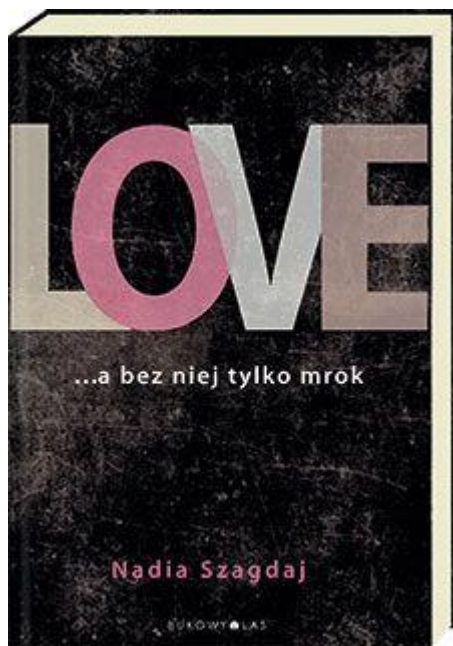


Nadia Szagdaj

Kroniki Klary Schulz. Grande finale

Breslau, grudzień 1911. Atmosferę zbliżających się świąt zakłóca przypadek – dziwne spotkanie, które pociągnie za sobą dramatyczne wydarzenia. Dwa śledztwa – nowe i to sprzed lat – zejdą się w czasie, by dać początek trzeciemu, które nigdy nie miało się zacząć.

Klara Schulz, młoda detektyw, która spodziewa się dziecka, będzie musiała się uporać z mroczną przeszłością i ostatecznie zakończyć sprawę zabójstwa matki. Pomoże jej w tym nowo poznany, czarujący człowiek. Wbrew wszystkim swoim uprzedzeniom Klara będzie współpracować z policjantem ze stolicy.



Nadia Szagdaj

LOVE

Młoda dziennikarka i autorka widmo, Ina Fischer wraca do swego mieszkania we Wrocławiu z krótkich londyńskich wakacji. Po bolesnym zderzeniu z rzeczywistością topi smutki w alkoholu. Następnego dnia budzi się z dziwnym przeczuciem, które kieruje ją na stronę policyjnej bazy osób zaginionych. Tak właśnie Ina dowiaduje się, że kilka dni wcześniej zniknęła bez śladu jej dawna szkolna koleżanka. Choć nigdy się szczególnie nie lubiły, Ina postanawia zająć się sprawą zaginionej kobiety. Nie podejrzewa jednak, że to, czego się dowie, poprowadzi ją o wiele dalej, niż zakładała, a śledztwo, którego się podejmie, okaże się początkiem drogi wiodącej w mrok.



Fot.: Jacek Gutowski

Nadia Szagdaj

podobnie jak bohaterki jej książek, nigdy nie usiedzi na miejscu. Musi działać. Najlepiej robić tysiąc rzeczy naraz. Spotkacie ją we Wrocławiu, gdy biegnie z telewizji na plan kolejnej sesji zdjęciowej. Wieczorem, kiedy dzieci już usną, siada do montażu filmu dokumentalnego na wczoraj.

Kształciła się w szkole muzycznej, co na początku było ekscytujące, lecz później ograniczało swobodę tworzenia. A tego Nadia nie znosi. Ostatecznie zdobyła tytuł magistra na Akademii Muzycznej po ośmiu latach studiowania.

Napisała sześć powieści. Uwielbia kontrasty. Eksperymentuje z bohaterami, zderza ze sobą gatunki literackie – szczególnie



Zima, początek roku 1913. Szef policji w Breslau, Gabriel Hübschner, prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczych samobójstw prostytutek. Po starej znajomości prosi o pomoc Klarę Schulz.

Tymczasem Klara dochodzi do siebie po strzelaninie, w której cudem uniknęła śmierci, i nie chce słyszeć o kolejnych zagadkach kryminalnych. Dopiero kiedy w tajemniczych okolicznościach znikła jej przyjaciółka Inge, do gry wkracza niepokorna, pewna siebie i gotowa na wszystko pani detektyw.

Czy sprawy samobójstw, zniknięcie Inge oraz jej skrywany romans z katolickim księdzem mogą mieć ze sobą coś wspólnego?

Nadia Szagdaj Nowa twarz polskiego kryminału

dlaStudenta.pl

LEIDIS.pl

duzeka.pl

DarkPlanet.pl

[ZARODNICE
SIOSTRZYCZKI](http://ZARODNICE_SIOSTRZYCZKI)

[SZUFLADA
NET](http://SZUFLADA.NET)

granice.pl
wszystko o literaturze

LUBIĘ
CZYTAĆ

{ opętani
czytaniem }



SZUKATER.PL

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku



Wyłączny
dystrybutor

